

iMAGAZINE

05/2026 (185) / ISSN 2082-3630

imagazine.pl



tapnij by przejść do menu/spisu treści



iMAGAZINE AUDIO 83



ANNA GABRYŚ
@ania13

Jabra Evolve3 85 – słuchawki jako narzędzie pracy

Od lat pracuję zdalnie, spędzając około 80% czasu pracy na spotkaniach. Dbam o komfort i zdrowie: słuch, zmęczenie umysłu, poufność rozmów, a wreszcie o to, by odbiorcy słyszeli mnie bez problemów. W przerwach od pracy i po pracy chcę posłuchać muzyki lub audiobooka, co zmuszało mnie do zmiany słuchawek. Na rynku mieliśmy bowiem dwa odrębne światy – konsumencki, nastawiony na muzykę, i korporacyjny, dostosowany do rozmów.

>>

przejdź do Twittera autora

przeciągnij w prawo





Px8 S2. Usłysz prawdę.

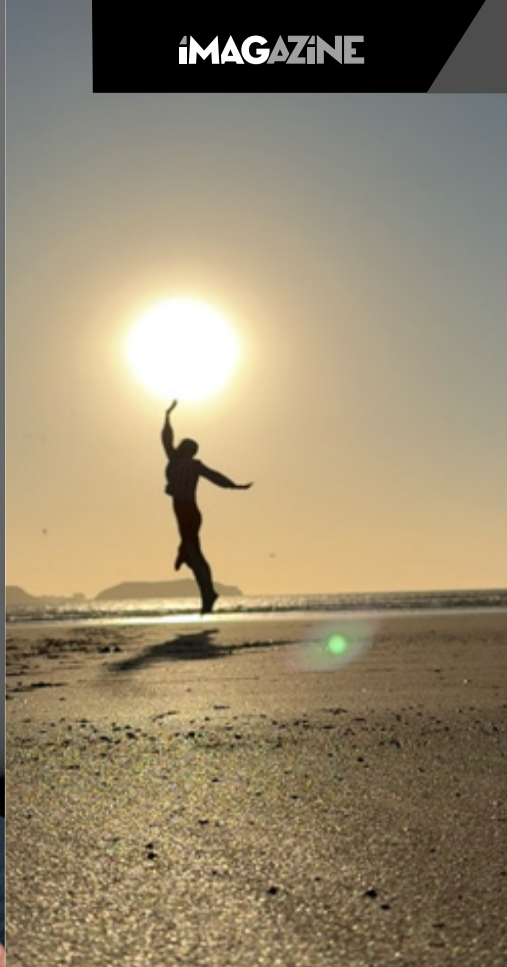
Doświadcz porywającego brzmienia i niezrównanego komfortu dzięki najbardziej luksusowej konstrukcji, jaką kiedykolwiek zaprojektowaliśmy.

Bowers & Wilkins

Salony firmowe Bowers & Wilkins: www.tophifi.pl



Nowy rozdział w historii Apple
Dominik Łada



Essaouira – tu wszystko gra
Małgorzata Podstawka



Satechi Thunderbolt 5 CubeDock
Dominik Łada



Tajne godziny – powrót do świata Herrona
Dominik Łada

Galeria iMagazine

11 Hanna Gałęska | Viva Hanu

Aktualności

19 Aktualności

Zmiany w Apple

44 Nowy rozdział w historii Apple | Dominik Łada

49 Kulisy przejścia władzy przez Johna Ternusa | Krzysztof Kołacz

53 „Zmienimy świat” – Ternus przejmuje Apple i od razu wdraża AI | Krzysztof Kołacz

Podróże

57 Essaouira – tu wszystko gra | Małgorzata Podstawka

70 Spotkanie z Daisy, czyli jak Apple rozbiera przyszłość | Dominik Łada

Productivity

81 Gdzie Tim Cook przymykał oczy... | Michał Śliwiński

Lifestyle

89 Lifestyle | Dominik Łada

Audio

97 Recenzja AirPods Max 2 | Wojtek Pietrusiewicz

98 Jabra Evolve3 85 – słuchawki jako narzędzie pracy | Anna Gabryś

Sprzęt

108 M5 Max – czy warto do niego dopłacać? Recenzja MacBooka Pro 16" | Wojtek Pietrusiewicz

109 Recenzja MacBook Pro z M5 Pro – mam dobre i złe wiadomości | Wojtek Pietrusiewicz

110 MacBook Neo – kupa złomu za 3000 zł? | Wojtek Pietrusiewicz

111 Oppo Watch X3 – tytan pracy | Paweł Hać

118 Amazfit T-Rex Ultra 2 – miesiąc później. Zegarek, który dorósł szybciej niż jego użytkownik | Dominik Łada

127 Satechi Thunderbolt 5 CubeDock – kiedy Mac mini przestaje być ograniczeniem | Dominik Łada

136 TP-Link Archer NX500 5G wjeżdża na salony | Dariusz Hałas

141 Lekkość, która robi różnicę – iGPSport BiNavi Air | Dominik Łada

148 Yale Linus Smart Lock L2 – drzwi do wygodniejszej codzienności | Dominik Łada

155 Karmnik, który patrzy – i rozpoznaje | Dominik Łada

160 Dreame Matrix 10 Pro: obiecuje koniec kompromisów | Dariusz Hałas

166 Robot koszący do najtrudniejszych zadań – Segway Navimow X430 (cz. 1) | Wojtek Pietrusiewicz

167 Domowa pizza, rodzinne rytuały i technologia, która wchodzi do kuchni | Dominik Łada

TV

175 Na te telewizory warto czekać | Paweł Okopień

179 XGIMI TITAN – jednozadaniowy | Paweł Hać





Piękno, którego można dotknąć.

Dańsz Hałas



Domowa pizza, rodzinne rytuały i technologia, która wchodzi do kuchni

Dominik Łada



Karmnik, który patrzy – i rozpoznaje

Dominik Łada



Dreame Matrix 10 Pro

Dańsz Hałas

Mobilność

- 184** Podróż bez zmęczenia – Travel Assist Volkswagena w praktyce | Dariusz Hałas
- 192** Nowy Volkswagen T-Roc R-Line – Kompakt w przebraniu mieszczucha | Dariusz Hałas
- 199** Piękno, którego można dotknąć. Jak Maserati przenosi duszę włoskiej motoryzacji do naszych salonów | Dariusz Hałas
- 206** Maserati GranTurismo Modena Włoska sztuka podróżowania | Dariusz Hałas
- 213** Nowa technologia w BMW iX3 | Wojtek Pietrusiewicz
- 214** Tesla Model Y – everycar | Paweł Hać
- 223** Renault Espace – auto dużej rodziny | Paweł Hać

Software

- 233** Moody – aplikacja, która zamienia notch w MacBooku w dyskretny teleprompter | Dominik Łada

Gry

- 237** Replaced | Paweł Hać

Porady

- 243** Twoje dane umrą razem z Tobą. Jak temu zapobiec w 45 minut | Dariusz Hałas
- 248** Jak wyłączyć podglądy linków w Mailu w iOS 26 | Dominik Łada

Higiena Cyfrowa

- 251** Powrót do epoki urzędzeń robiących jedną rzecz? | Krzysztof Kołacz

Felietony

- 255** Tajne godziny – powrót do świata Herrona | Dominik Łada
- 260** Dlaczego nie porzuciłem Apple Watch, choć biegam długie dystanse | Krzysztof Kołacz
- 264** Neo nie zabił portfolio Apple, ale rynek konkurencji już może | Krzysztof Kołacz
- 268** Koniec snobizmu? Jak Generacja Z zmienia język i kulturę picia wina | Piotr Wdowiak

Film

- 273** Terapia bez trzymania – sezon 3 | Jan Urbanowicz
- 281** The Pitt – sezon 2 | Jan Urbanowicz
- 288** Premiery streamingowe styczeń 2026 | Jan Urbanowicz

Muzyka

- 290** Dlaczego duże firmy audio nie chcą iść pod prąd i zagrać na sentymencie? | Paweł Winiarski

Podcasty

- 295** Podcasty | Dominik Łada

Makowa kuchnia

- 298** Zupa krem z zielonego groszku z jabłkiem | Małgorzata Łada



The JBL logo is displayed in white text on a red square background in the top right corner of the advertisement.

**EKSTREMALNE BRZMIENIE
WSPÓLNYCH CHWIL!**

PODKRĘĆ NASTRÓJ GDZIEKOLWIEK JESTEŚ.

Kup teraz





Majówka przed nami. A to oznacza jedno – trochę więcej czasu, trochę więcej słońca i idealny moment, żeby w spokoju, najlepiej w ogrodzie, nadrobić lekturę. Tym bardziej, że przygotowaliśmy dla Was numer, który naprawdę ma czym się pochwalić.

Najważniejsza wiadomość ostatnich tygodni? Tim Cook ustępuje ze stanowiska CEO Apple, a od września jego miejsce zajmie John Ternus. Plotki krążące od miesięcy właśnie się potwierdziły. To ogromna zmiana i początek nowego rozdziału dla jednej z najważniejszych firm technologicznych świata. Bez wątpienia to wydarzenie, które definiuje dziś całą naszą branżę – i oczywiście szeroko o nim piszemy.

Poza tym w numerze znajdziecie mnóstwo inspirujących materiałów. Testujemy AirPods Max 2 oraz słuchawki Jabra, sprawdzamy sprzęt idealny na wiosnę – zegarki od Oppo i Amazfit, nowy komputer rowerowy iGPSPORT, potężną kosiarkę Segway Navimow, inteligentny karmnik dla ptaków Birdfy czy piec do pizzy Tefala, który potrafi zamienić ogród w małą włoską trattorię.

Są też oczywiście emocje motoryzacyjne – zjawiskowe samochody, w tym trójzębny Maserati – oraz praktyczne tematy, jak polska aplikacja dla twórców wideo czy poradnik o testamencie cyfrowym. W części kulturalnej polecamy najnowszą książkę Micka Herrona Tajne godziny.

To numer duży, różnorodny i pełen energii. Idealny na majówkę. Miłej lektury!

Miłej lektury!

Dominik Łada

A handwritten signature in black ink, appearing to be 'DL' or similar initials, written in a cursive style.



CREATIVE®

STAGE PRO

Z Creative Stage Pro poczuj moc z głębokim basem

Dźwięk wysokiej jakości i wyraźniejsze dialogi
dzięki Dolby Audio

Kompaktowe gabaryty i pełne doświadczenie kinowe
To idealny soundbar



Dolby
AUDIO

Dolby Audio

SUPER
WIDE

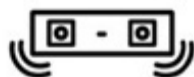
SuperWide

160W
PEAK

Powerful Bass

HDMI™
HIGH-DEFINITION MULTIMEDIA INTERFACE

Versatile
Connectivity



Compact
design




komputronik


morele

pl.creative.com

WSPÓŁPRACA



Paweł Okopień



Krzysztof Kołacz



Paweł Hać



Dariusz Hałas



Jan Urbanowicz



Michał Śliwiński



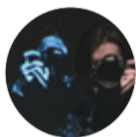
Maciek Skrzypczak



Małgorzata Łada



Gracjan Pietras



Napoleon Bryl



Agnieszka Serafinowicz



Ania Gabryś



Małgorzata Podstawka



Thomas Volland



Piotr Wdowiak



Paweł Winiarski

Teksty, grafiki oraz inne treści opublikowane na łamach „iMagazine” są chronione prawami autorskimi wydawcy magazynu „iMagazine”, ich autorów lub osób trzecich. Znaki towarowe i wszelkie inne oznaczenia o charakterze odróżniającym, umieszczone w „iMagazine” podlegają ochronie prawnej na rzecz wydawcy magazynu „iMagazine” lub innych uprawnionych osób trzecich.

Używanie bądź korzystanie z utworów, znaków towarowych lub oznaczeń, o których mowa wyżej, jest zabronione bez uzyskania uprzedniej pisemnej zgody właściwego podmiotu uprawnionego, z wyjątkiem wykorzystania ich zgodnie z prawem dla celów prywatnych i niekomercyjnych.

Redakcja nie zwraca niezamówionych tekstów i fotografii oraz zastrzega sobie prawo do skracania i redagowania nadesłanych materiałów. Zdjęcia z zasobów Apple dzięki uprzejmości Apple Inc. Pozostałe zdjęcia z zasobów autorów lub redakcji. Redakcja nie odpowiada za treść zamieszczanych reklam i ogłoszeń.

Nasz magazyn monitorowany jest przez Instytut Monitorowania Mediów IMM

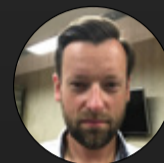


WYDAWCA

Mac Solutions Dominik Łada,
Nalewki 8/79, 00-158 Warszawa
NIP: 118-135-60-13

REDAKCJA

redakcja@imagazine.pl



REDAKTOR NACZELNY

Dominik Łada

+48 501 055 988 | d.lada@imagazine.pl



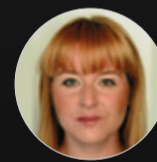
ZASTĘPCA REDAKTORA NACZELNEGO

Wojtek Pietrusiewicz

w.pietrusiewicz@imagazine.pl

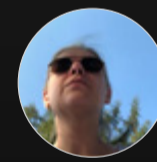
REKLAMA

reklama@imagazine.pl



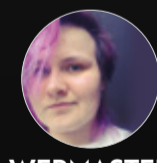
KOREKTA

Malwina Wadas



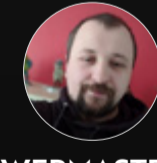
KOREKTA

Ania Gabryś



WEBMASTER

Angelika Borucka



WEBMASTER

Krzysztof Stambuła



PROJEKT GRAFICZNY I SKŁAD

Mateusz Gileta

m.gileta@imagazine.pl

PROJEKT OKŁADKI:

Dominik Łada i Mateusz Gileta
fot. Apple





SENNHEISER

AUDIOFILSKA
JAKOŚĆ DŹWIĘKU,
ZERO KABLI.



HDB 630

Doświadcz bezkompromisowej jakości i pełnej szczegółów rozdzielczości bezprzewodowego dźwięku dzięki aptX Adaptive. Poczuj się jak na żywym koncercie – szeroka scena dźwiękowa i przeprojektowany system akustyczny zanurzą Cię w brzmieniu. Skup się na muzyce bez żadnych zewnętrznych zakłóceń, eliminowanych przez adaptacyjne ANC. Przesyłaj dźwięk w audiofilskiej jakości 24-bit/96 kHz z dołączonym donglem BT D 700 i słuchaj nawet przez 60 godzin bez przerwy. Teraz cały świat może być Twoim prywatnym pokojem odsłuchowym.

www.sennheiser.pl/hdb630



HANNA GAŁĘSKA

[@viva.hanu](#)

Viva Hanu to architektka i projektantka, która odnalazła swoją najpełniejszą formę wyrazu w malarstwie. Mama trójki dzieci, mieszka i tworzy w Bielsku-Białej, gdzie powstają jej intensywne kolorystycznie obrazy balansujące pomiędzy abstrakcją, uproszczoną formą i intuicyjną geometrią.

Jej twórcza droga rozpoczęła się od założenia marki odzieżowej Ciao Stories – inspirowanej śródziemnomorskim stylem życia, światłem, kolorem i codzienną lekkością. Projektowanie ubrań było naturalnym przedłużeniem jej architektonicznego wykształcenia i potrzeby tworzenia harmonijnych form. Z czasem jednak pojawiła się potrzeba bardziej bezpośredniego, intuicyjnego kontaktu z materią – czegoś mniej użytkowego, a bardziej emocjonalnego.



W 2023 roku sięgnęła po pędzel, początkowo traktując malowanie jako osobistą odskocznnię od intensywności prowadzenia marki modowej. Szybko okazało się jednak, że obrazy zaczęły żyć własnym życiem – przyciągały uwagę odbiorców online i na wystawach pop-upowych, a malarstwo stało się nie tylko formą odpoczynku, ale nowym językiem wypowiedzi. W 2025 roku podjęła decyzję o zamknięciu Ciao Stories i całkowitym poświęceniu się sztuce.

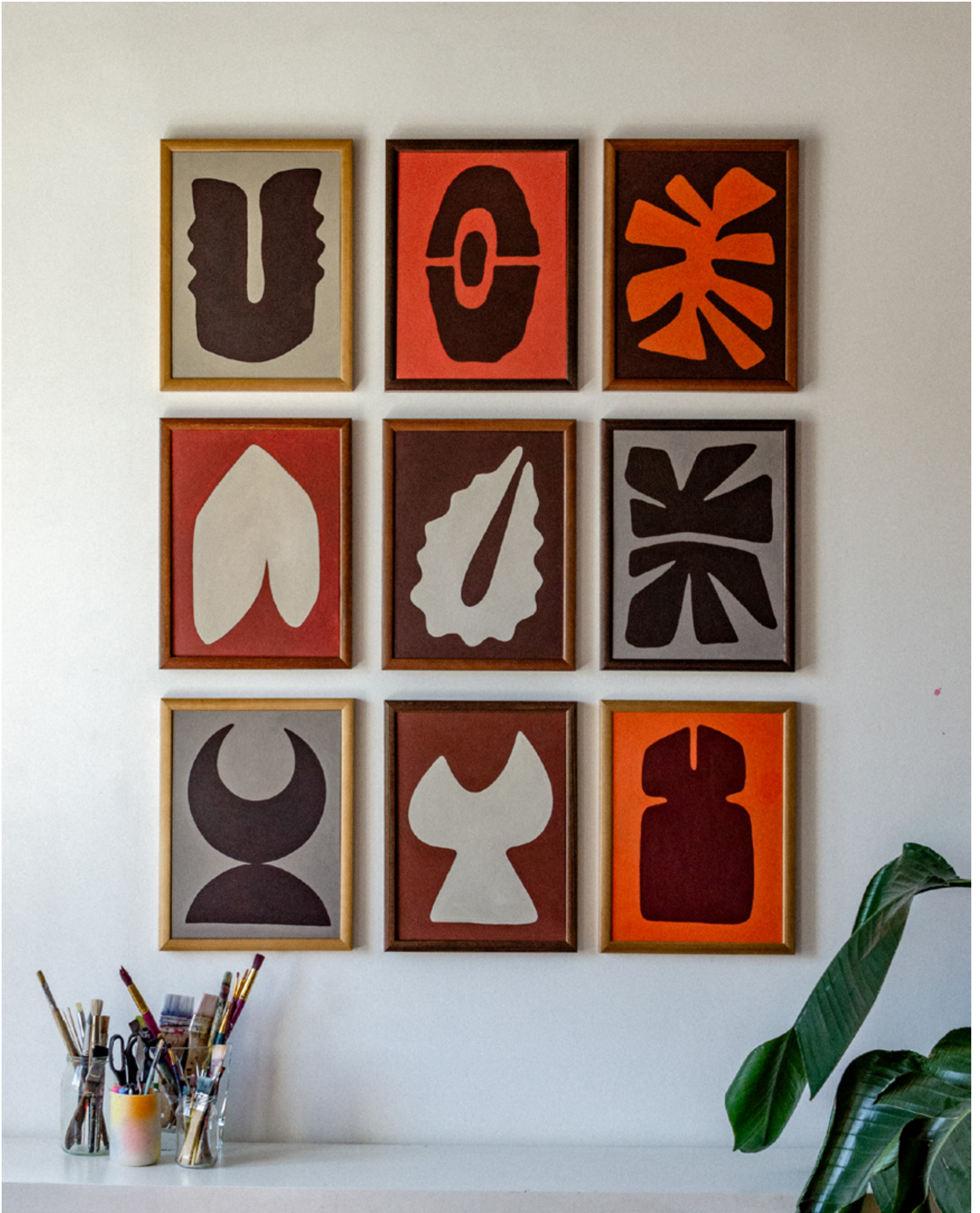
Dziś jej malarstwo koncentruje się na kolorze, rytmie i uproszczonej, biomorficznej formie. Organiczne, miękkie kształty – przypominające symbole, znaki, roślinne struktury lub intuicyjne wycinki natury – stały się jej charakterystycznym językiem wizualnym. To formy balansujące pomiędzy abstrakcją a skojarzeniem, pomiędzy geometrią a cielesnością. Ich siła tkwi w prostocie – w jednej linii, jednym łuku, jednym napięciu pomiędzy kolorem a kształtem.

Nie mając formalnego wykształcenia artystycznego, polega na własnej „inteligencji twórczej” – intuicji, wyczuwaniu kompozycji i silnej relacji z kolorem. Fascynuje ją biomorficzna linia i poszukiwanie idealnej, organicznej formy – takiej, która wydaje się naturalna, miękka i nieoczywiście doskonała. Jej obrazy często przypominają współczesne totemy lub uproszczone znaki – wizualne symbole emocji, spokoju i wewnętrznego rytmu.

Jej prace są energetyczne, ale nigdy chaotyczne. W świecie nadmiaru i przebodźcowania mają dawać widzowi chwilę oddechu – miejsce zatrzymania, spokoju i kontaktu z czystym odczuwaniem. To malarstwo, które nie opowiada historii wprost, ale buduje nastrój, pamięć i emocję poprzez samą obecność koloru i formy.













ELVES
BIKES POLSKA

LUKSUS W PRZYSTĘPNEJ CENIE!



**Niesamowite ramy, koła
i kompletne zestawy z włókna węglowego**

Dostępne niektóre modele od ręki lub z szybką dostawą!





Apple publikuje iOS i iPadOS 26.4.2 oraz iOS i iPadOS 18.7.8

Czytaj dalej...

Pierwsze aktualizacje firmware dla AirTag 2 i AirPods Max 2

Czytaj dalej...



Pixelmator Pro – pierwsza duża aktualizacja w 2026 roku

Czytaj dalej...



Apple Invites w wersji 1.8.0 – co nowego?

Czytaj dalej...

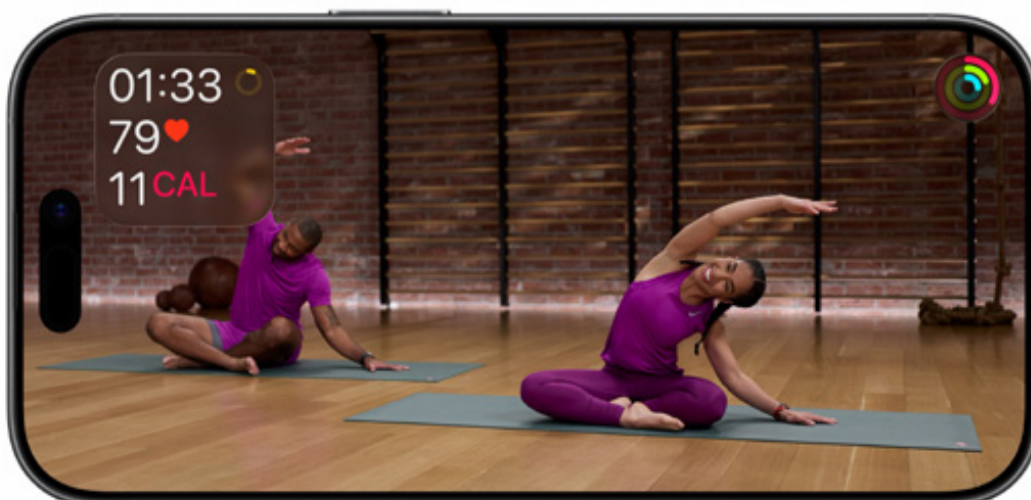


Apple aktualizuje GarageBand dla Maca. Nowa ikona, mniejsze pliki i jasny sygnał dla muzyków

Czytaj dalej...

Apple Fitness+ rozwija się w Polsce. Nowy program pilatesowy już dostępny

Czytaj dalej...



WWDC26

**Apple rozsyła zaproszenia
na WWDC 2026**

Czytaj dalej...

**Badacze „ukradli” 10 000
USD z zablokowanego
iPhone’a MKBHD**

Czytaj dalej...



**Apple uznaje iPada Air
3 za sprzęt „vintage”**

Czytaj dalej...





JBL Go 5 oficjalnie. Przydatne nowości, mające realny sens

JBL odświeża swoją linię miniaturowych urządzeń audio. Piąta odsłona modelu Go to nie tylko podbicie parametrów, ale przede wszystkim ulepszenia technologiczne.

Nowy JBL Go 5 zachowuje formę znanej, małej kostki, ale zyskuje ambientowe podświetlenie krawędzi. Nie jest to wyłącznie estetyczny dodatek – świetlne motywy pełnią rolę informacyjną, sygnalizując między innymi stan urządzenia, proces parowania czy poziom naładowania akumulatora.

Odporność i czas pracy

Urządzenie zostało uszczelnione zgodnie z rygorystyczną normą IP68, co gwarantuje pełną odporność na wodę oraz pył. Wzmocniono również samą obudowę, aby znacznie lepiej znosiła ewentualne upadki na twarde podłoże. Całość pozostaje wysoce mobilna, ważąc zaledwie 230 gramów.





Wewnątrz pracuje 45-milimetrowy przetwornik o mocy 4,8 W RMS. Wbudowane ogniwo litowo-jonowe pozwala na 8 godzin ciągłego odtwarzania muzyki, a uruchomienie programowej funkcji „Playtime Boost” jest w stanie wyciągnąć z niego dodatkowe dwie godziny.

Zaawansowana łączność i ekologia

Najciekawiej zapowiada się wsparcie dla nowych standardów, które realnie zmieniają sposób korzystania ze sprzętu. Głośnik łączy się ze źródłem poprzez moduł Bluetooth w wersji 6.0 (z obsługą kodeków takich jak LC3 czy AAC). Ogromnym plusem jest obecność technologii Auracast – to standard pozwalający na bezprzewodowe łączenie wielu kompatybilnych głośników w jedną, rozbudowaną sieć audio.

Praktyczną nowinką jest system „AirTouch”, czyli rozwiązanie przypominające znane z innych urządzeń szybkie parowanie przez zbliżenie. Wystarczy zetknąć ze sobą dwa modele Go 5, aby natychmiast utworzyły one parę stereo z automatycznym podziałem na lewy i prawy kanał. Dla purystów producent zostawił również rzadko spotykaną w tej klasie cenowej możliwość przewodowego przesyłania bezstratnego dźwięku za pomocą portu USB-C.



Inżynierowie **JBL** zrezygnowali z używania tworzywa PVC. Obudowę oraz magnes przetwornika wykonano częściowo z materiałów pochodzących z recyklingu (w tym tworzyw sztucznych i tkanin). Zmiany dotknęły również opakowania, które powstaje z papieru z certyfikatem FSC z ekologicznym nadrukiem na bazie soi. Ustawieniami oraz iluminacją można swobodnie sterować z poziomu mobilnej aplikacji JBL Portable.

Producent nie próbuje tu na siłę wymyślać koła na nowo, ale precyzyjnie dokłada funkcje, które realnie poprawiają codzienne użytkowanie – szczególnie Auracast oraz bezstratny przesył po kablu. Sugerowana cena detaliczna modelu JBL Go 5 została ustalona na 219 złotych.



Apple aktualizuje listę „vintage” i „obsolete” – Apple TV przestarzałe

Czytaj dalej...



Kopia zapasowa iCloud ujawniła gigantyczny spisek w Brazylii: 320 mln dolarów w tle

Czytaj dalej...

iOS 27 bez wsparcia dla iPhone'a 11 – które modele odpadną?

Czytaj dalej...






Dwa nowe zagrożenia dla macOS. Tradycyjne antywirusy są wobec nich całkowicie bezradne

Czytaj dalej...

Sąd: administracja Trumpa nie mogła zmuszać Apple do usuwania aplikacji śledzących ICE

Czytaj dalej...



Atak na łańcuch dostaw. Złośliwa aktualizacja Bitwarden CLI zagrażała deweloperom

Czytaj dalej...



Pierwsze pęknięcie w murze Apple. ChatGPT wjeżdża do CarPlay, rzucając wyzwanie Sifi

Czytaj dalej...



amazon

Amazon zmusza do wymiany czytników. Miliony sprawnych urządzeń straci wsparcie

Czytaj dalej...

Amazfit Cheetah 2 Pro debiutuje w Europie. To smartwatch dla biegaczy, którzy chcą biegać szybciej i mądrzej

Czytaj dalej...





Apple usuwa stare wersje Pages, Keynote i Numbers na macOS

Czytaj dalej...

Zapasy MacBooka Neo wyprzedane do maja

Czytaj dalej...



Apple Car Key trafi do samochodów Lexus – wykryto ślady w kodzie Apple

Czytaj dalej...





Cios w dudniący bas

Sennheiser celuje w rynek profesjonalny modelem HD 480 PRO

Praca w słuchawkach zamkniętych to zazwyczaj kompromis i walka z podbitym, nieczytelnym dołem pasma. Sennheiser rzuca wyzwanie temu zjawisku modelem HD 480 PRO.

To nie są słuchawki do zabawy, lecz surowe narzędzie pracy dla realizatorów szukających referencyjnego, godnego zaufania odsłuchu tam, gdzie absolutna izolacja akustyczna jest wymogiem.

Większość zamkniętych konstrukcji na rynku boryka się z problemem niekontrolowanego odwzorowania niskich tonów. To zjawisko, którego branża audio nie potrafiła bezkompromisowo wyeliminować od lat. Niemiecki producent twierdzi, że model HD 480 PRO ostatecznie rozwiązuje tę kwestię, stając się nowym punktem odniesienia w ofercie słuchawek przeznaczonych do trudnych warunków akustycznych.



Za opanowanie basu odpowiada innowacyjny „Vibration Attenuation System”, czyli autorski zestaw rozwiązań konstrukcyjnych niwelujących niepożądane odbicia, zniekształcenia i wibracje wewnątrz muszli. W połączeniu z ultralekkimi cewkami drgającymi, sprzęt ma dostarczać sygnał o analitycznej wręcz czystości. Zapomnij o ubarwianiu dźwięku – to brzmienie neutralne, któremu profesjonalista może po prostu zaufać w ciemno podczas podejmowania krytycznych decyzji w miksie.

Ergonomia na wielogodzinne sesje

Słuchawki to dla realizatorów, producentów i muzyków przede wszystkim przedłużenie zmysłów, a nie lifestylowy gadżet. Inżynierowie Sennheisera postawili na maksymalny komfort użytkowania, pozwalający utrzymać pełne skupienie przez wiele godzin:

- Zastosowano opatentowaną geometrię zawiasów, która zapewnia równomierny nacisk niezależnie od anatomii głowy.
- Nauszniki wyposażono w specjalne strefy, które nie uciskają zauszniczków okularów, zachowując przy tym pożądaną szczelność i izolację akustyczną.





- Odtaczany przewód można wpiąć zarówno w lewą, jak i prawą muszlę, co ułatwia dostosowanie sprzętu do konkretnego stanowiska pracy.
- Spiralny odcinek kabla znajdujący się tuż przy samej muszli skutecznie tłumi mechaniczne hałasy przenoszone przez przewód ocierający się o ubranie.
- Ciekawym, rzadko spotykanym w tej klasie sprzętu detalem, jest także oznaczenie muszli alfabetem Braille'a.

Zaufany odsłuch tam, gdzie liczy się izolacja

Nowe HD 480 PRO stanowią bezpośrednią, zamkniętą alternatywę dla cenionego na rynku, otwartego modelu HD 490 PRO. Sennheiser bardzo precyzyjnie dzieli role obu urządzeń. O ile konstrukcja otwarta pozostaje naturalnym wyborem do pracy w cichym, zaadaptowanym akustycznie studiu, o tyle model zamknięty sprawdzi się wszędzie tam, gdzie odcięcie od otoczenia jest priorytetem.

Zamknięte HD 480 PRO będą więc niezastąpionym narzędziem do nagrywania wokali (skutecznie zapobiegając przesłuchom z podkładu do mikrofonu), monitoringu dla realizatorów FOH podczas głośnych koncertów na






żywo, czy do precyzyjnej pracy twórczej w jednej przestrzeni z innymi osobami.

Cena i warianty wyposażenia

Standardowa wersja słuchawek **Sennheiser** HD 480 PRO została wyceniona na 1739 zł. W tej kwocie nabywca otrzymuje słuchawki, welurowe poduszki do nagrań, 3-metrowy kabel spiralny oraz miękką torbę transportową.

Dla realizatorów pracujących w trasie przygotowano bogatszą wersję HD 480 PRO Plus za 2079 zł, w której miękka torba została zastąpiona dedykowanym, twardym etui podróżnym.






**Rejestracja działalności
gospodarczej ze smartfona.
mObywatel dodaje usługę
dla przedsiębiorców**

Czytaj dalej...

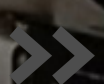
**Google rzuca wyzwanie
opasce Whoop. Fitbit
Air z datą premiery
i zaskakującą ceną**

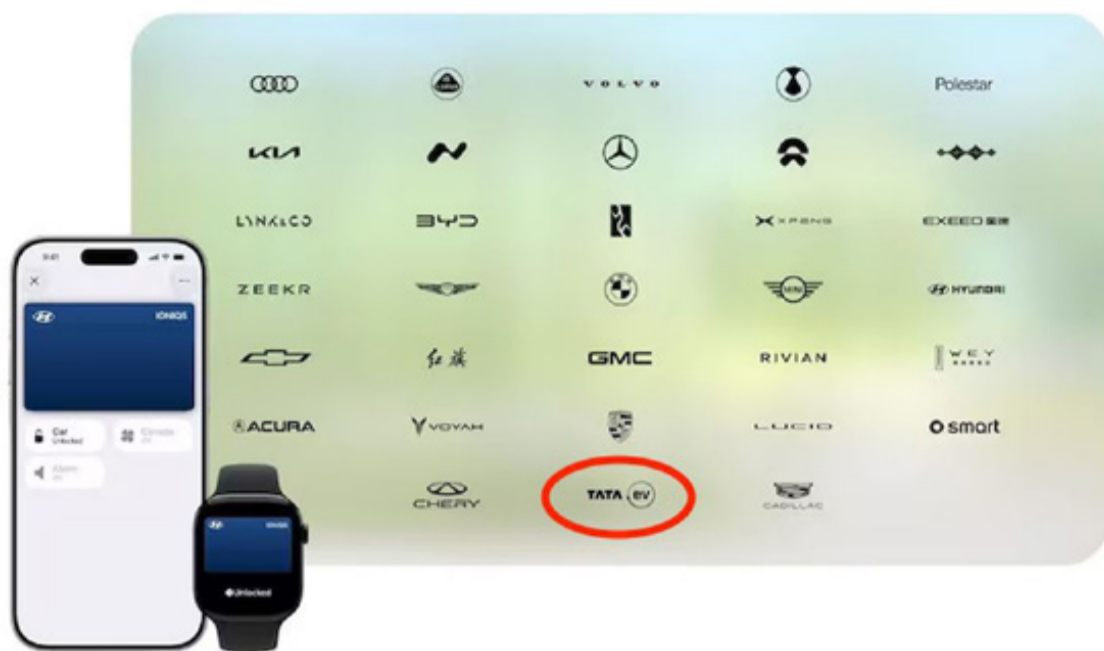
Czytaj dalej...



**Astronauta nagrał
„zachód Ziemi” za pomocą
iPhone’a 12 Pro Max**

Czytaj dalej...





Apple Car Key trafi do samochodów elektrycznych Tata

Czytaj dalej...

Szef Apple Music przyznaje: większość ludzi i tak nie słyszy różnicy w dźwięku lossless

Czytaj dalej...

Apple Music

Siń z silnikiem Gemini. Google oficjalnie chwali się współpracą z Apple przed premierą iOS 27

Czytaj dalej...



**Tim Cook wspiera
Nike – kolejne
1,1 mln dolarów
zainwestowane
w akcje giganta**

Czytaj dalej...



**Krok wstecz. Netflix
psuje aplikację na
Apple TV, wymieniając
odtwarzacz wideo**

Czytaj dalej...

**Paul McCartney pokazuje
kulisy koncertu w Apple Park
z okazji 50. urodzin Apple**

Czytaj dalej...



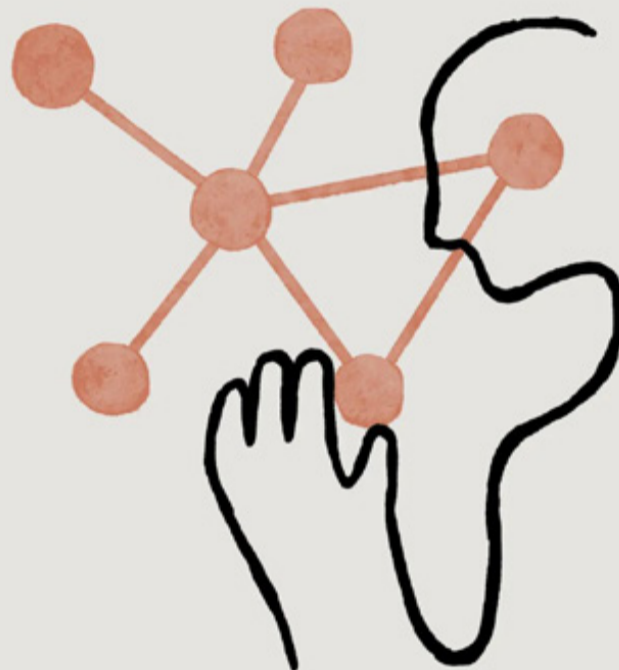


Jony Ive i OpenAI z problemami. Sąd zakazuje używania marki „io” dla ich nowego projektu

Czytaj dalej...

Spotify to dopiero początek. Claude integruje się z cyfrowymi gigantami i zyskuje pamięć

Czytaj dalej...



Nowa próba rozwikłania paradoksu Hawkinga. Czarne dziury mogą ukrywać informacje w dodatkowych wymiarach

Czytaj dalej...





Creative Pebble SE kolejna edycja z USB-C i RGB

Creative Technology prezentuje najnowszy zestaw głośnikowy z serii PEBBLE – Creative Pebble SE. Zestawy z tej serii zdobyły uznanie wśród miłośników wysokiej jakości dźwięku, co zainspirowało firmę Creative do kontynuowania i udoskonalania tej linii produktów. Pierwszy model z serii PEBBLE pojawił się pięć lat temu i dzięki doskonałemu dźwiękowi, wyjątkowemu designowi oraz atrakcyjnej cenie, szybko zyskał status legendy wśród zestawów głośnikowych. Teraz nadszedł czas na subtelne zmiany, które idą z duchem czasu, jednocześnie nie obniżając jakości dźwięku oferowanej przez tę linię. Seria Pebble skierowana jest do osób ceniących elegancki wygląd połączony z doskonałym brzmieniem.

W najnowszej wersji głośników Pebble wprowadzono kilka ulepszeń względem poprzedniego modelu. Wystłuzony wtyk USB-A został zastąpiony nowoczesnym USB-C, a także dodano konfigurowalne podświetlenie RGB, które ma na celu podkreślenie estetyki głośników i ich otoczenia.





Creative Pebble SE to zestaw głośników 2.0 wyposażony w pełnozakresowe, 2-calowe przetworniki z membranami miedziano-mylarowymi oraz pasywnymi radiatorami z tyłu, które wzbogacają niskie tony. Nowy model zachowuje kultową konstrukcję, w której przetworniki są pochylone pod kątem 45° względem słuchacza, tak jak we wszystkich poprzednich wersjach głośników z serii PEBBLE. W Creative Pebble SE zastosowano specjalnie dostrojone przetworniki, które gwarantują wysoką jakość dźwięku.

Podłączenie głośników do źródła dźwięku jest proste i odbywa się w trzech krokach. Wystarczy podłączyć kabel USB-C do dostępnego portu USB w celu zasilania, a następnie kabel AUX do urządzenia audio, aby cieszyć się wyjątkową jakością dźwięku.

Głośnik Creative Pebble SE, mierzący zaledwie 116,86 mm wysokości, idealnie wpasuje się na każde biurko, dodając elegancji bez zajmowania dużej ilości miejsca. Ponadto, głośniki wyposażono w wygodne pokrętło do regulacji głośności, co ułatwia szybkie sterowanie. Pomimo kompaktowych rozmiarów, głośniki te oferują moc akustyczną na poziomie 4,4W RMS oraz szczytową moc do 8,8W.





Kryzys tożsamości Apple Vision Pro. Czy zmiana na fotelu CEO uratuje projekt?

Czytaj dalej...

Tim Cook o Apple Maps: „To był mój pierwszy naprawdę duży błąd”

Czytaj dalej...



Koniec nazewniczego chaosu. Najtańszy tablet Apple może zadebiutować jako iPad Neo

Czytaj dalej...





Google

Miliardy na infrastrukturę. Google zainwestuje do 40 miliardów dolarów w Anthropic

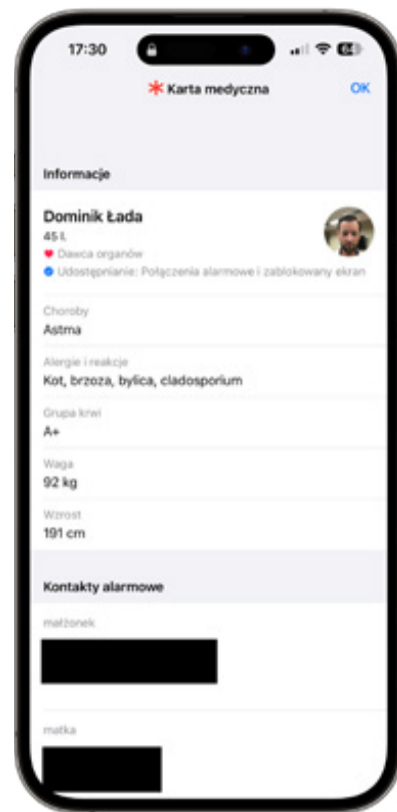
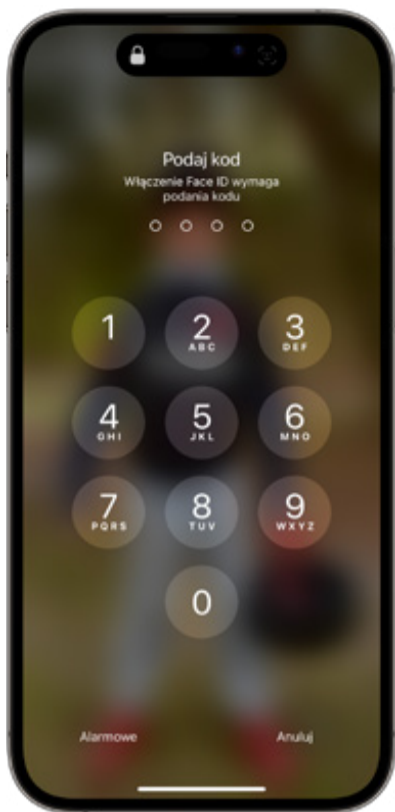
Czytaj dalej...



Szef projektu nowego Sifi rozważa odejście z Apple

Czytaj dalej...

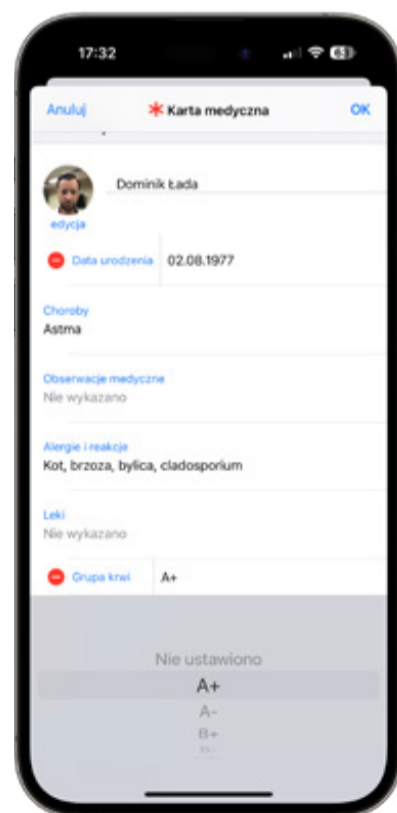




**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU**

KARTA MEDYCZNA W iPHONE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKSRANU

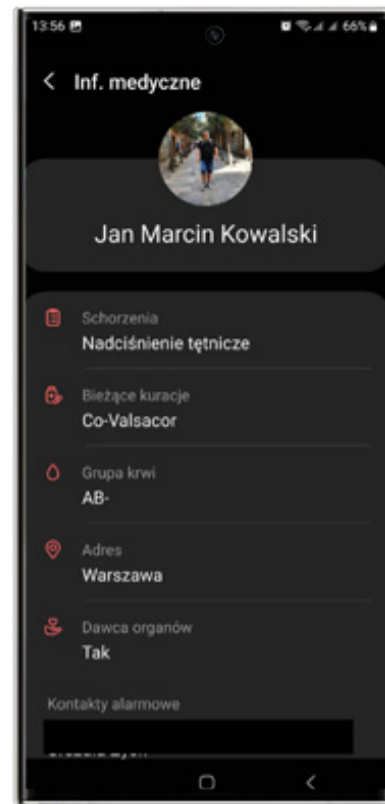


JAK UZUPEŁNIĆ



iMAGAZINE

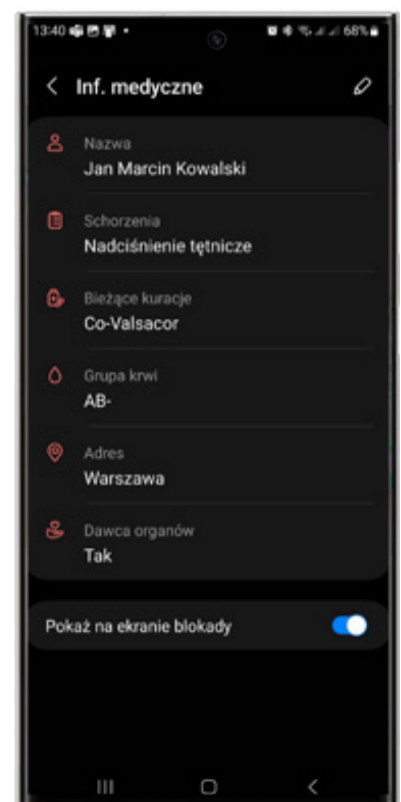
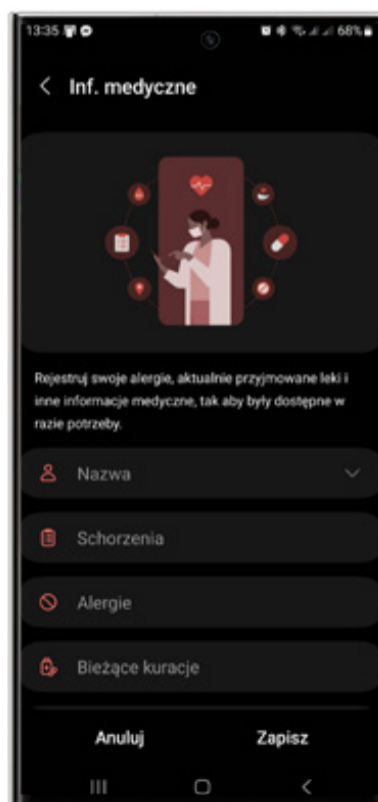
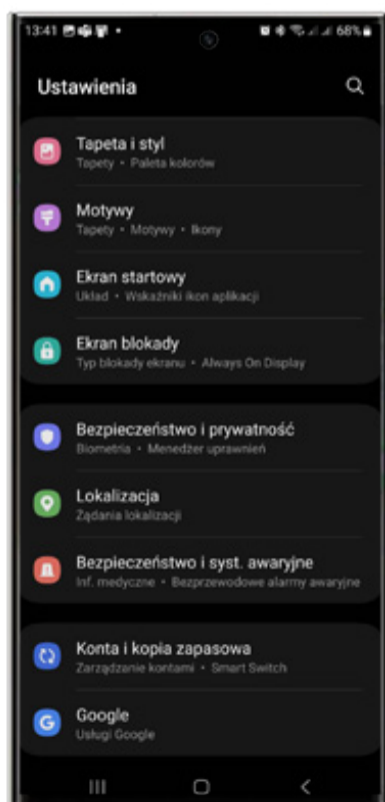
**JAK ODCZYTAĆ
Z ZABLOKOWANEGO EKРАНU**



INFORMACJA MEDYCZNA W ANDROIDZIE

UZUPEŁNIJ / ODCZYTAJ Z ZABLOKOWANEGO EKРАНU

JAK UZUPEŁNIĆ



SAMSUNG

iMAGAZiNE



Szybki internet z ZEWNĄTRZ. Perfekcyjny zasięg WEWNĄTRZ.

Kup zewnętrzny router 5G TP-Link NE200-Outdoor
lub zestaw Starlink w MediaExpert i uwolnij
ich pełną moc w swoim domu.

Dobierz system Wi-Fi Mesh TP-Link Deco
z rabatem aż do 700 zł.

do
700 zł
rabatu

mediaexpert



Maksymalna wydajność
Twojej nowej sieci



Zasięg
w całym domu



Płynne przełączanie
pod jedną nazwą WiFi



Kompletny ekosystem
do 700 zł taniej



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Nowy rozdział w historii Apple

Są takie momenty w historii technologii, które – choć zapowiadane od dawna – i tak zaskakują. Decyzja Tim Cook o przejściu na stanowisko Executive Chairman to właśnie jeden z nich. Nie dlatego, że ktoś nie spodziewał się zmiany. Raczej dlatego, że przez ostatnią dekadę przyzwyczailiśmy się do stabilności, która w świecie Big Techu bywa luksusem.



A jednak – zmiana nadeszła. A wraz z nią nowe nazwisko na wizytówce CEO: John Ternus.

I choć dla wielu to wciąż postać „z drugiego planu”, to prawda jest taka, że Ternus od lat współtworzył najważniejsze produkty Apple. Teraz po prostu wychodzi z cienia.

Plotki, które stały się rzeczywistością

Warto na chwilę zatrzymać się przy samym ogłoszeniu tej decyzji, bo dla uważnych obserwatorów rynku nie było ono aż tak dużym zaskoczeniem, jak mogłoby się wydawać. Nominacja John Ternus na stanowisko CEO jest bowiem potwierdzeniem plotek, które od dłuższego czasu krążyły w branży. W kulisach coraz częściej wskazywano właśnie jego jako naturalnego następcę Tim Cook – człowieka z wewnątrz, który zna firmę od podszewki i od lat przygotowywany jest do tej roli. Tym razem przecieki okazały się trafne, a spekulacje przerodziły się w oficjalny komunikat, który zamyka pewien etap w historii Apple i jednocześnie otwiera zupełnie nowy.

Inżynier, nie celebryta

W świecie, w którym liderzy firm technologicznych często stają się medialnymi gwiazdami, Ternus wydaje się... anachroniczny. I właśnie to może być jego największą siłą.

Nie znajdziemy u niego charyzmy scenicznej na miarę Steve Jobs ani operacyjnej precyzji komunikacyjnej, którą przez lata reprezentował Tim Cook. Zamiast tego dostajemy inżyniera z krwi i kości – człowieka, który rozumie produkt nie jako prezentację, lecz jako proces.

Ternus dołączył do Apple w 2001 roku, czyli w czasach, gdy firma dopiero budowała swoją drugą młodość. Przeszedł przez kolejne szczeble organizacji, by w końcu objąć stanowisko Senior Vice President of Hardware Engineering. To właśnie pod jego nadzorem powstawały najważniejsze urządzenia ostatnich lat – od Maców po iPady.

I choć nie zawsze był twarzą tych produktów, to bardzo często był ich architektem.



Człowiek od hardware'u

Jeśli ktoś miałby wskazać jedną rzecz, która definiuje karierę Ternusa, byłby to hardware. W czasach, gdy Apple coraz mocniej podkreśla znaczenie usług i ekosystemu, nowy CEO jest zakorzeniony w fizycznym produkcie.

To on nadzorował transformację Maców na procesory Apple Silicon – jedną z najważniejszych decyzji technologicznych w historii firmy. To również jego zespoły odpowiadały za rozwój kolejnych generacji iPhone'ów, iPadów i wielu innych urządzeń, które definiują dzisiejsze Apple.

W świecie pełnym strategów i wizjonerów, Ternus jest kimś, kto „dowiódł” rzeczywistość.

I może właśnie dlatego został wybrany.

Apple bez Cooka? Nie do końca

Warto jednak podkreślić jedno: Tim Cook nie znika. Przechodzi na stanowisko Executive Chairman, co w praktyce oznacza, że nadal będzie miał ogromny wpływ na strategiczne decyzje firmy.

To nie jest rewolucja. To raczej kontrolowana ewolucja.

Cook pozostawia po sobie Apple jako jedną z najpotężniejszych firm świata – finansowo stabilną, operacyjnie dopracowaną i niezwykle przewidywalną. Ternus nie przejmuje sterów w czasie kryzysu, lecz w momencie względnego spokoju.

A to zmienia wszystko.

Cook pozostawia po sobie Apple jako jedną z najpotężniejszych firm świata – finansowo stabilną, operacyjnie dopracowaną i niezwykle przewidywalną. Ternus nie przejmuje sterów w czasie kryzysu, lecz w momencie względnego spokoju.



Co zmieni się pod rządami Ternusa?

To pytanie, które zadaje sobie dziś cała branża. I choć odpowiedź nie jest oczywista, można pokusić się o kilka obserwacji.

Po pierwsze – możemy spodziewać się większego nacisku na produkt. Ternus to człowiek hardware'u, więc naturalne wydaje się, że Apple jeszcze mocniej skupi się na jakości i innowacyjności urządzeń.

Po drugie – możliwe jest przyspieszenie zmian technologicznych. Transformacja na Apple Silicon pokazała, że firma potrafi podejmować odważne decyzje. Pod wodzą Ternusa takich ruchów może być więcej.

Po trzecie – styl zarządzania może ulec zmianie. Cook był mistrzem operacji i logistyki. Ternus może być bardziej „produktowy”, mniej skupiony na liczbach, a bardziej na doświadczeniu użytkownika.

Objęcie stanowiska CEO Apple to jedno z najbardziej wymagających zadań w biznesie. Ternus wchodzi w buty dwóch gigantów – Steve Jobs i Tim Cook.

Ale nie łudźmy się – Apple to gigantyczna organizacja. Tu nic nie dzieje się z dnia na dzień.

Dziedzictwo i presja

Objęcie stanowiska CEO Apple to jedno z najbardziej wymagających zadań w biznesie. Ternus wchodzi w buty dwóch gigantów – Steve Jobs i Tim Cook.

Pierwszy stworzył wizję. Drugi zbudował imperium.

Teraz czas na trzeci akt tej historii.



Zmiany na szczycie Apple rzadko są gwałtowne. Firma od lat działa według własnego rytmu, unikając chaosu i medialnych dramatów.

I choć Ternus nie ma jeszcze tak wyraźnie zdefiniowanego stylu przywództwa, to jego dotychczasowa kariera sugeruje jedno: nie będzie próbował kopiować swoich poprzedników.

Cichy ruch, duże konsekwencje

Zmiany na szczycie Apple rzadko są gwałtowne. Firma od lat działa według własnego rytmu, unikając chaosu i medialnych dramatów.

Przejście od Cooka do Ternusa wpisuje się w tę filozofię. To ruch przemysłany, przygotowany i – co najważniejsze – spójny z DNA firmy.

A jednak jego konsekwencje mogą być ogromne.

Bo choć Apple pozostaje Apple, to każdy lider wnosi do niej coś nowego. Nawet jeśli robi to po cichu.

Na progu nowej ery

Patrząc na tę zmianę z perspektywy czasu, można odnieść wrażenie, że była nieunikniona. Apple potrzebowało nowej energii, nowego spojrzenia, a jednocześnie kogoś, kto rozumie firmę od środka.

John Ternus wydaje się idealnym kandydatem.

Nie jest outsiderem. Nie jest rewolucjonistą. Jest kimś, kto dorastał razem z Apple i zna ją od podszewki.

I być może właśnie dlatego jego największym wyzwaniem nie będzie zmiana firmy.

Tylko udowodnienie, że potrafi ją poprowadzić dalej – bez utraty tego, co uczyniło ją wyjątkową.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

FOT. APPLE

Kulisy przejęcia władzy przez Johna Ternusa

20 kwietnia 2026 roku Apple ogłosiło coś, co od miesiący było otwartą tajemnicą branży: Tim Cook odchodzi ze stanowiska CEO, a jego miejsce zajmie John Ternus.



Formalnie zmiana nastąpi 1 września. Do tego czasu Cook pozostaje na stanowisku i pracuje z Ternusem nad płynnym przekazaniem obowiązków, po czym obejmie rolę przewodniczącego wykonawczego rady dyrektorów.

Komfort, którego nie miał Tim Cook

Żeby zrozumieć wagę tej chwili, warto cofnąć się o piętnaście lat.

W 2011 roku Cook nie miał komfortu zaplanowanego sukcesji — Steve Jobs odszedł ze stanowiska CEO zaledwie 43 dni przed śmiercią, a Cook musiał przejąć ster w atmosferze żałoby i niepewności, bez mentora do rozmów

w trudnych momentach. Wiele wskazuje na to, że przez lata swojej kadencji pamiętał o tym doświadczeniu i konsekwentnie starał się zbudować dla swojego następcy coś, czego sam nie dostał: przemyślany, długofalowy plan sukcesji. Ternus dostaje czas, mentoring i zaufanego doradcę u boku — przynajmniej przez pierwsze miesiące swojej kadencji. Niemal dwa lata temu Bloomberg sugerował, że Ternus może być planowanym następcą Cooka, a gdy w listopadzie 2025 roku „Financial Times” poinformował, że Ternus prawdopodobnie go zastąpi, kierunek zmian był już oczywisty.

Wewnętrzne memo, które Cook wysłał do pracowników, było utrzymane w tonie pożegnalnym, choć sam Cook podkreślał, że to nie koniec. Pisał o wartościach zakorzenionych w Apple, które są większe niż jakikolwiek człowiek: przekonanie o prostocie zamiast złożoności, niecierpliwość wobec wszystkiego, co nie jest doskonałe, i zobowiązanie do wzbogacania życia użytkowników. W liście do pra-

owników Cook opisał Ternusa jako wizjonera o niezwykłej prawości, za którym wszyscy mogą podążać z dumą, i wyraził pewność, że jest właściwą osobą do prowadzenia Apple w przyszłość. Na stronie Apple ukazał się też jego osobisty, publiczny list — nieformalne podziękowanie dla użytkowników, podpisane po prostu „Tim”, w którym wspomina, jak dorastał w małym miejscu, daleko od Doliny Krzemowej, i przez te „magiczne chwile” miał szczęście być CEO największej firmy na świecie.

John Ternus spędził w Apple niemal całą swoją zawodową karierę — ponad 25 lat. Wywodzi się ze świata inżynierii produktowej i przez ostatnie lata kierował działem Hardware Engineering, będąc odpowiedzialnym za każdy sprzęt, który Apple wypuszczało na rynek.



Ternus z kolei odpowiedział własnym memem do zespołu, w którym podziękował za lata pracy przy sprzęcie i zapewnił, że nadal zamierza być bardzo blisko produktów. „Nadal planuję być bardzo hands-on (ang. na bieżąco)” – napisał, co w kontekście jego inżynierskiego background brzmi jak deklaracja charakteru, nie tylko stylu zarządzania. Na dzień po ogłoszeniu zaplanowano town hall w Steve Jobs Theater.

John Ternus spędził w Apple niemal całą swoją zawodową karierę – ponad 25 lat. Wywodzi się ze świata inżynierii produktowej i przez ostatnie lata kierował działem Hardware Engineering, będąc odpowiedzialnym za każdy sprzęt, który Apple wypuszczało na rynek. Jason Snell z Six Colors **trafnie zauważył**, że po 15 latach operacyjnego podejścia Cooka, Apple zyskuje teraz CEO bliższego „metalowi” – kogoś, kto rozumie produkt od środka w sposób, w jaki Cook nigdy nie mógł. To istotna zmiana filozofii zarządzania, nawet jeśli na zewnątrz nie od razu będzie widoczna.

Ważnym elementem całej układanki jest też to, co Cook zabiera ze sobą na nową pozycję. Jako przewodniczący wykonawczy rady, Cook zachowuje odpowiedzialność za relacje z rządami i politykami na całym świecie. Brzmi jak detal, ale chodzi o jedno z najtrudniejszych zadań ostatniej dekady: negocjowanie z Chinami, zarządzanie relacjami z administracją Trumpa, łagodzenie skutków ceł – to wszystko Cook bierze ze sobą do sali boardowej. Ternus, przynajmniej na razie, pozostaje od tego skutecznie odizolowany, co wielu komentatorów uznaje za przemyślany ruch chroniący nowego szefa przed najbardziej politycznie naładowanymi aspektami funkcji CEO.

Jako przewodniczący wykonawczy rady, Cook zachowuje odpowiedzialność za relacje z rządami i politykami na całym świecie. Brzmi jak detal, ale chodzi o jedno z najtrudniejszych zadań ostatniej dekady: negocjowanie z Chinami, zarządzanie relacjami z administracją Trumpa, łagodzenie skutków ceł...



Kim jest Johny Srouji w tej układance?

Równie interesująca jest historia Johny'ego Srouji. W grudniu 2025 roku Bloomberg poinformował, że Srouji poważnie rozważa odejście z Apple. Dwa dni później sam Srouji zdementował te doniesienia, mówiąc, że nigdzie się nie wybiera. Dziś wiemy, że między tymi doniesieniami musiały toczyć się intensywne rozmowy. Trudno nie dostrzec, że to klasyczne działanie retencyjne – Srouji dostaje nowy tytuł w C-suite i przejmuje rolę, którą wcześniej piastował Ternus. Jako Chief Hardware Officer połączył pod swoim kierownictwem dwa wcześniej oddzielne działy: hardware engineering i hardware technologies, tworząc jednolitą organizację sprzętową.

W mailu do pracowników Srouji zapowiedział podzielenie połączonego działu na pięć obszarów: inżynierię sprzętową (Tom Marieb), krzem (Sri Santhanam), technologie zaawansowane (Zongjian Chen), architekturę platformy (Tim Millet) i zarządzanie projektami (Donny Nordhues). To grono weteranów – łącznie kilkadziesiąt lat stażu w Apple. Srouji napisał też do swojego zespołu, że Cook „dokonał najlepszego możliwego wyboru” wyznaczając Ternusa na następcę.

Srouji jest ojcem Apple silicon – jednego z największych atutów firmy w ostatnich latach. Jego ewentualne odejście byłoby prawdziwym ciosem, być może większym niż jakakolwiek zmiana na poziomie CEO. Fakt, że zostaje, jest sygnałem stabilności, którego Apple potrzebowało.

Co dalej?

Całość rysuje obraz sukcesji dobrze przemyślanej, choć nie pozbawionej napięć po drodze. Cook odchodzi z tarczą – firma jest warta więcej niż kiedykolwiek, Apple silicon zrewolucjonizował branżę, usługi i wearables zastąpiły wyhamowujący wzrost iPhone'a. Ternus z kolei ma przed sobą otwarte drzwi do wprowadzania własnych zmian – nowy lider ma zawsze łatwiej niż poprzednik, gdy chodzi o odwracanie decyzji czy wyznaczanie nowych kierunków.

Apple wchodzi w erę Ternusa z mocną pozycją, doświadczonym zarządem i – co najważniejsze – człowiekiem, który zna każdy produkt firmy od podszewki.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

fot. Dominik Łada

„Zmienimy świat”

– Ternus przejmuje Apple i od razu wdraża AI

Dzień po ogłoszeniu zmiany na stanowisku CEO Apple, 21 kwietnia, Tim Cook i John Ternus spotkali się z pracownikami firmy na town hallu w Steve Jobs Theater. To, co powiedzieli, daje pierwsze wyraźne sygnały, jak będzie wyglądać Apple w erze Ternusa – i jak Cook zamierza pożegnać się z rolą, którą pełnił przez piętnaście lat.



AI służące człowiekowi to kierunek

Ternus nie owijał w bawetnę, donosi **Bloomberg**. Powiedział pracownikom, że jest „szczególnie podekscytowany, że obejmuje tę rolę właśnie teraz, bo zaraz zmienimy świat po raz kolejny”, i że Apple ma przed sobą „niesamowite plany na kolejne produkty” — dodając, że to „najbardziej ekscytujący moment w jego całej karierze, jeśli chodzi o tworzenie produktów i usług”. Słowa brzmiały jak przemowa motywacyjna, ale w kontekście tego, co Ternus już robi, trudno je zbagatelizować.

Kilka dni wcześniej, jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem sukcesji, Ternus przebudował wewnętrzną organizację działu hardware engineering wokół nowej platformy AI — zaprojektowanej, by przyspieszyć rozwój produktów i podnieść ich jakość. Według **Bloomberga** to zapowiedź jego planu szybkiego wdrażania AI w całej firmie w celu usprawnienia jej operacji. Apple od dłuższego czasu korzysta wewnątrz z rozwiązań Anthropic, ale skala i tempo zmian planowanych przez Ternusa wydają się wykraczać poza dotychczasową praktykę.

Cook z kolei na town hallu zabrał głos w sprawie, która od razu po ogłoszeniu zmiany pojawiła się w komentarzach: czy jest zdrowy?

„Jestem zdrowy. Mam dużo energii i planuję pełnić tę rolę przez długi czas”

— powiedział (za **Bloombergiem**), dodając, że Apple będzie jego najwyższym priorytetem. Odpowiedź nie była przypadkowa — w 2011 roku Jobs odchodził w cieniu choroby, a rynki i media każdą zmianę na szczycie Apple automatycznie kojarzą z tamtym dramatycznym precedensem. Cook wyraźnie chciał przeciąć te spekulacje.

Na pytanie, dlaczego odchodzi właśnie teraz, Cook odpowiedział konkretnie: firma radzi sobie świetnie, lineup produktowy jest wyjątkowy, a Ternus jest gotowy. „Te trzy rzeczy zbiegły się w jednym momencie. I dlatego teraz był właściwy czas” — powiedział.



Tajemnice Apple

Osobnym wątkiem jest kwestia tajemnicy. Choć od miesięcy spekulowano, że Ternus zostanie następcą Cooka, kluczowy szczegół – dokładna data i oficjalna decyzja – pozostawał ściśle strzeżony. Zgodnie z dokumentem 8-K złożonym do SEC tuż po ogłoszeniu, rada dyrektorów Apple zatwierdziła kandydaturę Ternusa 17 kwietnia, w piątek. Decyzja pozostawała tajna przez cały weekend, aż do poniedziałkowego ogłoszenia. To wymowny sygnał: Apple potrafi zachować milczenie wtedy, kiedy naprawdę na tym zależy – nawet jeśli co roku wycieka harmonogram kolorystyczny kolejnego iPhone'a.

Ciekawym kontekstem dla całej sukcesji są słowa, które Cook wypowiedział kilka tygodni wcześniej w rozmowie z Benem Cohenem z „**Wall Street Journal**” – jeszcze przed oficjalnym ogłoszeniem, gdy pytanie o następcę było czysto hipotetyczne. Cohen zapytał, co by powiedział osobie, która go zastąpi. Cook odpowiedział, że powiedziałby to samo, co Jobs powiedział jemu:

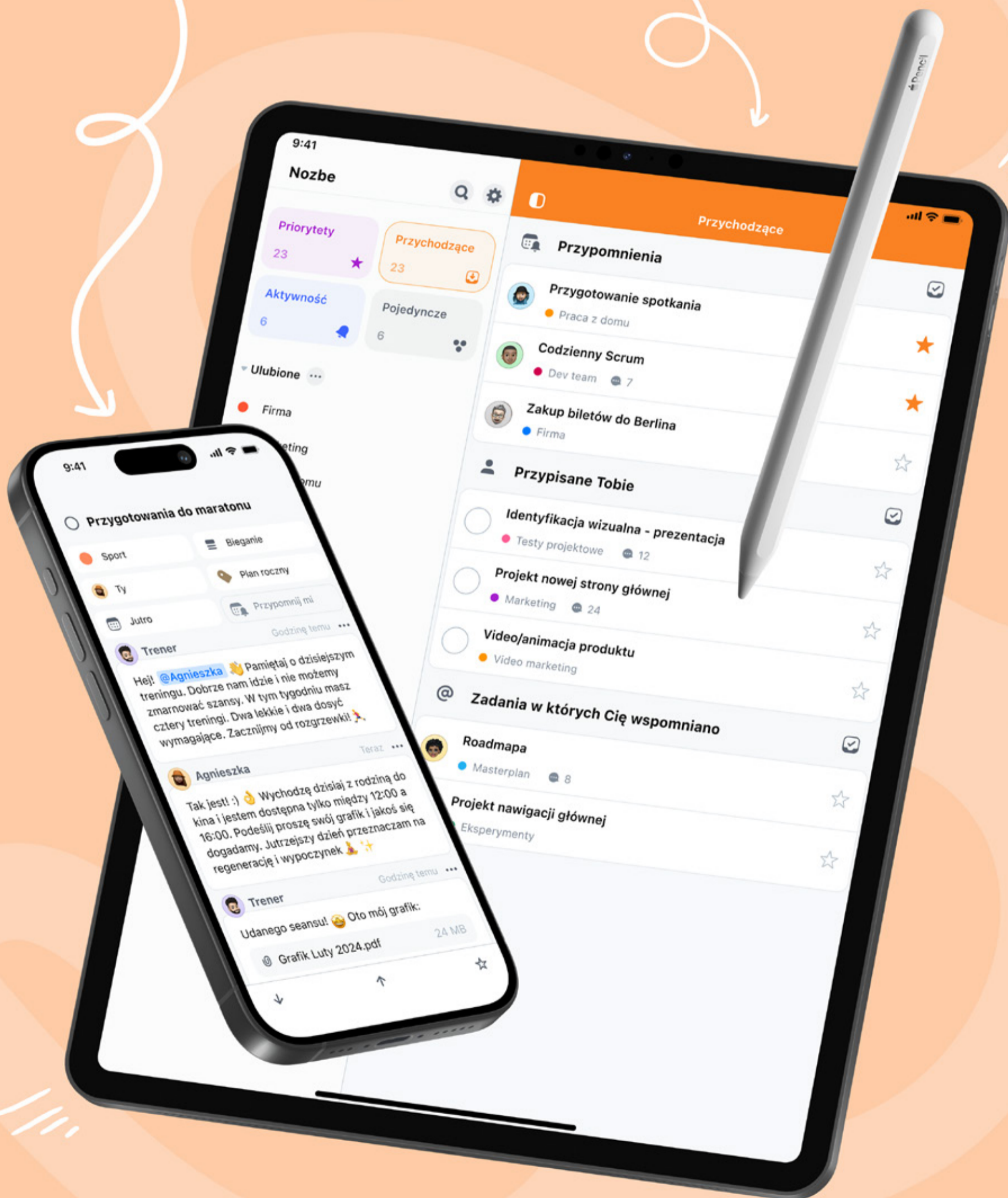
„Bądź sobą. Trzymaj mocno Gwiazdę Północną wartości firmy. Jeśli masz właściwe wartości i utrzymujesz je w polu widzenia, możesz zboczyć z kursu, ale ostatecznie zawsze wrócisz na właściwą drogę”.

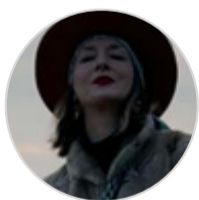
Jobs radził Cookowi, żeby nigdy nie pytał, co zrobiłby Jobs – tylko żeby robił to, co słuszne. Cook przekazuje Ternusowi tę samą myśl: nie naśluduj poprzednika, zostań sobą.

To dobra rada – szczególnie dla kogoś, kto przejmuje jedno z najtrudniejszych stanowisk w świecie technologii i już w pierwszych dniach pracy nad nową platformą AI daje sygnał, że zamierza rządzić po swojemu.



Zorganizuj swoje życie prywatne i zawodowe





MAŁGORZATA PODSTAWKA
[@mousso_stories](#)

Essaouira – tu wszystko gra

Po ponad dwóch tygodniach w Marrakeszu, ruszam na wybrzeże, żeby nieco odetchnąć od miejskiego życia. Miasto polecane na niemal przez wszystkich - ludzi poznanych an miejscu i samych mieszkańców Marrakeszu, świetnie skomunikowany, szczególnie blisko muzyki. To wystarczyło, żebym spakowała się w kwadrans i obrąta właśnie ten kierunek.





Krótki rys historyczny

Essaouira, dawniej znana jako Mogador, to jedno z tych miejsc, które od pierwszego momentu wymykają się prostym definicjom. Miasto o bogatej historii handlowej, przez wieki było ważnym portem łączącym Afrykę z Europą. Wpływy arabskie, berberyjskie i europejskie przenikają się tu naturalnie: w architekturze, kuchni i codziennym życiu.

Dziś Essaouira to spokojniejsza, bardziej refleksyjna alternatywa dla Marrakeżu. Mniej intensywna, ale nie mniej wyrazista.





Jak dojechać?

Najprościej z Marrakeszu, około 3 godziny autobusem i naprawdę warto to zrobić, żeby zobaczyć kontrast między tymi miastami.

Jeśli lecicie z Europy, dobrze sprawdzają się przesiadki w Mediolanie, Madrycie czy Maladze. Czasem trafiają się też bezpośrednie loty do Essaouiry, ale to raczej kwestia sezonu.

Gdzie się zatrzymać?

Opcji jest dużo - od riadów w medynie po hotele i prywatne apartamenty.

Ja zatrzymałam się w La Smala i to było bardzo dobre trafienie. Prosto, czysto, ładnie gustownie i z klimatem. Największy plus to dach: duży taras z restauracją i kawiarnią i widokiem na ocean.

Spędzałam tam sporo czasu - trochę pracy, trochę jedzenia, trochę patrzenia w dal. To jedno z moich ulubionych miejsc do pracy. W menu znajdziemy przepyszne śniadania, lunchy i kolacje. To również świetna opcja na kolację z widokiem na zachód słońca nad oceanem. Raczej nie romantyczną, bo wiele osób wpada na ten sam pomysł, ale i tak warto.

Medyna

Medyna w Essaouirze jest jedną z tych, w których naprawdę da się oddychać. Jest kompaktowa, uporządkowana i dużo spokojniejsza niż w Marrakeszu, więc zamiast walki o przestrzeń masz raczej przestrzeń do chodzenia.



Najlepsze, co można tu zrobić, to... nie mieć planu. Skręcać w boczne uliczki, wracać tą samą drogą, zatrzymywać się tam, gdzie coś przyciągnie uwagę. Essaouira nie działa na zasadzie „tu jest punkt A, tu B”. Raczej składa się z małych scen, które łapiesz po drodze.

Jednym z bardziej charakterystycznych miejsc są mury obronne i bastiony przy oceanie. To nie jest długa „atrakcja”, raczej punkt, do którego się wraca, żeby spojrzeć na miasto z innej perspektywy, złapać wiatr, posiedzieć chwilę. Stamtąd dobrze widać, jak medyna styka się z oceanem.

Warto też zajrzeć na główne place i ulice handlowe, ale bez nastawienia na zakupy „tu i teraz”. Lepiej dać sobie czas, wejść do kilku sklepów, pogadać, poobserwować. Essaouira ma dużo rzemiosła: drewno thuya, biżuteria, tekstylia. Często rzeczy są prostsze niż w Marrakeszu, ale właśnie to jest w nich dobre.

Są też galerie i małe pracownie artystyczne, które pojawiają się trochę niespodziewanie, między sklepem a kawiarnią. Warto do nich zaglądać, nawet jeśli tylko na chwilę. To daje lepszy obraz miasta niż jakiegokolwiek „top atrakcje”.

Essaouira w tej części nie potrzebuje wiele „zwiedzania”. Wystarczy być uważnym.



Moje ulubione miejsca

Arabico Café & Brunch

To jedno z tych miejsc, do których trafiasz raz i potem jakoś naturalnie wracasz. Rano na śniadanie, później na kawę, czasem jeszcze raz w ciągu dnia.

Leży przy jednej z bardziej ruchliwych ulic, więc siadasz i od razu masz przed sobą kawałek miasta w ruchu. W menu jest wszystko, czego potrzebujesz na spokojny początek dnia: śniadania, kawa, coś lekkiego na później. Całość na dobrym poziomie.

I koty - Carmel i Aicha! Nie jako atrakcja, tylko jako część tego miejsca. Są, kręcą się, czasem przysiadą obok. Trochę jakby pilnowały, żeby wszystko było na swoim miejscu.

Czyż nie jest miło napić się kawy, najlepiej z Carmelem?

Przy okazji, na przeciwko kawiarni znajdziecie świetny butik, w którym czekają na Was przepiękne, lokalnie szyte ubrania, które doskonale wpiszą się w kolorystykę towarzyszącą tutejszym zachodom słońca.

IG: @arabico_brunch





Mutalat

To jedno z lepszych miejsc, na jakie trafiłam w Essaouirze zupełnie przypadkiem. Szłam w inne miejsce, ale, no właśnie, widok wnętrza przykuł moją uwagę i dałam się do niego zaprosić.

A środek jest bardzo estetyczny i dobrze przemyślany. Wszystko tu do siebie pasuje, nic nie jest przypadkowe. A przy tym nie ma wrażenia „przesady”, tylko raczej spokój. To miejsce naprawdę wycisza.

Kawiarnia jest rozłożona na kilku poziomach, więc można wybrać sobie przestrzeń pod nastrój: bardziej otwartą albo bardziej schowaną. Do tego niemożliwie spektakularny widok na ocean.

Ogromny plus za obsługę. Jest bardzo miła, pomocna, obecna. Czujesz się tam po prostu dobrze. Jedzenie też na wysokim poziomie, więc spokojnie można zostać na dłużej.

Serio, warto wybrać się chociaż raz.

@mutalat_essaouira



Café Sicilia

Jedno z tych miejsc, obok których trudno przejść obojętnie. Naturalnie przyciąga, i nic dziwnego.

To bardzo dobry punkt obserwacyjny. Siadasz z kawą, najlepiej na zewnątrz, i patrzysz, jak tłum się przewija. Ludzie mijają się w swoim tempie, ktoś się zatrzymuje, ktoś rozmawia, ktoś wpada tylko na chwilę.

Nie ma tu nic spektakularnego i właśnie to jest jego siłą. To miejsce daje prostą, niewymuszoną przerwę.

Dobre na moment między jednym a drugim spacerem. Albo wtedy, kiedy chcesz po prostu usiąść i popatrzeć.

Essaouira Soul Coffee

Małe miejsce schowane trochę w souku, które łatwo przegapić, a szkoda by było. To raczej kilka stolików, trochę pod dachem, trochę na zewnątrz. Proste miejsce, ale właśnie dlatego dobrze się tam zatrzymać na chwilę.

Jest tu trochę głośniejsze, bardziej „w ruchu”, momentami chaotycznie, ale to wszystko składa się na klimat tego miejsca.

No i koty - są tu praktycznie zawsze. Kręcą się między stolikami, śpią gdzieś obok, czasem podejdują bliżej. Po prostu są częścią tego miejsca.



Donuty „po drodze”

Nie mają nazwy, szyldu ani Instagrama. I dobrze. Dzięki temu trafiasz na nie zupełnie naturalnie, gdzieś między jednym miejscem a drugim.

Duże, jeszcze ciepłe, całe w cukrze. Proste, bez kombinowania. Kosztują około 2 dirhamów, więc bierzesz jednego bez zastanowienia.

Szybki zastrzyk energii w środku dnia, szczególnie dla tych, którzy Tłusty Czwartek mogliby obchodzić codziennie.





Przestrzeń do pracy

Jeśli tak jak ja łączycie podróże z pracą, Essaouira naprawdę to ułatwia.

Noqta to miejsce, które dobrze rozumie ten tryb. Z jednej strony co-work, z drugiej restauracja, i to połączenie działa zaskakująco dobrze. Można tu przyjść na kilka godzin i faktycznie zrobić swoje, bez poczucia, że „zaraz trzeba się zbierać”.

Przestrzeń jest przemyślana: są wspólne stoły, ale też mniejsze, bardziej prywatne miejsca. Do tego mini salki, w których spokojnie ogarniecie ważne spotkanie, calla czy nagranie. Internet działa stabilnie, co, jak wiadomo, bywa kluczowe.

Duży plus za jedzenie. Nie trzeba nigdzie wychodzić w środku dnia, można po prostu zrobić przerwę, zjeść coś dobrego i wrócić do pracy.

To jedno z tych miejsc, gdzie naprawdę da się na chwilę „wejść w tryb zadaniowy”, nawet jeśli za drzwiami czeka ocean i całe miasto do odkrycia.

@noqtaspace



Życie na plaży

Plaża w Essaouirze jest szeroka i ciągnie się naprawdę długo, więc każdy znajduje tu swoją przestrzeń. To nie jest miejsce, gdzie leży się bez ruchu przez cały dzień (choć tak też można). Naturalnie wyciąga na spacer albo do spróbowania czegoś nowego.

Najbardziej widać to po wodzie. Essaouira jest znana z kitesurfingu i windsurfingu. Wiatr, który momentami potrafi być intensywny, tutaj działa na korzyść. Wzdłuż plaży działa sporo szkółek, więc nawet jeśli ktoś nigdy wcześniej nie próbował, spokojnie można zacząć od zera.

Jeśli woda to nie Wasz kierunek, są też inne opcje. Jazda konna wzdłuż oceanu to dość popularny widok. Podobnie jak wielbłądy, które pojawiają się regularnie, zwłaszcza bliżej zachodu słońca.

Infrastruktura jest dobrze rozwinięta, ale bez przesady. Są bary i restauracje przy plaży, miejsca, gdzie można usiąść, coś zjeść albo napić się kawy, są też leżaki i przestrzenie bardziej „plażowe”. Jednocześnie nie ma tu poczucia zamkniętego resortu. Wszystko jest raczej otwarte i dostępne.



Nie nudzące się zachody słońca i wiatr

Zachody słońca w Essaouirze naprawdę robią wrażenie i nie nudzą się, nawet jeśli ogląda się je kilka dni z rzędu.

Kolory zmieniają się szybko, światło ładnie układa się na skałach i murach, a całe miasto na chwilę zwalnia. Ludzie zbierają się w swoich ulubionych miejscach, ktoś gra, ktoś siedzi w ciszy.

Można zejść na skalistą część przy oceanie i oglądać wszystko z bliska, albo wejść na mury i zobaczyć to z szerszej perspektywy. Fajną opcją są też dachy, na przykład restauracja w Atlantic Hostel, skąd widać panoramę miasta.



Essaouira to kultura

To, co zupełnie skradło moje serce, to kultura, szczególnie muzyka.

Na totalnym spontanie, bez większego planu na sobotni wieczór, kupiłam bilet na koncert w Dar Souiri. I to był jeden z tych momentów, które ustawiają cały wyjazd trochę inaczej.

Dar Souiri to jedno z ważniejszych miejsc na kulturalnej mapie miasta. Mieści się w odrestaurowanym riadzie i działa pod skrzydłami Association Essaouira-Mogador - organizacji, która od lat aktywnie wspiera rozwój kultury w regionie. Organizują koncerty, wystawy, spotkania, warsztaty, słowem wszystko, co pozwala lokalnej scenie żyć i rozwijać się dalej.

To nie jest „instytucja” w ciężkim tego słowa znaczeniu. To przestrzeń tworzona przez ludzi z pasją, otwarta, autentyczna i bardzo żywa. Publiczność jest różna: lokalni mieszkańcy, artyści, osoby z zewnątrz. Dzięki temu nie ma dystansu, który często pojawia się w bardziej formalnych miejscach.

Sam koncert był wspaniałą wyprawą do świata muzyki gnaua i biletem w jedną stronę dla mnie. Najpewniej wrócę do Essaouiry zobaczyć Gnaoua Festival w tym roku.

Jeśli chcecie wiedzieć, co aktualnie się dzieje, najlepiej śledzić ich profil:

@associationessaouiramogador



Kilka porad na koniec

Jeśli zastanawiacie się, czy jechać to Essaouiry - to jest znak, że naprawdę warto. Czy koniec czerwca i festiwal to jest dobry pomysł? - Najlepszy, ale nastawcie się na gigantyczne tłumy i (mam nadzieję) mnie, gdzieś tam w środku tego zamieszania.

Zabierzcie ze sobą wszystko to, co pomoże Wam przetrwać wiatr. Nie pakujcie jednak bagażu pod korek - zostawcie w walizkach miejsce na skarby, które z pewnością będziecie chcieli zabrać do domu.

Wyczyścić karty pamięci i zrobić miejsce na setki nowych zdjęć i wideo, które powstaną w tym miejscu, które całe jest jednym wielkim planem zdjęciowym.

Zabierzcie ze sobą swoje ulubione „dancing shoes” i do zobaczenia pod sceną lub na jednym z ulicznych koncertów.



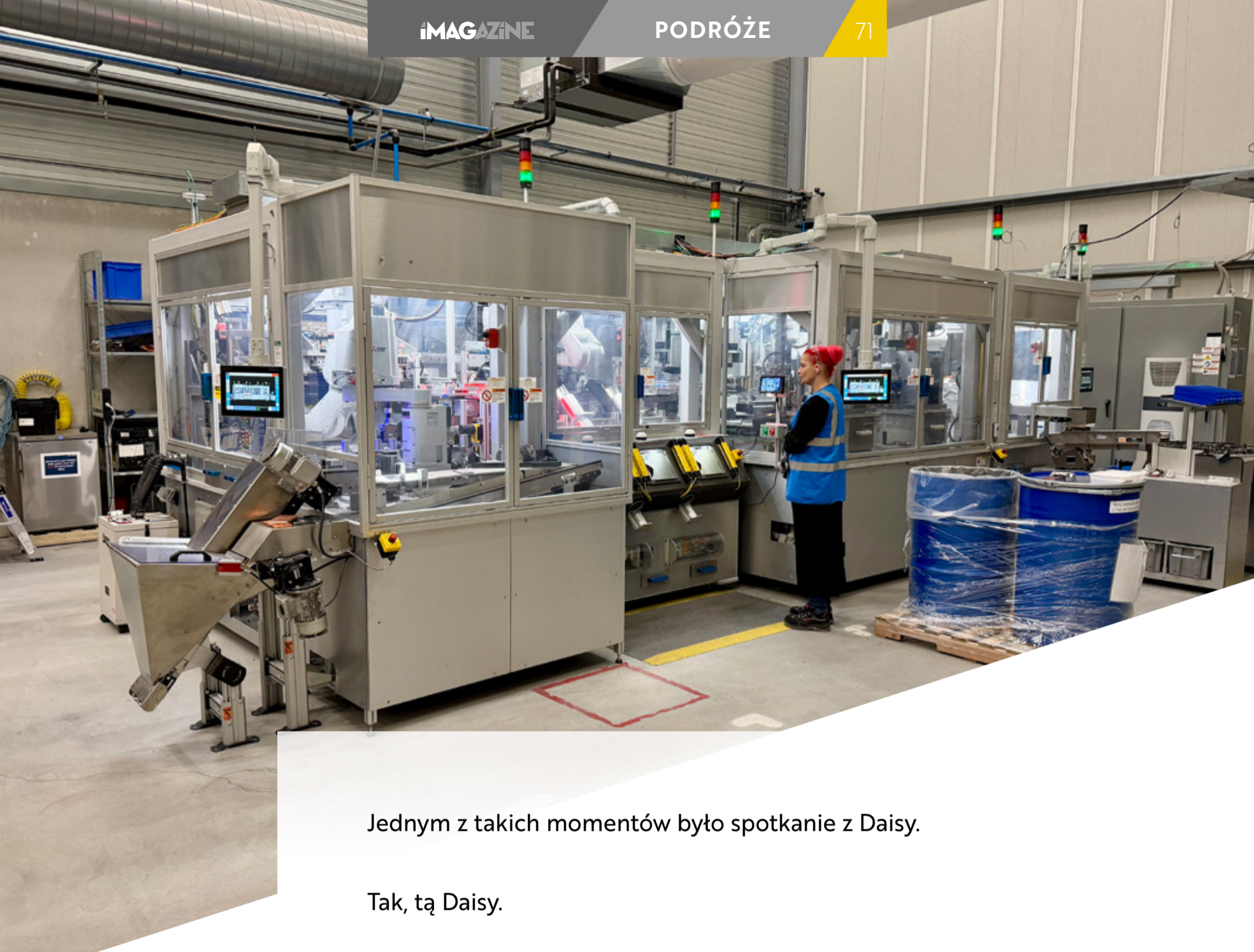


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Spotkanie z Daisy, czyli jak Apple rozbiera przyszłość

Są takie momenty w tej pracy, kiedy człowiek ma wrażenie, że zagląda za kulisy świata, do którego większość z nas nigdy nie będzie miała dostępu. Nie chodzi o premiery nowych iPhone'ów, nawet nie o zamknięte briefingi czy prototypy, które ogląda się w rękawiczkach. Chodzi o miejsca i projekty, które Apple pokazuje naprawdę nielicznym.





Jednym z takich momentów było spotkanie z Daisy.

Tak, tą Daisy.

Robotem, który rozbiera iPhone'y.

Tajemnica pod Bredą

Gdzieś pod Breda w Holandii, w miejscu, którego adresu się nie podaje, a wejścia pilnuje więcej niż tylko recepcjonistka z iPadem, znajduje się jedna z dwóch działających na świecie instalacji Daisy. Druga pracuje w Stanach Zjednoczonych, ale to właśnie ta europejska jest sercem całego procesu odzysku urządzeń z naszego kontynentu.

Nie trafia się tam przypadkiem. Apple zaprasza tylko wybrane osoby – partnerów, dziennikarzy, ludzi, którzy mają zobaczyć coś więcej niż marketingowe slajdy o ekologii.

Bo Daisy nie jest slajdem.

Daisy działa.



Fabryka działająca „wstecz”

Pierwsze wrażenie? To nie wygląda jak futurystyczne laboratorium z filmów science fiction. Bardziej jak linia produkcyjna. Tyle że... odwrócona.

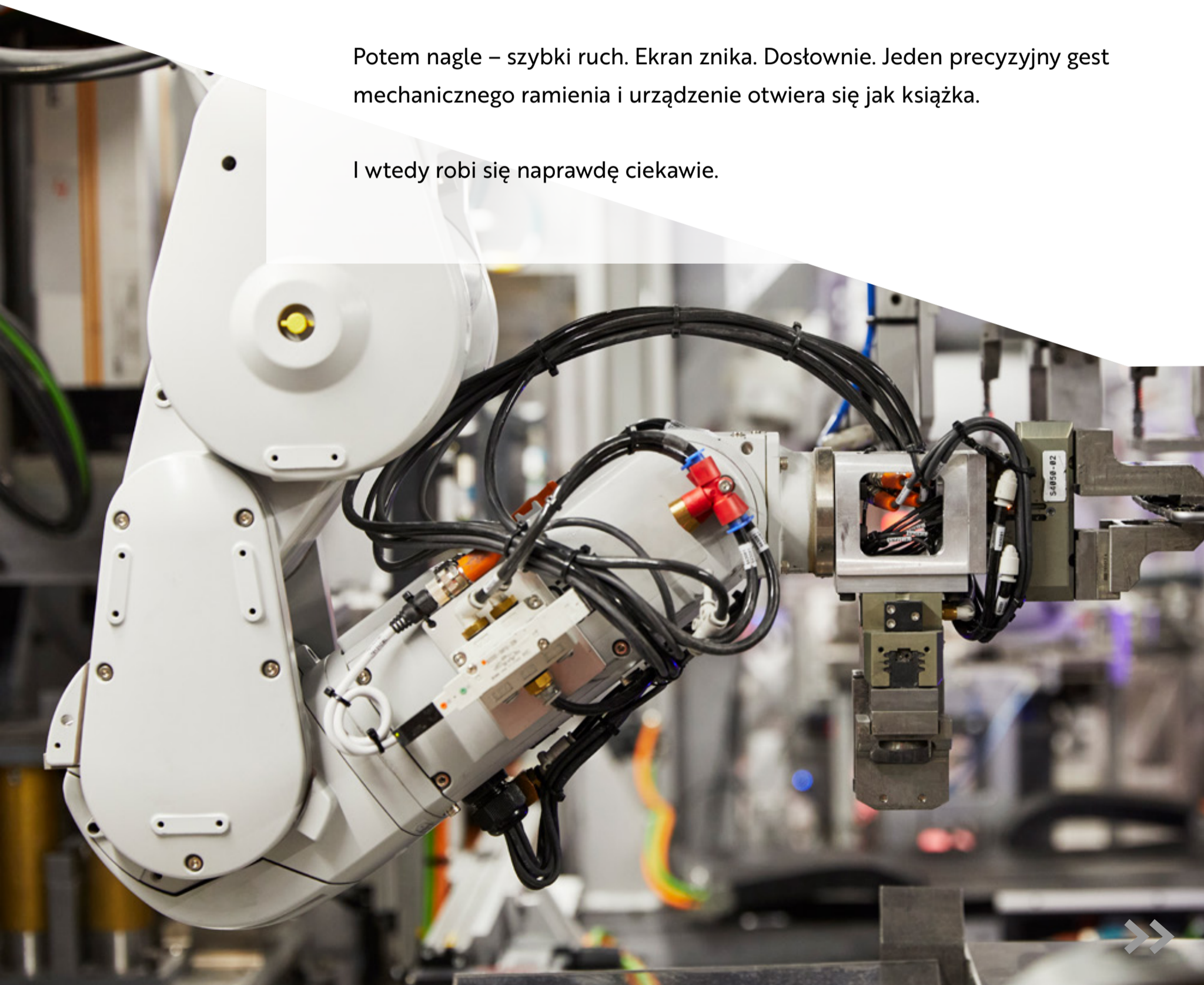
Tam, gdzie zwykle coś się składa, tutaj się rozkłada.

Na taśmie pojawia się iPhone. Zużyty, często martwy, czasem po przejściach, których lepiej nie zgadywać. I wtedy zaczyna się spektakl.

Najpierw identyfikacja. System wizyjny rozpoznaje model – od starszych konstrukcji pokroju iPhone’a 5 aż po relatywnie nowe generacje. Jeśli telefon leży źle, zostaje poprawiony albo zawrócony. Tu nie ma miejsca na przypadek.

Potem nagle – szybki ruch. Ekran znika. Dostownie. Jeden precyzyjny gest mechanicznego ramienia i urządzenie otwiera się jak książka.

I wtedy robi się naprawdę ciekawie.





-80 stopni i najtrudniejszy przeciwnik

Największym wyzwaniem nie są śruby. Nie są nim nawet miniaturowe komponenty, które Apple upycha w swoich urządzeniach z chirurgiczną precyzją.

Najtrudniejsza jest... bateria.

Przyklejona, zabezpieczona, potencjalnie niebezpieczna.

Daisy radzi sobie z tym w sposób, który na żywo robi ogromne wrażenie. Strumień ekstremalnie zimnego powietrza – około -80°C – błyskawicznie zmienia właściwości kleju. Ten staje się kruchy, podatny na oddzielenie.

I wtedy bateria wychodzi.

Bezpiecznie. Powtarzalnie. Bez ryzyka.



To moment, który najbardziej zapada w pamięć, bo pokazuje, że to nie jest zwykłe „rozbijanie elektroniki”, tylko proces zaprojektowany z myślą o odzysku.

Precyzja zamiast brutalności

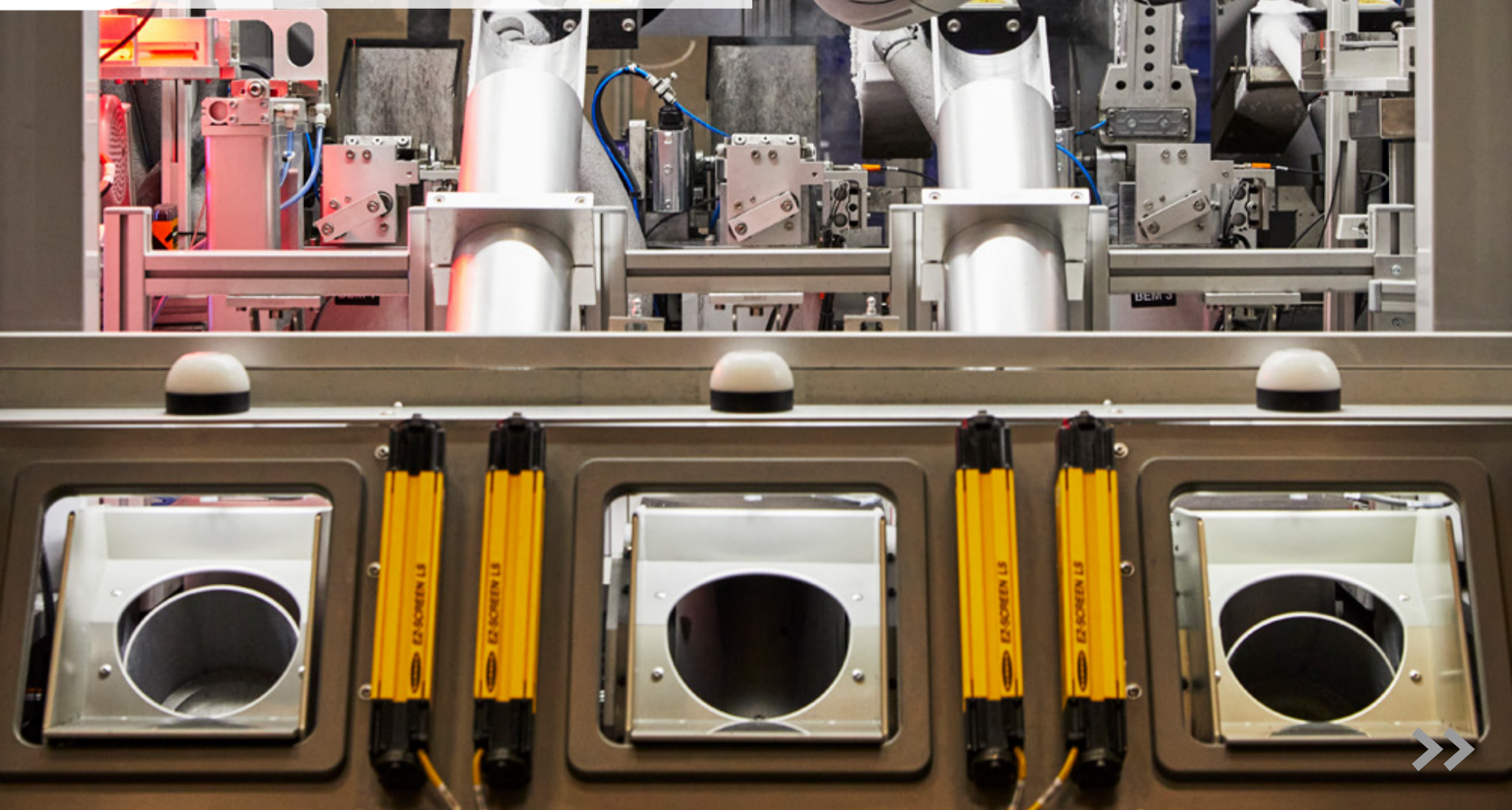
Dalej Daisy idzie już jak burza. Śruby znikają, komponenty są rozdzielane, płyta główna trafia na swoją ścieżkę, kamery na swoją, głośniki jeszcze gdzie indziej.

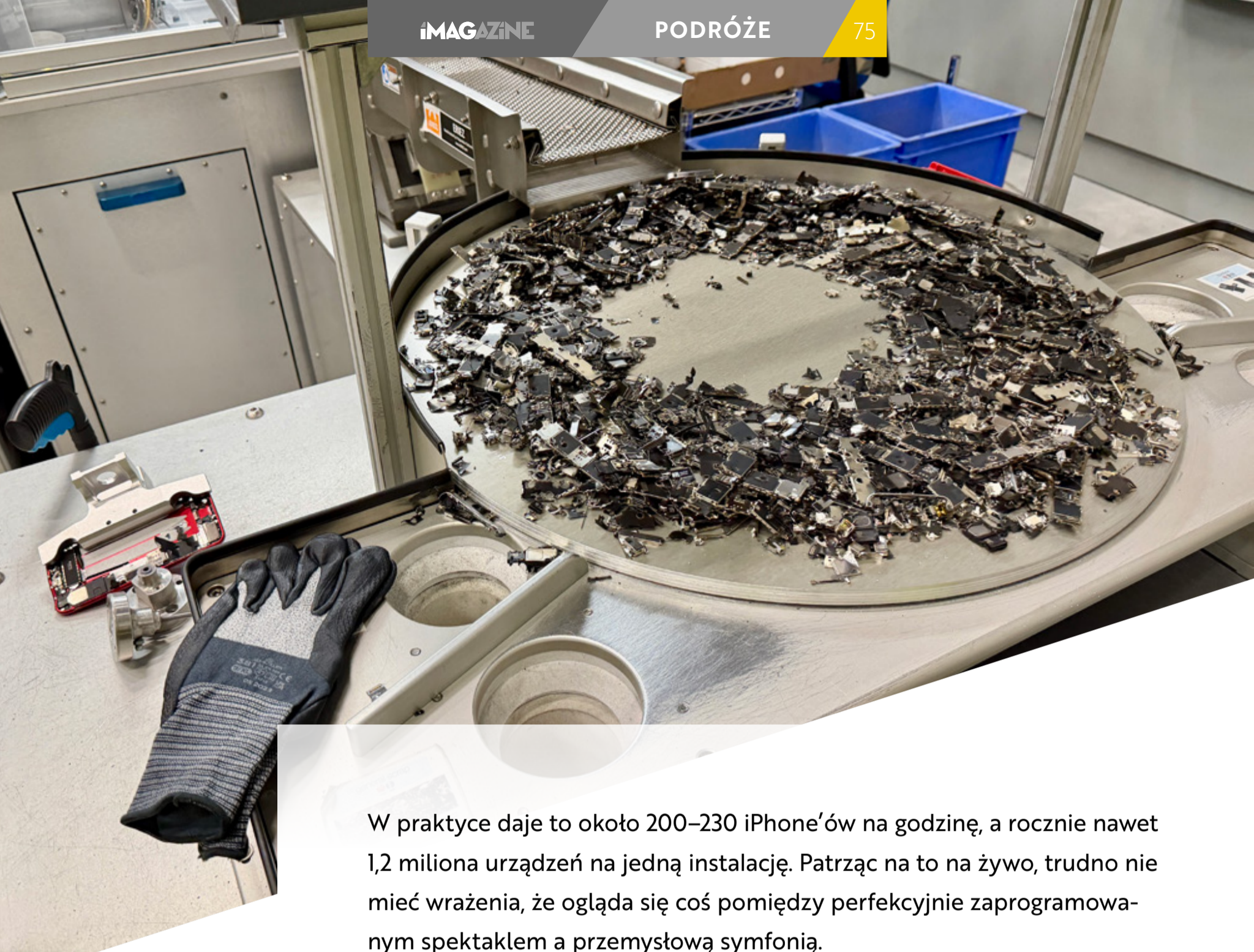
To wszystko dzieje się w mniej niż 20 sekund.

Jeden telefon.

I kolejny.

I kolejny.





W praktyce daje to około 200–230 iPhone'ów na godzinę, a rocznie nawet 1,2 miliona urządzeń na jedną instalację. Patrząc na to na żywo, trudno nie mieć wrażenia, że ogląda się coś pomiędzy perfekcyjnie zaprogramowanym spektaklem a przemysłową symfonią.

Od Liama do Daisy – zmiana filozofii

Daisy nie pojawiła się znikąd. Jej poprzednikiem był Liam – pierwszy eksperymentalny robot Apple, który próbował rozbierać iPhone'y... niemal jak serwisant.

Tyle że świat nie potrzebował serwisanta.

Świat potrzebował efektywności.

I tutaj Apple wykonało bardzo ciekawy zwrot. Zamiast próbować „uratować” każdy komponent w idealnym stanie, Daisy traktuje iPhone'a jak źródło materiałów. Liczy się odzysk – czysty, powtarzalny, możliwy do wykorzystania na skalę przemysłową.

To subtelna, ale fundamentalna różnica.





2000 ton rudy w jednej tonie elektroniki

Najbardziej uderzające są liczby.

Apple podaje, że z jednej tony komponentów iPhone'a można odzyskać tyle złota i miedzi, ile z około 2000 ton wydobytej rudy.

Dwa tysiące ton.

Nagle okazuje się, że „śmieci” mają większą wartość niż kopalnia.

I w tym momencie Daisy przestaje być ciekawostką technologiczną. Staje się elementem większej układanki.

Apple 2030 – ambicja czy konieczność?

Spotkanie z Daisy nie było przypadkowe. To część większej narracji, którą Apple buduje od lat – i która dziś zaczyna mieć bardzo konkretne liczby.

Program Apple 2030 zakłada neutralność węglową w całym łańcuchu wartości. Nie tylko w biurach czy sklepach, ale też w produkcji, transporcie i... życiu urządzenia u użytkownika.

Redukcja emisji o 75% względem 2015 roku. Już dziś firma zeszła o ponad 60%, mimo że biznes urósł o ponad 75%.

To robi wrażenie.



Podobnie jak fakt, że:

- 100% kobaltu w bateriach pochodzi z recyklingu
- 100% magnesów wykorzystuje odzyskane pierwiastki ziem rzadkich
- 100% złota w wybranych komponentach jest z odzysku
- a opakowania Apple są już w 100% pozbawione plastiku

Daisy jest jednym z narzędzi, które mają to umożliwić.

Ale nie jedynym.

Ekosystem odzysku

Obok Daisy działają też inne maszyny – Dave, Taz, a teraz również Cora. Każda z nich specjalizuje się w innym fragmencie procesu: od rozbierania Taptic Engine, przez odzysk magnesów, aż po zaawansowane sortowanie materiałów.

To już nie jest pojedynczy projekt.

To jest cały system.

A do tego dochodzi jeszcze coś, o czym często zapominamy – ponowne użycie. W 2025 roku Apple przekazało 15,6 miliona urządzeń do dalszego użytkowania, zanim trafiły do recyklingu.

Bo najlepszy recykling to ten, którego nie trzeba robić.





Technologia z ludzką twarzą

Patrząc na Daisy w akcji, łatwo zachwycić się technologią. Precyzją, szybkością, pomysłem.

Ale najciekawsze jest coś innego.

To, że gdzieś na końcu tego procesu chodzi o bardzo ludzką decyzję: co zrobić z rzeczami, które przestają być nam potrzebne?

Apple próbuje odpowiedzieć na to pytanie na swój sposób. Budując roboty, inwestując w energię odnawialną, zmieniając materiały, optymalizując transport.

Czy robi to idealnie? Nie.

Czy robi więcej niż większość branży? Zdecydowanie tak.





Daisy jako symbol

Kiedy wychodzisz z tej ukrytej instalacji pod Bredą, Daisy zostaje w głowie nie jako robot.

Tylko jako symbol.

Symbol tego, że technologia może być nie tylko coraz szybsza i bardziej wydajna, ale też – przynajmniej w założeniu – bardziej odpowiedzialna.

I że czasem przyszłość nie polega na tym, co budujemy.

Tylko na tym, jak potrafimy to rozebrać.



Gdzie się ukryjesz, gdy przykrywką zaczniesz się sypać?

Dwa lata temu powołano komisję Monochrome. Miała zbadać działanie brytyjskich służb specjalnych i wykryć wszelkie nieprawidłowości. Oddelegowani do niej urzędnicy, Griselda Fleet i Malcolm Kyle, otrzymali nieograniczony dostęp do poufnych archiwów.

Tyle że na każdym kroku ktoś torpeduje prace komisji. Monochrome zdaje się dogorywać... aż nagle pojawia się teczka z napisem OTIS.

Co mieści, skoro najwyraźniej z jej powodu ktoś ściga nocą odsuniętego od służby szpiega krętymi drogami Devonu? Co musiało wydarzyć się w Berlinie tuż po zjednoczeniu, skoro ktoś za wszelką cenę chce utrzymać to w tajemnicy? No i kto zwycięży w walce o duszę tajnych służb? A może jej wynik został przesądzony już dawno temu?

Szpiedzy i urzędnicy, politycy i ich asystenci, karierowicze, wyrobownicy i wypaleni zawodowo... Za dnia wszyscy wykonują swoje obowiązki. Dopiero to, co robią w tajnych godzinach, pokazuje, kim są naprawdę.

wczoraj BERLIN
dziś LONDYN

niesamowity
spin-off
KULAWYCH
KONI

tej historii
NIE ZOBACZYSZ
w serialu

Wątpię, bym w tym roku przeczytała bardziej wciągającą powieść. *Tajne godziny* mają wszystko.

Paula Hawkins

Tajne godziny to znakomita powieść. Mick Herron w szczytowej formie.

Michael Connelly



Dostępna w
Apple Books

insignis



MICHAŁ ŚLIWIŃSKI
@MSliwinski

Gdzie Tim Cook przymykał oczy...

W zeszłym tygodniu Tim Cook wysłał list do wszystkich klientów Apple, w którym ogłosił swoje odejście ze stanowiska CEO i przekazanie sterów Johnowi Ternusowi. Większość komentarzy na ten temat skupia się na osiągnięciach Tima Cooka – tym, że Apple urosło do wartości 4 bilionów dolarów... Ja chciałbym jednak spojrzeć na tę historię z innej strony i zwrócić uwagę na miejsca, w których Tim Cook przymykał oczy i z mojej perspektywy zawiódł oczekiwania fanów firmy nadgryzionego jabłka...



Co Apple znaczy dla mnie?

Apple zawsze było dla mnie marką aspiracyjną. Gdy używałem laptopów z Windowsem, marzyłem o Macu. W końcu kupiłem pierwszego Macbooka Air w 2008 roku i od niego zaczęła się moja prawdziwa przygoda. Razem z przyjacielem Augusto rozpowszechniliśmy termin #iPadOnly i do dziś iPad Pro M4 jest moim głównym komputerem. Jestem głęboko zanurzony w ekosystemie Apple – mam większość ich produktów: wiele Maców, iPadów i iPhone'ów w rodzinie, Apple Watch na rękę, HomePody w domu, AirPods w uszach oraz najdroższy abonament iCloud dla rodziny. Do tego jestem twórcą aplikacji produktywnościowej Nozbe, dostępnej na wszystkich platformach Apple, zarówno w App Store na iOS, jak i na Macu.

Jestem głęboko zanurzony w ekosystemie Apple. Dlatego właśnie mi na tej firmie zależy. I dlatego jest mi przykro, jak na pewne ważne tematy ich szef przymyka oko.

Kilka lat temu szef Epic Games, Tim Sweeney, pozwał Apple w sprawie opłat in-app purchase w aplikacjach na platformie App Store. Sprzeciwił się temu, że musi płacić Apple 30% od wszystkich transakcji w jego grach.

Wiele decyzji sprzętowych Apple przez lata sprawiało mi radość – wystarczy spojrzeć na mój obecny zestaw: iPad Pro, iPhone Air, Apple Watch Ultra, AirPods Pro, Mac Mini... ale co do oprogramowania i innych tematów w erze Tima Cooka, podejście do nich pozostawiało wiele do życzenia.

Relacje z programistami, czyli sprawa Epic Games...

Kilka lat temu szef Epic Games, Tim Sweeney, pozwał Apple w sprawie opłat in-app purchase w aplikacjach na platformie App Store. Sprzeciwił się temu, że musi płacić Apple 30% od wszystkich transakcji w jego grach.

Jak to działa w praktyce:

- Jeśli chcesz, żeby twoja aplikacja była dostępna na iPhone lub iPadzie, musisz wysłać ją do App Store, który kontroluje wyłącznie Apple. Mogą ją przyjąć albo odrzucić.
- Jeśli chcesz pobierać opłaty w aplikacji, musisz oddać Apple 30% każdej transakcji. Tak – jeśli kupujesz Nozbe na iPhone, my też płacimy



tę prowizję. Apple Tima Cooka zachowuje się, jakby sama dostępność w App Store była przywilejem, za który programista musi płacić.

Ponieważ jest tylko jeden App Store i jedna zatwierdzona forma płatności, Apple skupiło się na narzucaniu tego wszystkim deweloperom. Są monopolistą i nie muszą z nikim konkurować, nawet ich własny system zakupów w aplikacji jest niedopracowany, bo i tak nie ma alternatywy.

Podczas procesu sądowego wyłynęło mnóstwo dokumentów, które udowodniły nie tylko to, że Apple chce „wszystkich pieniędzy”, ale że czuje się do nich po prostu uprawnione. Straciłem szacunek nie tylko dla Tima Cooka, ale też dla Phila Shillera i innych. I choć Tim Sweeney z Epic też nie jest dla mnie wzorem do naśladowania, obnażył stosunek Apple do nas wszystkich – twórców aplikacji.

Tim Cook nie powinien pozwolić, żeby sprawa trafiła do sądu. Powinien uczynić prowizję 30% oraz system zakupów w aplikacji opcjonalnymi – wiele aplikacji i tak by z nich korzystało, ale Apple musiałoby konkurować i się rozwijać, a ich wynik finansowy nie ucierpiałby znacząco. Zamiast tego, przez obsesję na punkcie „pobierania czynszu”, Apple ma teraz trudne relacje z wieloma firmami, oprócz takich małych jak moja, także z takimi potentatami jak Netflix. Potem takie problemy widać na przykład w braku oficjalnego klienta Netfliksa na Vision Pro i żadnego wielkiego przyływu nowych aplikacji na tę nową platformę.

Następnym razem, gdy usłyszysz, że Apple mówi „Usługi” pomyśl: „opłaty” albo „czynsz”, albo nawet... „haracz”.

Unia Europejska i brak zgodności z DMA...

Jak już pisałem wyżej, App Store to jedyna droga, żeby umieścić aplikację na iPhone. Nie ma innych sklepów... a powinny być.

Następnym razem, gdy usłyszysz, że Apple mówi „Usługi” pomyśl: „opłaty” albo „czynsz”, albo nawet... „haracz”.



Europa od lat wywierała presję na Apple, żeby ich platformy były bardziej otwarte na konkurencję. Ale Apple Tima Cooka chce kontrolować wszystko. Ich iPhone, ich App Store, ich port Lightning, ich wszystko i „wszystkie pieniądze”...

Historia z portem Lightning jest tutaj idealnym przykładem. Kiedy w 2018 roku zapowiedzieli iPada Pro z USB-C, przyznali tym samym, że ich własny port spowalniał iPada. A mimo to wcisnęli jeszcze cztery generacje iPhone'a z Lightningiem, aż do iPhone'a 15 w 2023 roku. I jestem przekonany, że czekaliby jeszcze dłużej, gdyby UE nie narzuciła obowiązku USB-C dla wszystkich urządzeń mobilnych.

Szczególnie mnie irytują podwójne standardy. Gdy Unia Europejska mówi o DMA, Apple mówi: „nie ma mowy”. Gdy Chiny każą usunąć flagę Tajwanu, Apple mówi: „oczywiście, już się robi”.

To samo powtarza się z zasadami App Store. Apple Tima Cooka nie chce konkurencji, nie chce alternatywnych sklepów, choć ich własny jest zaśmiecony aplikacjami-oszustwami, z których Apple zbiera 30% od każdej transakcji. To konflikt interesów, do którego Tim Cook nigdy nie chciał się przyznać. Zamiast otworzyć się na konkurencję, wymyślał nowe schematy rentierskie jak CTF (Core Technology Fee), czyli de facto kara dla deweloperów, którzy ośmielą się korzystać z alternatywnej dystrybucji. To hamuje innowacje i sprawia, że nastroje wśród twórców aplikacji są na historycznie niskim poziomie.

Szczególnie mnie irytują podwójne standardy. Gdy Unia Europejska mówi o DMA, Apple mówi: „nie ma mowy”. Gdy Chiny każą usunąć flagę Tajwanu, Apple mówi: „oczywiście, już się robi”. Gdy obecna administracja USA wyraziła niezadowolenie z aplikacji ICE Block, Apple usunęło ją bez żadnego wyroku sądowego. Apple walczy najzacieklej właśnie z regulacjami, które naprawdę służyłyby jego użytkownikom i deweloperom, a przed autorytarną presją ugina się bez mrugnięcia okiem.



Gdy tnie się koszty, rosną zyski. Tim Cook dostarczał zysków przez lata w nadmiarze. Był obsesyjnie skupiony na marżach, aż do przesady. Ale gdy tnie się koszty, bardzo często nie tworzy się najlepszych produktów.

Jeśli chcesz zrozumieć chiński wątek głębiej, gorąco polecam książkę Patricka McGee: „Apple w Chinach. Jak najwspanialsza firma świata dała się złapać w chińską pułapkę”. Niewygodna prawda jest taka, że głęboka zależność Apple od Chin nie była im narzucona, była świadomym wyborem w celu maksymalizacji zysków. Sam Tim Cook zbudował tę pułapkę i teraz nie może się od niej uwolnić.

Mistrz cięcia kosztów

Gdy tnie się koszty, rosną zyski. Tim Cook dostarczał zysków przez lata w nadmiarze. Był obsesyjnie skupiony na marżach, aż do przesady. Ale gdy tnie się koszty, bardzo często nie tworzy się najlepszych produktów. Oto kilka przykładów, gdzie moim zdaniem Tim Cook uciął za dużo:

- 5 GB darmowego iCloud – ogłoszone w 2011 roku, gdy Steve Jobs jeszcze żył, przy okazji premiery iPhone’a 4S z bazową pojemnością 16 GB. Dziś, 15 lat później, bazowa pojemność iPhone’a to 256 GB, a darmowy plan iCloud to nie 31% tego, jak to było przed laty, czyli powinno być 80 GB... ale wciąż tylko 5 GB. Dwa procent pojemności telefonu. Dwa.
- 16 GB bazowej pamięci w iPhone’ach przez zbyt długi czas – co oznaczało, że na niektórych modelach fizycznie nie dało się zainstalować najnowszego iOS-a.
- 8 GB RAM w podstawowych Macach przez ponad 8 lat – od 2016 do 2024 roku, gdy w końcu podwojono do 16 GB ze względu na potrzeby AI.
- Ekran 60 Hz w iPhone’ach – podczas gdy wszystkie konkurencyjne smartfony już to miały, Apple trzymało ProMotion jako wyróżnik Pro nie przez jedną, ale przez cztery generacje iPhone’ów.
- Klawiatura motylkowa we wszystkich laptopach Mac – mimo że już przy 12-calowym MacBooku wiedzieli, że ta klawiatura jest problematyczna. Macbooki były znane z najlepszych klawiatur na rynku i spadły do miana tych z najbardziej awaryjnymi, i trzymali się tego przez cztery lata!



- Całkowite zaniedbanie Maca Pro – a w dobie AI taki komputer z obsługą kart NVidia byłby bardzo potrzebny...
- Wyłączony czujnik natlenienia krwi w Apple Watchach sprzedawanych w USA – bo nie chcieli uregulować sporu patentowego...
- Słabe oprogramowanie dla iPada – ja jestem #iPadOnly pomimo słabego softu na moim sprzętowo idealnym iPadzie. To jest tak zmarnowany potencjał jak mało gdzie...

Więcej o mentalności Tima Cooka opartej na arkuszach kalkulacyjnych możesz przeczytać w książce autorstwa Trippa Mickle: „After Steve. Jak Apple zgarnęło biliony i straciło duszę”.

Tim Cook był świetny dla Wall Street, ale niekoniecznie dla duszy Apple

Tim Cook doprowadził Apple do wartości 4 bilionów dolarów. To osiągnięcie, którego nikt mu nie odbierze. Ale po drodze podejmował decyzje, które stawiały wyniki następnego kwartału ponad długoterminowe zaufanie deweloperów, regulatorów i użytkowników takich jak ja, którym naprawdę zależy na tej firmie.

Trzy rzeczy, które opisałem – wrogi stosunek do deweloperów, opieszała i często nierzetelna zgodność z uczciwymi regulacjami oraz bezlitosne cięcie kosztów, które do dziś serwuje nam śmieszne 5 GB darmowego iCloud – to nie są odizolowane błędy. To objawy filozofii zarządzania, która traktowała ekosystem Apple jak maszynę do zbierania czynszu, a nie platformę do pielęgnowania.

Steve Jobs był obsesyjnie skupiony na tworzeniu jak najlepszego produktu. Tim Cook był obsesyjnie skupiony na zarabianiu jak największych pieniędzy na tym produkcie.

Steve Jobs był obsesyjnie skupiony na tworzeniu jak najlepszego produktu. Tim Cook był obsesyjnie skupiony na zarabianiu jak największych pieniędzy na tym produkcie. Jedno i drugie może współistnieć, ale gdy pieniądze wygrywają za każdym razem, dochodzi do sytuacji, w której firma uważa, że można w 5 GB danych zmieścić kopię bezpieczeństwa iPhone'a o pojemności 256 GB.

John Ternus przejmuje firmę, która jest wciąż najbardziej wartościowa na świecie, wciąż produkuje sprzęt,



którego używam i który kocham każdego dnia. Ale przejmuje też kulturowy bagaż piętnastu lat rentierstwa, alienacji deweloperów i złej wiary wobec regulatorów.

Chcę się mylić. Chcę dać się zaskoczyć. Ale dopóki Tim Cook pozostaje przewodniczącym rady nadzorczej i wciąż trzyma rękę na sterach kultury, którą sam zbudował... będzie ciężko o zmianę.

Pozostaje mi zawołać: „Think different, John Ternus”.





 argon[®]LAMPY

OŚWIETLENIE W TWOIM STYLU

TA I 1000 INNYCH LAMP KUPISZ NA [SKLEP.ARGON-LAMPY.PL](https://sklep.argon-lampy.pl)



DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Lifestyle

Blaupunkt VT100BK – gramofon w pionowym wydaniu

Blaupunkt VT100BK to nietypowy, wertykalny gramofon, który łączy klasyczne brzmienie winyli z nowoczesnym designem. Płyty odtwarzane są w pozycji pionowej, co nie tylko przyciąga wzrok, ale też czyni z urządzenia wyjątkowy element wystroju wnętrza.

Obsługuje popularne prędkości (33/45/78 RPM), posiada wbudowane głośniki oraz możliwość podłączenia zewnętrznego sprzętu audio. To propozycja dla tych, którzy chcą słuchać muzyki analogowej... w zupełnie nowy sposób.

Cena: ok. 599 PLN

Do kupienia w blaupunkt.com





Škoda – dzwonek, którego nie zagłuszysz

Škoda Auto postanowiła rozwiązać problem, który zna każdy użytkownik słuchawek z ANC – niesłyszalnych powiadomień. Efekt? specjalny dzwonek, zaprojektowany tak, by przebić się nawet przez aktywną redukcję hałasu.

Nowe brzmienie wykorzystuje odpowiednie częstotliwości i dynamikę, dzięki czemu pozostaje słyszalne nawet przy włączonym ANC w słuchawkach. To ciekawy przykład, jak motoryzacja i technologia użytkowa zaczynają się przenikać w codziennych, zaskakujących detalach.

Więcej w artykule na [iMagazine.pl](https://imagine.pl)



Sidephone – smartfon, który znika w dłoni

Sidephone to nietypowe podejście do mobilności – ultrakompaktowy telefon zaprojektowany tak, by zmieścić się dosłownie w każdej kieszeni i nie dominował codzienności. Minimalistyczna forma, wydłużony kształt i skupienie na podstawowych funkcjach sprawiają, że Sidephone stawia na prostotę i cyfrowy balans.

To urządzenie dla tych, którzy chcą ograniczyć ekranowy szum, ale nie rezygnować z łączności. Alternatywa dla dużych smartfonów – dyskretna, funkcjonalna i bardzo w duchu „less is more”. Do tego jest... modułowy.

Cena: wg konfiguracji

Do kupienia na sidephone.com





ENG0 3 Photochromic – dane treningowe na twoich oczach

ENG0 3 Photochromic to sportowe okulary z wbudowanym wyświetlaczem, które przenoszą dane treningowe prosto przed twoje oczy. Dzięki technologii ActiveLook™ możesz na bieżąco śledzić tempo, tętno czy nawigację – bez odrywania wzroku od trasy.

Fotochromatyczne soczewki automatycznie dopasowują się do warunków oświetleniowych, a lekka konstrukcja i kompatybilność z popularnymi aplikacjami (m.in. Garmin czy Strava) sprawiają, że to idealne rozwiązanie dla biegaczy i kolarzy.

Cena: ok. 329 EUR

Do kupienia w engoeeyewear.com



Columbia ICONS – outdoor w miejskim wydaniu

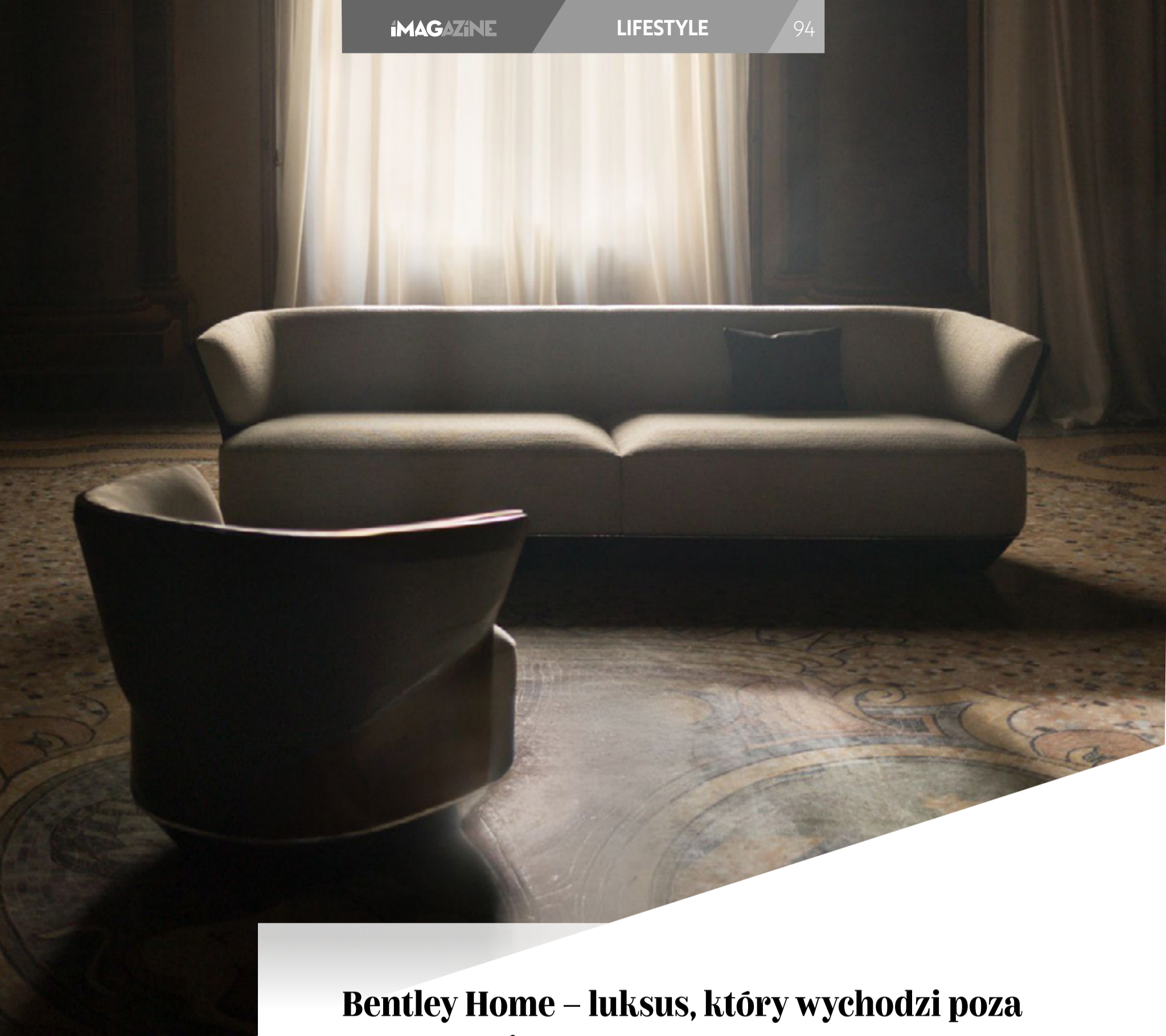
Columbia ICONS to kolekcja na sezon wiosna/lato 2026, która łączy outdoorowe DNA marki z nowoczesnym, lifestyle'owym stylem. Inspirowana krajobrazami Oregonu i szlakiem Mosier Plateau stawia na ziemiste kolory, naturalne motywy i klimat retro.

W odświeżonej odstonie wracają kultowe modele – polary Helvetia i Backbowl, a także wiatrówki Challenger i Riptide, uzupełnione o akcesoria, jak czapki Bora Bora™ Booney. Kolekcja unisex sprawdzi się zarówno w mieście, jak i w terenie.

Cena: wg modelu

Dostępna w sklepach Columbia, JD, PRM, Answear i online





Bentley Home – luksus, który wychodzi poza motoryzację

Podczas Milan Design Week 2026 marka Bentley po raz kolejny pokazała, że luksus nie kończy się na samochodach. Kolekcja Bentley Home to wyjątkowe meble i dodatki, które przenoszą DNA brytyjskiej motoryzacji do świata wnętrz.

Naturalne materiały, perfekcyjne rzemiosło i wyrafinowane detale tworzą przestrzeń, która równie dobrze mogłaby być wnętrzem luksusowego auta. To design dla tych, którzy chcą otaczać się elegancją – nie tylko w garażu, ale i w salonie.

Więcej inspiracji na [iMagazine.pl](https://www.imagazine.pl)



Swatch SCUBAQUA – kolorowa fala powraca

Kolekcja Swatch SCUBAQUA zyskuje cztery nowe warianty kolorystyczne: turkusową zieleń, granat, fukcję i pomarańczowy. Wybrane modele wyposażono w Swatch Pay, umożliwiające szybkie płatności zbliżeniowe – prosto z nadgarstka.

Zegarki inspirowane światem oceanu wyróżniają się kopertą z bioceramiką i materiałów bio, transparentnymi detalami oraz charakterystyczną koronką na godzinie 10:00. Wodoszczelność do 10 barów i świecące elementy czynią je idealnym wyborem zarówno na co dzień, jak i do aktywności nad wodą.

Cena: wg modelu

Dostępne od 23 kwietnia 2026 na [swatch.com](https://www.swatch.com) i w salonach Swatch



Jaki rower
wybrać,
by bezpiecznie
przewozić
małe dziecko?

1/2



www.roweremzdziekiem.pl



2/3

Jak przygotować
rower do
przewozu dzieci?

#bikewithkids   

3/3

Jak jeździć
z dzieckiem na
rowerze?



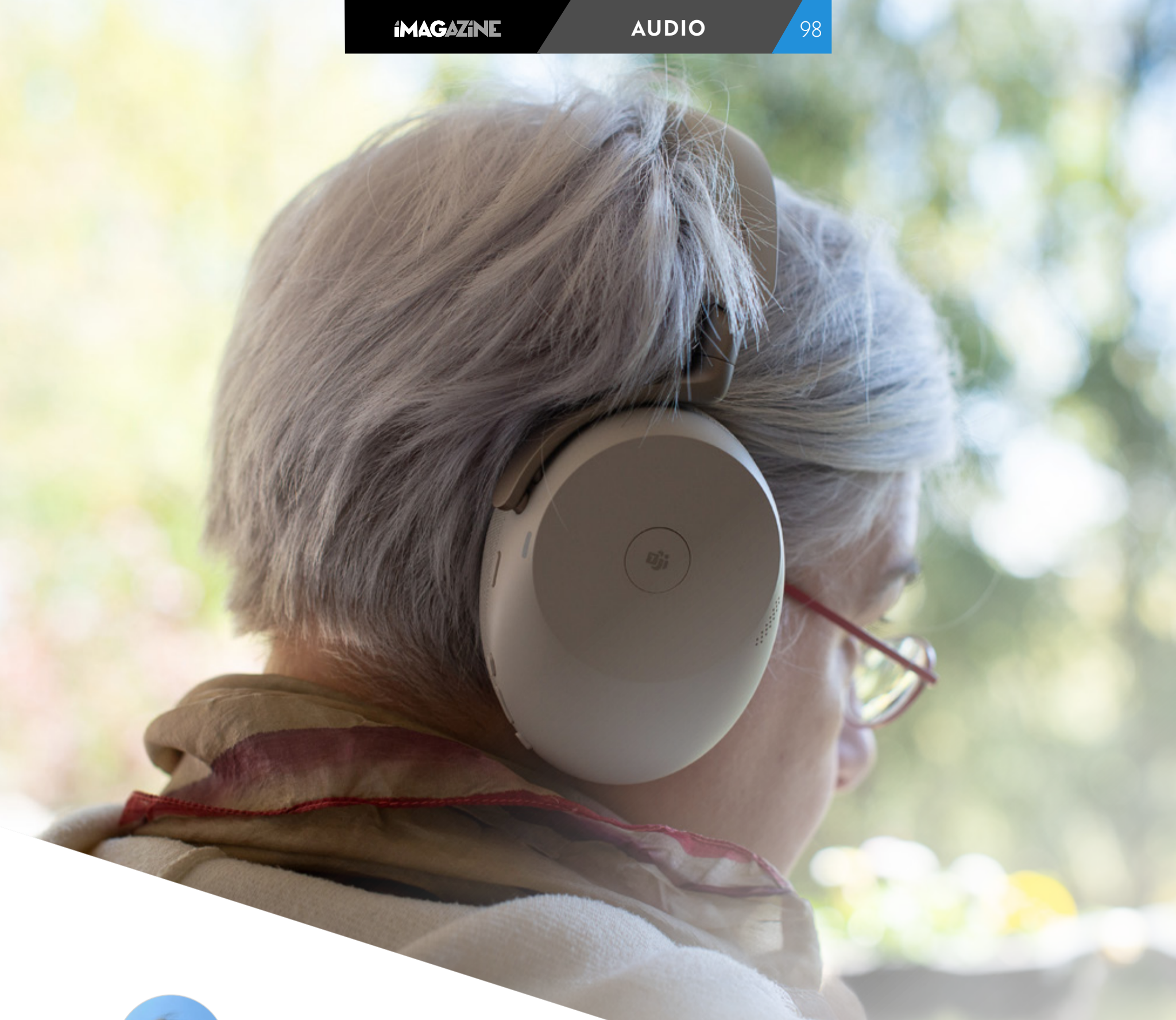


WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDln](#)

Recenzja AirPods Max 2

Dzisiaj na kanale goszczą AirPods Max 2, czyli słuchawki, które Apple postanowiło odświeżyć, głównie poprzez dodanie układu H2 i... no właśnie, o tym porozmawiamy w filmie. Zanim jednak przejdę do zachwytów nad wybitnym trybem transparentności czy analizy tego, jak bardzo zrelaksowany jest ich bas, musimy porozmawiać o pewnej siatce. Tak, tej siatce na pałaku, która z czasem postanawia żyć własnym życiem, zamieniając te nieprzyzwoicie drogie słuchawki w narzędzie tortur opierające się na dwóch metalowych prętach.





ANNA GABRYŚ
@ania13

Jabra Evolve3 85 – słuchawki jako narzędzie pracy

Od lat pracuję zdalnie, spędzając około 80% czasu pracy na spotkaniach. Dbam o komfort i zdrowie: słuch, zmęczenie umysłu, poufność rozmów, a wreszcie o to, by odbiorcy słyszeli mnie bez problemów. W przerwach od pracy i po pracy chcę posłuchać muzyki lub audiobooka, co zmuszało mnie do zmiany słuchawek. Na rynku mieliśmy bowiem dwa odrębne światy – konsumencki, nastawiony na muzykę, i korporacyjny, dostosowany do rozmów.





Zatarcie granicy między tym, co prywatne i profesjonalne doszło także i tu. Jabra Evolve3 85 pozwalają przetrwać maraton spotkań, a gdy przechadzam się po mieście, nie zdradzają korporacyjnego rodowodu. Od kilku tygodni stały się moim podstawowym narzędziem pracy, zdecydowanie podnosząc moją produktywność i zadowolenie.

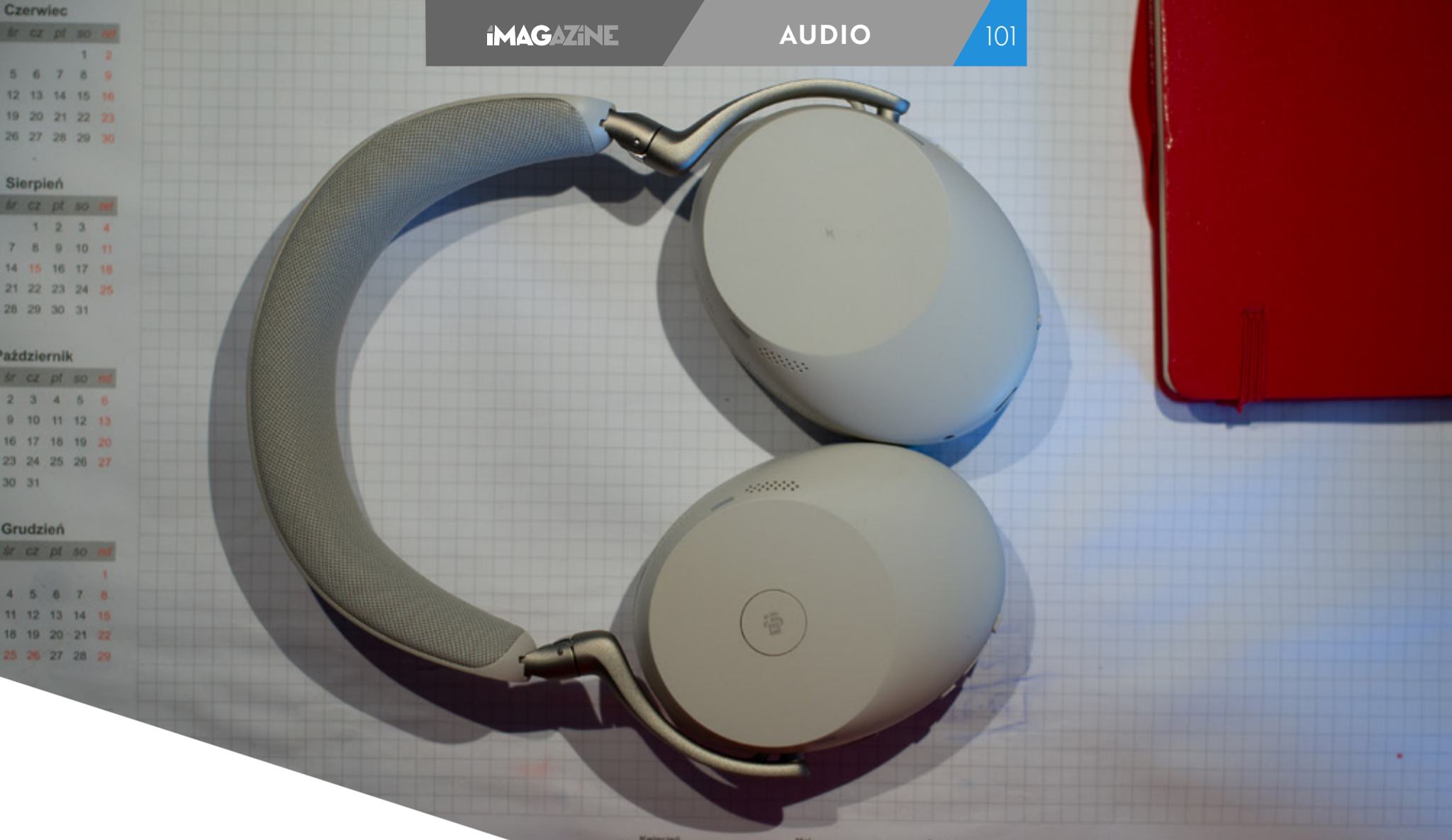
Praca, którą kiedyś nazywaliśmy biurową, dziś zaczyna się u mnie o 9:00 – w domu. Kilkanaście minut maili i wiadomości, a potem pierwszy call. Przez większość dnia mam na głowie jedne słuchawki: słucham muzyki z telefonu, przełączam się na Teamsy na laptopie, wracam do muzyki między spotkaniami. Standup, chwila pracy własnej, potem długi blok calli aż do wczesnego popołudnia. Słuchawek nie zdejmuję – towarzyszą mi przy gotowaniu obiadu, parzeniu kawy i kolejnych spotkaniach. O 17:00 kończę pracę po kilku godzinach rozmów i ośmiu godzinach w słuchawkach... których nadal nie odkładam. Wszystko dzięki nowym słuchawkom Jabra Evolve3 85, które testuję od kilku tygodni.

Zacznijmy od pierwszego wrażenia. Produkty duńskiej firmy Jabra są zawsze starannie opakowane, w ekologicznych, tekturowych pudełkach.



Duży plus ode mnie. Czytelny (i estetyczny!) graficzny opis przycisków na wewnętrznym skrzydełku w zasadzie wystarcza za instrukcję. Oprócz samych słuchawek (w leciutkim etui, wykonanym z usztywnionego filcu) znajdziemy w pudełku kabel USB-C–USB-C i drugi, z końcówką mini Jack oraz dongiel USB. Pierwsze, co poczułam, to lekkość na głowie. Pod tym względem nie mają porównania z żadnymi innymi na rynku. Po ośmiu godzinach pracy nadal nie chciałam ich zdejmować z głowy. To jest przełomowy projekt w segmencie premium, traktujący użytkowników spędzających dni na callach poważnie. Serio, Jabra, dziękuję za to. Ich wyróżnikiem jest także mikrofon, a raczej jego brak. Znacie to uczucie, gdy na videocallu wszystko, co widzicie po stronie rozmówcy, to mikrofon przestaniający usta, czasem inne części twarzy? Jabra ukryła mikrofon w słuchawce, a mimo to słyszeć mnie doskonale (jak zapewniali wszyscy rozmówcy w czasie testów). Kształt nauszników jest bardzo wygodny dla ucha, zarówno niewielkich uszu (jak moje), jak i dużych uszu dużego mężczyzny, którego poprosiłam o opinię. Wyglądem się wyróżniają, są smukłe, wręcz delikatne, to znakomity duński design. Przypadły mi w udziale jasnoszare, z ciemnoszarymi elementami pałąka, dostępny jest także model czarny. W moim





zestawie nie było stacji do ładowania indukcyjnego (można się na nią zdecydować przy zakupie), ale słuchawki można ładować także indukcyjnie na dowolnych stacjach (przetestowane na dwóch przypadkowych znajdujących się stale na moim biurku).

Dobrze, co jeszcze sprawia, że tak dobrze się je trzyma na uszach przez wiele godzin? Materiały, z których je wykonano. Pianka na muszlach jest miękka i bardzo przyjemna w dotyku. Pałak nie dociska do głowy, można go regulować i – znowu – pasuje zarówno na moją niewielką, damską, jak i na dużą męską. Kolejnym czynnikiem jest wentylacja. W wielu modelach z ANC szybko (czytaj: po pierwszym callu) pojawia się uczucie gorąca. Jak się domyślacie, Jabra wykluczyła ten czynnik negatywny. Otóż poduszki są cieńsze niż w większości słuchawek i wykonano je z materiału oddychającego, a nie ze szczelnej ekoskóry. Są lekkie i nie dociskają mocno do głowy – cyrkulacja wokół małżowiny jest lepsza. Ucho zachowuje dzięki tym czynnikom stabilną temperaturę, nawet po wielu godzinach. Efekt? Nie zauważa się słuchawek, nawet po kilku godzinach noszenia, bo właśnie do takich osiągnięć je zaprojektowano. Jabra postawiła nie na maksymalną izolację, ale długotrwały komfort. Gratulację i – jeszcze raz – dziękuję.



Skoro tak się dobrze w nich siedzi, to pytanie, jak się w tych słuchawkach rozmawia. Jakość rozmów, oprócz komfortu noszenia, była, w mojej opinii, u źródeł konstrukcji Evolve3 85. Użytkownik ma być doskonale słyszany – i ma doskonale słyszeć – bez względu na to, gdzie się znajduje. Jest tak faktycznie, testowałam słuchawki w domu i na ruchliwej ulicy, rozmówcy podkreślali brak zakłóceń z zewnątrz, a ja czułam się, jakbym miała biuro w uszach. Luksus. Jakim cudem?

Zamiast pałąka mikrofonowego Jabra zastosowała system sześciu mikrofonów wspierany algorytmami AI. Zgodnie z deklaracją producenta modele DNN (Deep Neural Network) wytrenowano na milionach próbek, dzięki czemu system rozpoznaje ludzki głos i priorytetyzuje mowę w czasie rzeczywistym, dopasowując się dynamicznie do warunków otoczenia. Nie mamy tu zatem do czynienia z nieraz sztucznie brzmiącym „wycinaniem hałasu” – moi rozmówcy, znający mnie na żywo, podkreślali, jak naturalnie brzmię, bo to głos ludzki jest punktem odniesienia. Jest to ważne dla odbiorców, których metaliczny, mocno skompresowany głos pozbawiony niuansów może męczyć. Dodam, że prowadzę niekiedy dłuższe szkolenia, gdy wiele osób jest zmuszonych słuchać mnie



nawet kilka godzin. To kolejne podziękowania dla Jabry, tym razem za wspieranie komunikacji zespołowej, tak ważnej w czasach pracy rozproszonej.

Jabra Evolve3 85, jak już wspomniałam, jest wyposażona w ANC. Nie jestem zwolenniczką ANC, jako osoba krótkowzroczna, opieram się w większym stopniu na słuchu, ale też ANC powoduje u mnie efekt „zasysania uszu” (podobno nie tylko u mnie, łapki w górę, kto ma tak samo?). Podeszłam więc sceptycznie do testów i – spoiler alert – po raz kolejny Jabra zasłużyła na podziękowania. W tym modelu ANC nie służy temu, by się odciąć, ale by mieć stabilne warunki do pracy, czyli w tym kontekście do słuchania. Przekłada się to na niby prostą rzecz, mianowicie stabilną słyszalność odbiorców. To nie jest agresywne wyciszenie, ale powolne, za to stałe. Co więcej, brak tu tego koszmarnego wysysania czy też pompowania, wynikającego z reakcji na zmienne natężenie dźwięków z zewnątrz. Usłyszycie zatem chrapanie towarzysza podróży w pociągowym sypialnym, ale nie będzie ono tak dojmujące jak bez tych słuchawek, a na pewno nie przeszkodzi w wystłuszeniu niuansów spotkania, które toczy się w innej strefie czasowej. Zastosowano tu także rozwiązanie Spatial Sound, które nie ma nas przenieść do Filharmonii Hamburskiej (czy Szczecińskiej), gdzie akustyka porywa. Spatial Sound ma odciążyć mózg w czasie słuchania mowy ludzkiej. Po co? Przenieście się w myślach na zdalny panel, którego dyskusję przestaliście śledzić, bo mózg odpłynął gdzieś tam, het het, znużony gadaniną i plątaniną głosów. Jabra proponuje przestrzenną separację głosów, co powoduje, że łatwiej je odróżnić, a dźwięk mniej męczy. Jak dla mnie – rewelacja. Konkludując – to nie jest najlepsze ANC na rynku, ale w połączeniu ze Spatial Sound nie zmęczy cię tak, jak inne.

Jabra Evolve3 85 mają jeszcze jedną cechę, która je wyróżnia: zgodność z Microsoft Teams, a producent deklaruje, że także współpracują z Zoomem i innymi narzędziami. Warto jednak zaznaczyć jedno ograniczenie: mimo wielu prób, na kilku laptopach, nie udało mi się przetestować funkcjonalności reklamowanych – możliwości odebrania przychodzącego połączenia MS Teams za pomocą słuchawki, możliwości zakończenia rozmowy na słuchawkach i możliwości wyciszenia/zgłośnienia (mute/unmute). Na Mac OS to po prostu nie działa. Te funkcjonalności doskonale za to działają na iOS w aplikacji Teams. Przyznam, że jest to więcej niż zadowalające. O aktywnym połączeniu (czyli tryb „nie przeszkadzać”) informuje czerwona





dioda, doskonale widoczna na obu słuchawkach. O przychodzącym połączeniu – fioletowa. Jeśli słuchawki sobie dobrze ustawimy w aplikacji, to przychodzące połączenie w Teamsach będzie traktowane priorytetowo wobec np. aktualnie odtwarzanej muzyki. Pod względem certyfikacji otrzymujemy Microsoft Teams i Unified Communications, co znaczy, że przetestowano je pod kątem stabilności połączeń, jakości mikrofonów, przyciski są zgodne z logiką aplikacji, a statusy zsynchronizowane z systemem. To ważne i cenne, szczególnie dla korporacyjnej komunikacji. Nadmienię, że jestem pewna, iż współpracują doskonale, natywnie, z Windowsami, czego nie udało mi się przetestować, bo po prostu tego systemu nie mam.

Jak tym cudem zarządzać? Jako użytkownik indywidualny do dyspozycji dostajemy dwie aplikacje, Jabra Sound+ i Jabra Direct, pierwsza to aplikacja mobilna (na telefon czy tablet), druga – desktopowa, dostosowana do pracy na komputerze. W pierwszej znajdziemy podstawowe funkcje, w drugiej – zaktualizujemy firmware, skonfigurujemy słuchawki do pracy z komputerem, zintegrujemy z narzędziami służącymi do zarządzania sprzętem. Obydwie są proste, intuicyjne w obsłudze. Jeśli poświęcimy chwilę na ustawienie środowiska pracy „pod siebie” (szczególnie w drugiej z aplikacji), słuchawki nam się odwdzięczą przewidywalnością ustawień, co w pracy



jest szczególnie cenne. Jabra oferuje jeszcze jedną rzecz, która dodatkowo wspiera stabilność pracy: dongiel USB – Jabra Link. Dzięki niemu można ominąć Bluetooth, uzyskać stałą latencję i jakość połączenia, zwiększyć zasięg słuchawek, podnieść jakość działania mikrofonów. Bluetooth jest świetny i niby nowoczesny, ale, daję słowo, gdy prowadzę prezentację dla ważnego klienta i połączenie Bluetooth nagle mi się rwie, to z wdzięcznością chylę głowę przed Jabrą i wracam do technologicznego średniowiecza, wpinając dongla do jednego z dwóch portów USB-C, w które wyposażono mojego MacAir. Można nimi także zarządzać w parku sprzętowym firmy, odgórnie parametryzując – już oczyma wyobraźni widzę, jak kolejne firmy kupują 300, 500 takich słuchawek dla pracowników mitrzących życie na callach...!

Pod względem baterii nie udało mi się tych słuchawek zmęczyć, wykorzystanie obojętne – praca vs. rozrywka. Baterię zużywa się inaczej w obu trybach, więcej, oczywiście, w czasie rozmów (ANC i AI przetwarzające głos). Słuchawki zresztą w miły sposób informują o poziomie baterii w chwili włączania (poziom high–medium–low). Nie udało mi się ich rozładować, bo od początku używania zdjęte słuchawki odkładałam na indukcyjną ładowarkę





na moim biurku. W moim zestawie wprawdzie nie było stacji Jabry do ładowania indukcyjnego (można się na nią zdecydować przy zakupie), ale testowałam ładowanie na dwóch przypadkowych stacjach. Podejście producenta jest tu także faktycznie rewolucyjne – nie chodzi o to, jakie mają osiągi na jednym ładowaniu (deklarowane do 25 godzin rozmów i do 120/55 godzin odstępu bez ANC/z ANC), ale o zapewnienie ciągłości pracy. Bo, w pracy biurowej, drugim najczęstszym problemem podczas ważnych spotkań zdalnych jest „rozładowały mi się słuchawki” (zaraz po „spóźnię się, mam wymuszoną aktualizację Windowsa”). No to już nie mamy... Dziękuję, Jabra.

Fajnie, mamy te 120 godzin do odstępu muzyki (bez ANC), jak to brzmi? Ciepło. To jest pierwsze słowo, które przychodzi mi do głowy. Pamiętajcie, że to nie są słuchawki audiofilskie, ale też nie odtwarzają dźwięków tak katastroficznie jak większość słuchawek przeznaczonych do pracy biurowej. Prezentują raczej neutralny dźwięk, nadal niemęczący przy wielogodzinnym słuchaniu, ale jednak pozbawiony detali, które cechują modele premium producentów na B czy S. W czym jednak te słuchawki zdecydowanie przodują i nie sądzę, by Jabra zdawała sobie sprawę z tego faktu, to odstęp audiobooków. Należę do grona słuchających książek (około 250 pozycji rocznie), te słuchawki zostały stworzone dla mnie. Mogę w nich przestuchać całą Trylogię Tolkiena, siedem tomów Prousta



„W poszukiwaniu straconego czasu” i nie stracę ani czasu, ani uszu, ani głowy. Jestem zachwycona tym, jak brzmią głosy najlepszych lektorów polskich i obcojęzycznych, uwierzcie mi, głos Filipa Kosiora brzmi w nich jeszcze lepiej, niż wam się wydaje.

Podsumowując, chciałabym głęboko ukłonić się przed twórcami Jabra Evolve3 85 i podziękować im za narzędzie, które na stałe weszło do mojego zestawu pracy. Pomijam drobne potknięcie na Mac OS, takie rzeczy są wpisane w życie Mac-userów, na iPhone jest już idealnie pod względem funkcjonalności w aplikacji Teams. Wykonanie, design, dźwięk wchodzący i wychodzący, doświadczenie użycia, komfort – wszystko powyżej normy, wszystko tak, by korpuludkom dobrze się gadało przez wiele godzin w ciągu dnia. To słuchawki oferujące stabilne i przewidywalne działanie, to narzędzie pracy wspomagające produktywność bardziej niż jakiegokolwiek AI, ośmielę się powiedzieć. Jeśli więc spędzasz dni na callach, używasz Teamsów lub innego UC, zależy ci na tym, by w uszach odbiorców brzmieć bardzo dobrze, po pierwszej konfiguracji już nic nie będziesz musieć zmieniać, to nie ma nad czym się zastanawiać.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

M5 Max – czy warto do niego dopłacać? Recenzja MacBooka Pro 16”

Dzisiaj na moim stole operacyjnym wylądował 16-calowy MacBook Pro z procesorem M5 Max na pokładzie. Ta konkretna konfiguracja ze 128 GB pamięci RAM i dyskiem 4 TB kosztuje blisko 31 tysięcy złotych, co oznacza, że w alternatywnym wszechświecie mógłbym za to kupić całkiem sensowny, choć zauważalnie rdzewiejący samochód. Postanowiłem sprawdzić, czy ta przerażająco droga bestia potrafi w ogóle uzasadnić swoją cenę w starciu z bezlitosną rzeczywistością.

[Link do pełnego artykułu](#)



M5 MAX





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moriDln](#)

Recenzja MacBook Pro z M5 Pro – mam dobre i złe wiadomości

Przynoszę dziś wieści z frontu technologicznego – i jak to zwykle bywa z nowymi zabawkami od Apple, mam dla Was wiadomości zarówno dobre, jak i... powiedzmy, intrygujące. Na moim stole wylądował 16-calowy MacBook Pro z zupełnie nowym procesorem M5 Pro, który pozbył się rdzeni energooszczędnych na rzecz czegoś, co brzmi jak nazwa z komiksu o superbohaterach.

[Pełny artykuł z tablekami](#)



MACBOOK M5 PRO





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

MacBook Neo

– kupa złomu za 3000 zł?

Witajcie. W dawnych czasach pewien znany człowiek w czarnym golfie stwierdził, że zrobienie taniego komputera, który nie byłby kompletnym złomem, jest absolutnie niemożliwe. Cóż, najwyraźniej inżynierowie z Cupertino postanowili zignorować ten zakaz, bo właśnie wypuścili na rynek MacBooka Neo, który kosztuje mniej więcej tyle, co komplet dobrych opon do rozsądnego samochodu.

[Zobacz pełny artykuł](#) i wszystkie wyniki benchmarków.



MACBOOK



NEO





PAWEŁ HAĆ
[@pawelhac](#)

Oppo Watch X3

– tytan pracy

Cenię sobie sprzęt smart, który swoim designem nie odstaje od swojego klasycznego pierwowzoru. Oppo Watch X3 nie zdradza swoim wyglądem tego, jak bardzo zaawansowanym sprzętem jest.





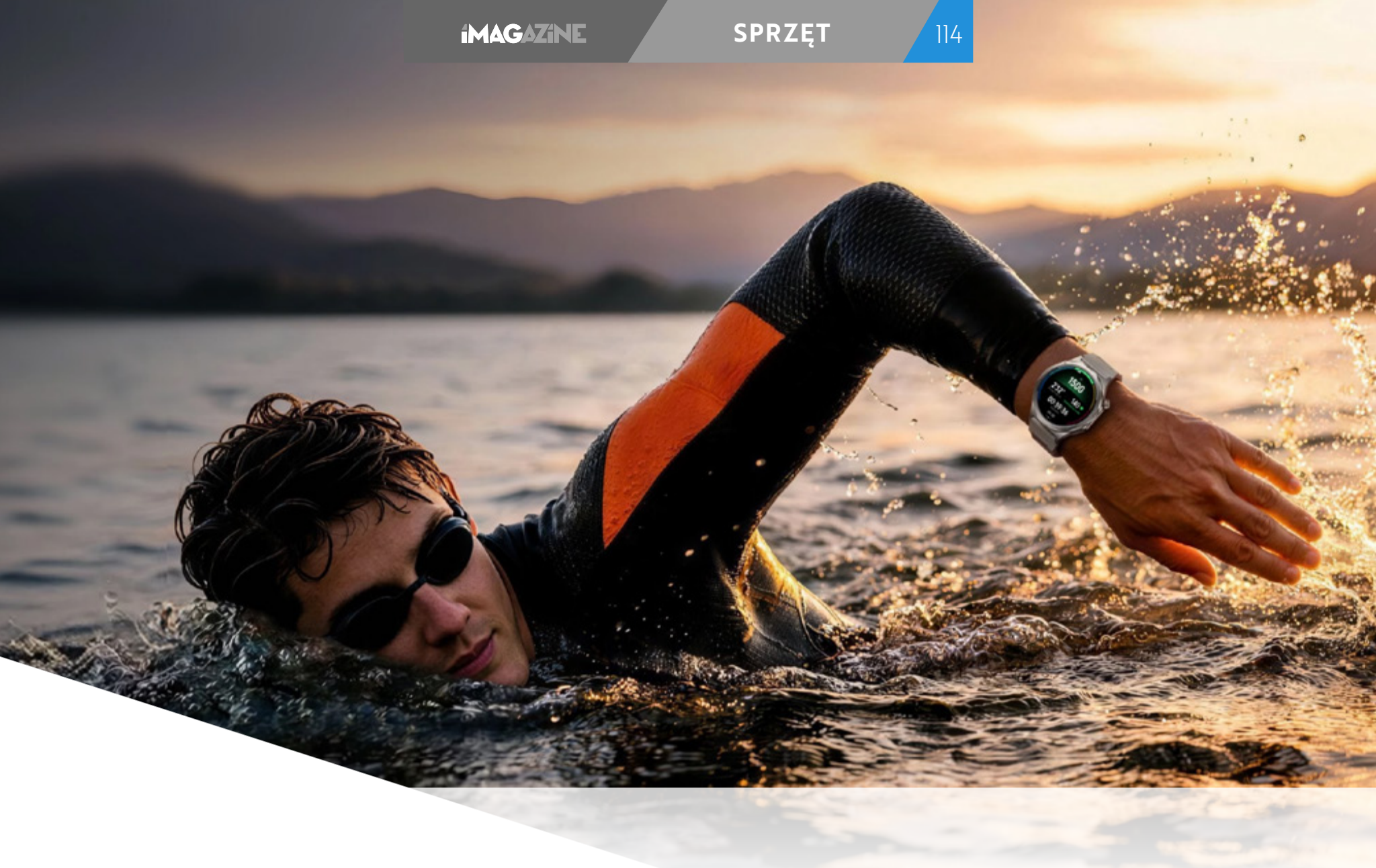
Nowy, topowy smartwatch w ofercie Oppo oferuje długą listę funkcji sportowych oraz zdrowotnych. Przyzwyczajony do masywnych Garminów i tym podobnych sprzętów, zwyczajnie nie spodziewam się zamknięcia tyłu możliwości w tak zgrabnej obudowie. Oppo Watch X3 ma niezbyt grubą, za to dużą kopertę, mającą proporcje klasycznego zegarka. Zastosowanie tytanu pozwoliło obniżyć wagę urządzenia do 70 gramów, i to licząc już z gumowym paskiem. Smartwatch ma nawet obracaną koronkę, będącą też jednym z dwóch przycisków. Ekran ma matowy bezel o oszlifowanych krawędziach, nadających mu biżuteryjnego sznytu. Gumowy pasek zaprojektowano bardzo pomysłowo, z każdej strony ma najpierw dwa panele, które następnie przechodzą w klasyczny pasek z oczkami i sprzączką. Na nadgarstku zegarek wygląda tak, jakby miał pełną bransoletę, jest jednak elastyczny i odporny na wodę. Urządzenie spełnia standard MIL-STD-810H, a jego klasa szczelności to IP69.

Smartwatch ma według mnie dwa kluczowe elementy sprzętowe: ekran oraz baterię. Ten pierwszy musi być odpowiednio dobrej jakości, by zapewnić wygodę obsługi i czytelność w każdych warunkach. W Watch X3 zastosowano płaski wyświetlacz o przekątnej 1,5 cala, przykryty szafirowym szkłem. Jest okrągły, co upodabnia go do klasycznych zegarków



(zwłaszcza gdy korzystamy z funkcji always-on). Ma wyraźną ramkę, ale nie wystaje ona znacząco ponad ekran, przez co chroniony jest co najwyżej przed zarysowaniami, jeśli położymy urządzenie wyświetlaczem w dół na płaskiej, równej powierzchni. Jego jasność zasługuje na uwagę, podczas standardowej pracy wynosi ona do 600 nitów, ale rośnie aż do 3000 nitów, gdy korzystamy z treningów i jesteśmy na zewnątrz. W praktyce jest on czytelny w każdych warunkach, a nasycone kolory i wysoka rozdzielczość czynią obraz bardzo atrakcyjnym. Bateria robi równie dobre wrażenie. Działa ona w trybie smart lub oszczędzania energii. Ten pierwszy jest domyślny i pozwala korzystać ze wszystkich funkcji zegarka. Osiągniemy w nim około 5 dni pracy, używając treningów z GPS przez około pół godziny dziennie, a także nie zdejmując go na noc, by mierzyć sen. Uruchomienie always-on display, długie treningi czy słuchanie muzyki na sparowanych słuchawkach Bluetooth skracają ten czas, uważam jednak, że czas pracy jest bardzo mocnym atutem Watch X3. Wspomniany tryb oszczędny wyłącza część funkcji urządzenia, ale wydłuża działanie do nawet 16 dni. Bateria ładuje się naprawdę szybko, obsługuje bowiem standard VOOC. 10 minut wystarczy, by wydłużyć czas działania o jeden dzień, natomiast





od zera do pełna naładuje się w około 75 minut. I tak, później znów można korzystać z zegarka przez ponad dwa tygodnie – to niesamowity wynik.

Watch X3 działa na WearOS z nakładką producenta, przez co użytkownik ma dostęp do ogromnej bazy aplikacji, sprawdzonego systemu oraz prostej konfiguracji urządzenia. Nawigacja po interfejsie jest bajecznie prosta, koronka pozwala płynnie przewijać listy, a drugi przycisk umożliwia nie tylko wywołanie przypisanej funkcji, ale też na przykład wstrzymanie treningu. Standardowo już z góry wysuwamy menu ze skrótami do różnych funkcji, na dole znajduje się natomiast lista powiadomień. Przesuwając palcem w bok, przewijamy kolejne widżety, menu aplikacji znajduje się natomiast pod wciśnięciem koronki. Działanie Oppo Watch X3 jest bardzo płynne i szybkie, system nie maskuje niczego przydługimi animacjami, reaguje błyskawicznie. Cieszę się, że nie zabrakło w nim NFC czy możliwości sparowania słuchawek i słuchania muzyki offline. System Google wybornie

Jasność (...) rośnie aż do 3000 nitów, gdy korzystamy z treningów i jesteśmy na zewnątrz.





radzi sobie z obsługą map czy Gemini bezpośrednio na nadgarstku, rozpoznawanie głosu jest dokładne, przez co po telefon sięgamy zdecydowanie rzadziej. Niestety, testowany smartwatch współpracuje wyłącznie ze smartfonami z Androidem i choć na iOS znajdziemy zarówno aplikację Google Wear, jak i OHealth, to nie sparujemy zegarka z iPhone'em. To ogromna szkoda, bo mało który smartwatch jakością i możliwościami tak bardzo przypomina mi Apple Watch. We wspomnianym OHealth znajdziemy zarówno galerię tarcz i możliwość zmian ustawień urządzenia, jak i ekran z widżetami, który podsumowuje naszą aktywność i stan zdrowia. Osobną sekcję zajmuje Zdrowie – to oś czasu naszego dnia, która pokazuje aktywności i kamienie milowe, opatruje je też ogólnymi opisami. Te bywają sprzeczne, OHealth uważa mnie zarówno za bardzo aktywnego, jak i prowadzącego siedzący tryb życia. Domyślam się, że wynika to z liczby spalanych dziennie kalorii, i to pomimo spędzania ośmiu godzin przed komputerem, niemniej można to było ubrać w bardziej trafne słowa. Ostatnia z zakładek, czyli Aktywność Fizyczna, zbiera wszystkie zarejestrowane treningi. Nie tylko podsumowuje je na wykresie kołowym, ale pozwala też przeglądać je zgodnie z ich typem, podejrzeć mapę, tempo, strefy tętna czy inne parametry, charakterystyczne dla określonej dyscypliny. Amator znajdzie tu wszystko, czego potrzebuje – jakość OHealth robi naprawdę dobre wrażenie.



Oppo stawia w Watch X3 na bardzo rozbudowany pomiar stanu zdrowia. Standardem jest już pomiar tętna oraz EKG, prócz nich mamy też pomiar saturacji krwi (wraz z alertami o niskim poziomie tlenu), wykrywanie upadków czy pomiar odchylenia temperatury nadgarstka. Bardzo podoba mi się rozbudowane monitorowanie snu, które wyróżnia fazy, mierzy częstotliwość oddechów i zapewnia ogólną ocenę punktową tego aspektu życia. Zegarek prawidłowo wykrywa nie tylko sen w nocy, ale i drzemki w ciągu dnia. Na uwagę zasługuje aplikacja do zrobienia szybkiego skanu zdrowia – w badaniu trwającym teoretycznie minutę, a praktycznie około 30 sekund, badane jest EKG i PPG, ponadto uwzględniane są zebrane przez zegarek dane. Na ich podstawie tworzony jest prosty raport, wskazujący ewentualne odchylenia, takie jak zbyt niska aktywność czy sen gorszej jakości niż zwykle. Pozwala to wyłapać potencjalną przyczynę złego samopoczucia, a tym samym odpowiednio zareagować. Równie rozbudowane są możliwości sportowe, dedykowana aplikacja obsługuje ponad sto dyscyplin, rozpoznaje automatycznie bieg, marsz, jazdę rowerem, pływanie, wioślowanie czy orbitrek, a do tego ma konfigurowalne cele i ekrany danych domyślnie skrojone pod określony sport. Szkoda, że wyświetlanych informacji nie da się dostosować, niemniej producent zadbał o to, by dane pojawiające się na tarczy były użyteczne. Zegarek nie ma modułu



sieci komórkowej, ale nawet bez niego oraz bez połączenia z telefonem łapie sygnał GPS w około dwie sekundy. To robi naprawdę wielkie wrażenie, mało który profesjonalny zegarek sportowy może pochwalić się takim wynikiem. Po treningu dane można przejrzeć już na ekranie urządzenia, choć po szczegóły trzeba sięgnąć na smartfonie. Niemniej, Watch X3 pozwala nie tylko przeanalizować wyniki, ale też ocenić wysiłek aerobowy i sprawdzić czas regeneracji.

Oppo Watch X3 można polubić za wiele rzeczy, zaczynając od eleganckiego designu, na licznych funkcjach monitorujących zdrowie kończąc. Niemal każdy element tego urządzenia jest dopracowany i działa dokładnie tak, jak tego oczekuję. Rozbudowane podsumowania zarejestrowanych danych oraz wygodny podgląd odbytych treningów czynią ten zegarek bardzo dobrą propozycją dla osób amatorsko uprawiających różne sporty, czy też po prostu dbających o swoje zdrowie. Żałuję, że nie współpracuje on z iOS, a jedynie z Androidem, bo spokojnie mógłby konkurować z najlepszymi urządzeniami tego typu na rynku.

Oppo Watch X3 ★★★★★

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

- wytrzymała, zgrabna obudowa
- zaawansowane monitorowanie zdrowia
- intuicyjny i wygodny interfejs

- Minusy:

- kompatybilność jedynie z Androidem
- przeciętne wibracje

Cena: około 1900 PLN



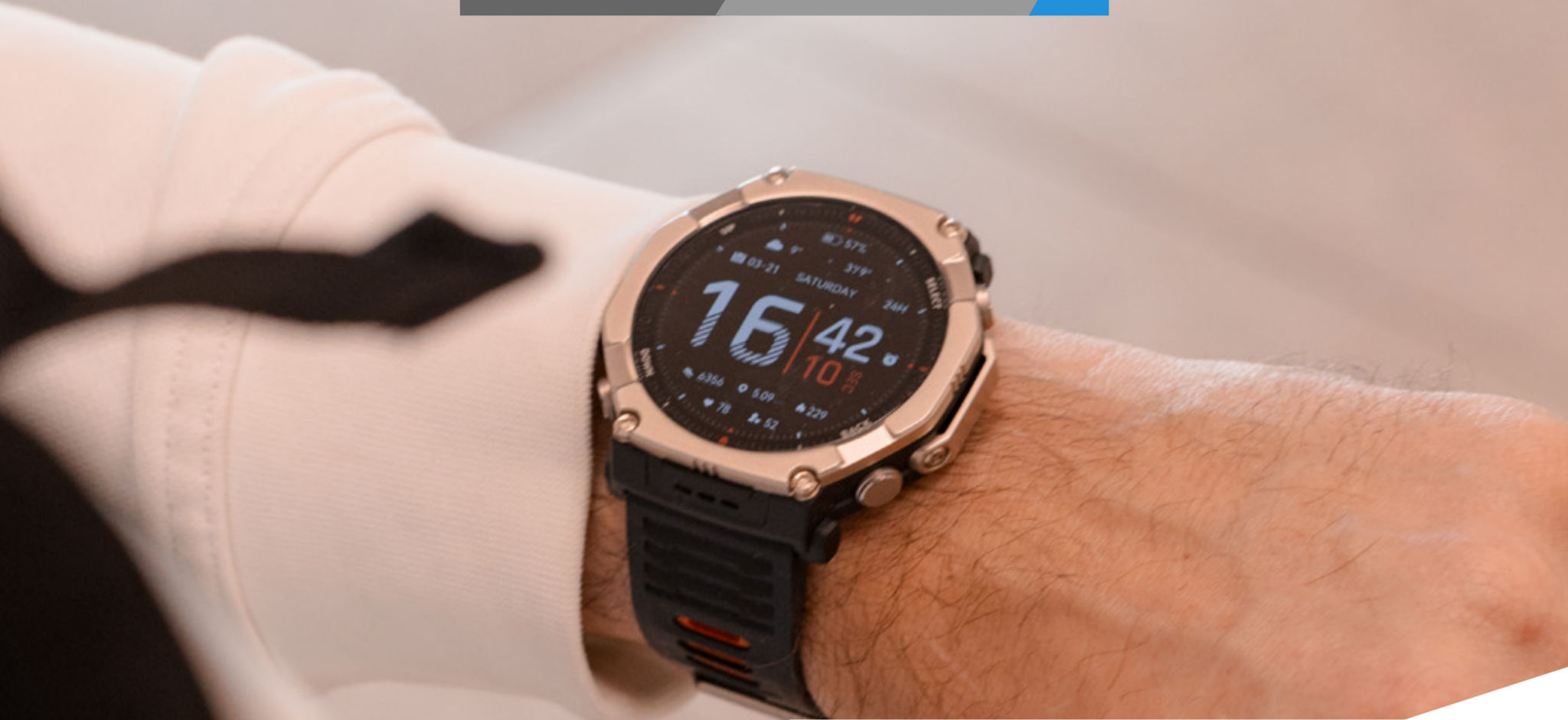


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Amazfit T-Rex Ultra 2 – miesiąc później. Zegarek, który dorósł szybciej niż jego użytkownik

Są takie sprzęty, które po pierwszym kontakcie robią wrażenie. A potem, po kilku dniach – trochę to wrażenie opada. I są też takie, które potrzebują czasu. Które trzeba „przenosić”, przetrenować, przepocić i sprawdzić w różnych scenariuszach. I dopiero wtedy zaczynają pokazywać, czym naprawdę są.





Mój pierwszy tekst o Amazfit T-Rex Ultra 2 [<https://imagazine.pl/2026/02/19/amazfit-t-rex-ultra-2-zegarek-ktory-nie-za-slowa-kompromis/>] był trochę jak randka – ekscytujący, szybki, pełen pierwszych wrażeń. Ten jest bardziej jak miesiąc wspólnego życia. Ze wszystkimi zaletami, przyzwyczajeniami i – niestety – kilkoma zgrzytami.

Déjà vu, które z czasem zaczyna mieć sens

Na pierwszy rzut oka niewiele się zmieniło. Jeśli postawi się obok siebie T-Rex 3 Pro i Ultra 2, to większość osób nawet nie zauważy różnicy. Ten sam język stylistyczny, ta sama „pancerna” bryła i charakterystyczna surowość.

A jednak po miesiącu zaczynam rozumieć, że tu nie chodzi o wygląd.



To jest zegarek, który dojrzewa od środka.

Bo, choć na papierze mamy bardzo podobne „bebecy” jak w 3 Pro, to w praktyce wszystko działa... lepiej. Płynniej. Bardziej „smooth”, jak to się teraz mówi. Animacje, reakcje na dotyk, praca z mapą – wszystko sprawia wrażenie dopracowanego. I to nie jest różnica, którą zobaczysz w specyfikacji. To jest różnica, którą czujesz.

I to jest chyba największa zmiana względem poprzednich Amazfitów.

Tytan, szafir i sprytne oszustwo optyczne

Zegarek jest duży. Bardzo duży. 51 mm nie jest dla każdego i nie będę udawał, że jest inaczej.

Ale... ja go polubiłem.

Nie tylko dlatego, że mam słabość do dużych zegarków, ale dlatego, że Amazfit sprytnie „oszukał” percepcję. Ekran ma tę samą przekątną co T-Rex





3 Pro, ale przez większą ramkę umieszczoną pod szafirowym szkłem całość wygląda bardziej masywnie.

To trochę jak SUV-y – niby większe, ale w środku często podobne.

Za to materiały robią robotę. Tytanowy bezel, tytanowy spód koperty, szafirowe szkło – to już nie jest budżetowy Amazfit. To jest sprzęt, który aspiruje do ligi, w której grają Garminy z serii Fenix. I co ciekawe, w wielu aspektach naprawdę zaczyna tam pasować.

Ekran, który wreszcie nie irytuje

To może być detal, ale dla mnie – ogromny.

Ekran się nie palcuje tak jak w poprzednich modelach. Wreszcie. Serio.

A przy okazji mamy panel AMOLED o jasności sięgającej nawet 3000 nitów, który w praktyce oznacza jedno: nieważne, czy jesteś na rowerze w pełnym słońcu, czy gdzieś wysoko w górach – wszystko widać idealnie.

To jest poziom, do którego kiedyś Amazfit nawet nie próbował się zbliżyć.



Latarka, której nie traktujesz jak gadżet

Nie spodziewałem się, że będę o tym pisał, ale... ta latarka jest świetna.

I nie chodzi tylko o to, że jest. Chodzi o to, że jest przemyślana.

Zamiast czerwonego światła mamy zielone podświetlenie, które – zgodnie z założeniem – lepiej sprawdza się w warunkach nocnych i mniej „psuje” adaptację wzroku do ciemności. W teorii brzmi jak marketing. W praktyce... działa.

Kilka razy użyłem jej podczas nocnych powrotów i to nie był „feature dla checklisty”. To było coś, co realnie się przydaje.





Mikrofon i głośnik – w pełni używalne

To kolejna rzecz, która mnie zaskoczyła.

Rozmowy przez zegarek brzmią dobrze. Nie jak na zegarek. Po prostu dobrze.

Nie jest to oczywiście poziom słuchawek czy telefonu, ale pierwszy raz w Amazficie miałem sytuację, w której nie miałem oporu, żeby odebrać połączenie z nadgarstka.

I to jest ważna zmiana, bo pokazuje kierunek – to już nie jest tylko zegarek sportowy. To zaczyna być pełnoprawny smartwatch.

Góry, nawigacja i ten jeden moment, w którym doceniasz technologię

Czytając materiały Amazfita i historie takich ludzi jak Jost Kobusch, można odnieść wrażenie, że to sprzęt dla ekstremalnych świrów, którzy żyją powyżej 7000 metrów.

I pewnie trochę tak jest.



Bo w takich warunkach – gdzie tlen jest luksusem, a każdy krok kosztuje więcej niż powinien – precyzyjna nawigacja i dostęp do map mogą decydować o bezpieczeństwie.

Ale prawda jest taka, że nie trzeba jechać w Himalaje, żeby to docenić.

Wystarczy jeden źle oznaczony szlak, jedna mgła, jeden moment zawahania. I nagle fakt, że zegarek potrafi prowadzić cię zakręt po zakręcie, przeliczyć trasę i działać offline, przestaje być ciekawostką, a zaczyna być realną wartością.

Batefia – teofia kontra życie

I tu dochodzimy do momentu, w którym muszę trochę spuścić powietrze z tego balonu.

Producent mówi: do 30 dni.

Ja mówię: 9 dni. Maks.



Przy moim stylu użytkowania – 1–2 treningi dziennie z GPS, około godziny każdy – więcej nie udało mi się wyciągnąć. I nie, nie jest to wynik zły. Ale jest daleki od marketingowych obietnic.

Z drugiej strony – to nadal poziom, który w świecie smartwatchów jest bardzo dobry. Po prostu trzeba umieć oddzielić broszurę od rzeczywistości.

Czujniki, które nadal mają swoje humory

BioTracker 6.0 i cały ekosystem pomiarów robią wrażenie na papierze – VO2 max, obciążenia treningowe, regeneracja, HRV.

I w większości przypadków to działa.

Ale... nadal zdarzają się momenty, w których pomiar tętna gubi się, szczególnie przy intensywnych treningach. To nie jest problem tylko tego modelu – to coś, co Amazfit ciągnie od kilku generacji.

Dlatego jeśli ktoś traktuje dane bardzo poważnie, nadal warto mieć pasek na klatkę.

Czy to już „Garmin killer”?

Nie lubię tego określenia, ale wiem, że padnie.

I odpowiedź brzmi: jeszcze nie.

Ale...



Amazfit T-Rex Ultra 2 to pierwszy zegarek tej marki, przy którym nie czuję, że to tańsza alternatywa. To jest sprzęt, który ma własną tożsamość.

Ma świetny ekran, bardzo dobre materiały, dopracowane oprogramowanie i funkcje, które realnie mają sens – szczególnie jeśli lubisz aktywności outdoorowe.

Jednocześnie nadal ma kilka niedociągnięć – głównie w pomiarach i rozjazd między deklarowaną a realną baterią.

Po miesiącu wiem jedno

To nie jest zegarek dla każdego.

Jest duży, jest wyrazisty i momentami bezkompromisowy – dokładnie tak, jak sugeruje nazwa.

Ale jeśli lubisz sprzęt, który wygląda, jakby przetrwał koniec świata, a jednocześnie działa jak dopracowany smartwatch – to Amazfit zrobił coś bardzo, bardzo dobrego.

I co najważniejsze: to jest pierwszy raz, kiedy mam ochotę zobaczyć, co zrobi dalej.





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Satechi Thunderbolt 5 CubeDock – kiedy Mac mini przestaje być ograniczeniem

Pewne urządzenia trafiają na biurko i od razu wiadomo, że nie będą tylko kolejnym dodatkiem, ale czymś, co realnie zmieni sposób pracy. Dla mnie takim sprzętem okazał się najnowszy dock od Satechi – Thunderbolt 5 CubeDock. I nie, to nie jest kolejna „kostka z portami”. To jest coś znacznie więcej. To brakujące ogniwo, które sprawia, że Mac mini w końcu oddycha pełną piersią.





Design, który nie udaje – tylko pasuje

Zacznijmy od rzeczy, które w sprzęcie Apple-owym (i około Apple-owym) mają znaczenie ogromne – wyglądu. CubeDock jest... niemal idealnie dopasowany do Maca mini. Footprint? Identyczny. Wysokość? Minimalnie większa – dosłownie o 3–4 mm. Efekt jest taki, że stawiasz jedno na drugim i masz wrażenie, że to jeden organizm.

Aluminium, precyzja wykonania, spasowanie – absolutna topka. To jeden z tych produktów, których nie chowasz pod biurkiem. Wręcz przeciwnie – chcesz go mieć na widoku.

I drobiazg, który robi różnicę: przycisk zasilania z przodu. Kto używa Maca mini, ten wie, jak bardzo Apple „schowało” ten element. Tutaj – klik i działa. Prosto, logicznie.

Porty – czyli w końcu porządek na biurku

Jeśli kupujesz docka za takie pieniądze, oczekujesz jednego – żeby „załatwił temat”. CubeDock robi to bardzo skutecznie.

Z przodu dostajemy:

- USB-C (10 Gb/s, 30W)
- USB-A (10 Gb/s)



- czytniki kart SD i microSD (UHS-II)
- jack 3,5 mm

Z tyłu:

- 1x Thunderbolt 5 upstream
- 3x Thunderbolt 5 downstream
- USB-C i USB-A (po 10 Gb/s)
- Ethernet 2.5 Gb
- zasilanie (zewnętrzny zasilacz 180W)

I właśnie – zasilacz. Duży, osobny, 180W. To nie jest przypadek. Ten dock jest gotowy zasilić laptopa do 140W i jednocześnie obsłużyć wszystko inne bez zadyszki.

Thunderbolt 5 – różnica, którą naprawdę widać

Najważniejsze w tym urządzeniu nie są jednak porty. Ani nawet design. Tylko to, co dzieje się „pod maską”.





Thunderbolt 5 to przepustowość na poziomie 80 Gb/s (z możliwością boostu do 120 Gb/s). Brzmi jak marketing? Do momentu, aż wrzucisz do środka szybki dysk NVMe.

I tu dochodzimy do clou całej zabawy.

Thunderbolt 5 – różnica, którą naprawdę widać

Najważniejsze w tym urządzeniu nie są jednak porty. Ani nawet design. Tylko to, co dzieje się „pod maską”.

Thunderbolt 5 to przepustowość na poziomie 80 Gb/s (z możliwością boostu do 120 Gb/s). Brzmi jak marketing? Do momentu, aż wrzucisz do środka szybki dysk NVMe.

I tu dochodzimy do clou całej zabawy.

Mac mini i pamięć – w końcu bez kompromisów

CubeDock ma wbudowany slot na dysk NVMe (do 8 TB). I to nie jest gadżet – to jest realna alternatywa dla drogich konfiguracji pamięci w Apple.

Testowałem go z WD Black SN850X i wyniki są... imponujące.





Dla porównania:

- klasyczny dock Satechi do Mac mini → ok. 980 / 850 MB/s
- obudowa USB4 → ok. 3400 / 6000 MB/s
- CubeDock (Thunderbolt 5) → 6000 / 6000 MB/s

Dla kontekstu – wbudowany dysk w Mac mini osiąga około 4100 / 5100 MB/s, więc CubeDock w praktyce potrafi być szybszy w zapisie niż fabryczne SSD Apple. I to jest coś, co jeszcze kilka lat temu wydawało się kompletnie nierealne w przypadku pamięci zewnętrznej.

I teraz ważna rzecz: nie każdy Mac pokaże pełnię możliwości Thunderbolt 5. Sprawdziłem CubeDocka również z MacBook Pro M1 Pro i tam prędkości były na poziomie około 3200 / 3200 MB/s. Co ciekawe – dokładnie takie same wyniki uzyskałem przy podłączeniu klasycznej obudowy USB4.

To jasno pokazuje jedną rzecz: ograniczeniem w takim scenariuszu nie jest dock, tylko interfejs i generacja Thunderbolta w komputerze. Dopiero nowsze maszyny są w stanie rozwinąć skrzydła CubeDocka.

Wracając jednak do głównego bohatera – USB4 ogranicza zapis. Thunderbolt 5 – już nie. W końcu można „wycisnąć” z dysku praktycznie maksimum możliwości PCIe 4.0.



W praktyce? To robi różnicę

Na papierze to liczby. W rzeczywistości:

- eksport wideo krótszy o zauważalne sekundy (a czasem minuty)
- praca na dużych bibliotekach zdjęć bez przycięć
- montaż 4K i 8K bez stresu

Czy każdy to zobaczy? Nie.

Ale jeśli pracujesz półprofesjonalnie – foto, wideo, duże pliki – to różnica jest absolutnie realna. To nie jest benchmarkowa ciekawostka. To jest komfort pracy.

Dla kogo to jest?

I tu trzeba powiedzieć wprost: to nie jest sprzęt dla każdego.

Jeśli Twoim głównym zadaniem jest przeglądarka i Office – nie ma sensu. Serio. Kup obudowę USB4 za kilkaset złotych i będziesz zadowolony.





Ale jeśli:

- pracujesz na dużych plikach
- chcesz taniej rozbudować Maca mini zamiast dopłacać Apple
- zależy Ci na maksymalnej wydajności

...to CubeDock zaczyna mieć sens.

To sprzęt dla świadomych użytkowników. Takich, którzy wiedzą, gdzie jest bottleneck i chcą go usunąć.

Są minusy – i trzeba o nich powiedzieć

Nie ma sprzętu idealnego.

Cena – około 1999 zł – jest wysoka. To poziom, przy którym zaczynasz się zastanawiać.

Druga rzecz – brak portów typu HDMI. Satechi postawiło wszystko na Thunderbolt 5. Dla jednych to przyszłość, dla innych – konieczność używania adapterów.



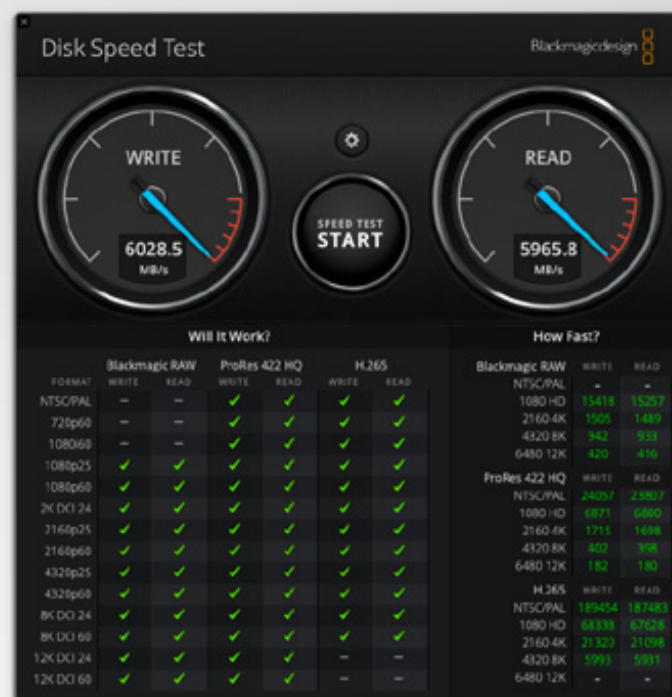
Trzeci minus jest bardziej techniczny i dotyczy obsługi monitorów. Na Macu dock pozwala co prawda podłączyć nawet dwa ekrany 8K, ale ograniczenie do 60 Hz wynika ze wsparcia systemowego i sterowników Apple. To oznacza, że osoby przyzwyczajone do wyższych częstotliwości odświeżania mogą poczuć niedosyt. Na PC sytuacja wygląda lepiej – można osiągnąć nawet 144 Hz przy 8K lub wyższe odświeżanie przy niższych rozdzielczościach – ale to z kolei zależy od konkretnej konfiguracji sprzętowej i karty graficznej. Innymi słowy: potencjał jest ogromny, ale nie zawsze w pełni wykorzystany.

No i jeszcze jedno – żeby wykorzystać potencjał, potrzebujesz odpowiedniego sprzętu (i dysku). Inaczej to trochę jak kupić sportowe auto do jazdy po osiedlu.

Podsumowanie – czy warto?

CubeDock to jeden z tych produktów, które pokazują, w którą stronę idzie rynek.

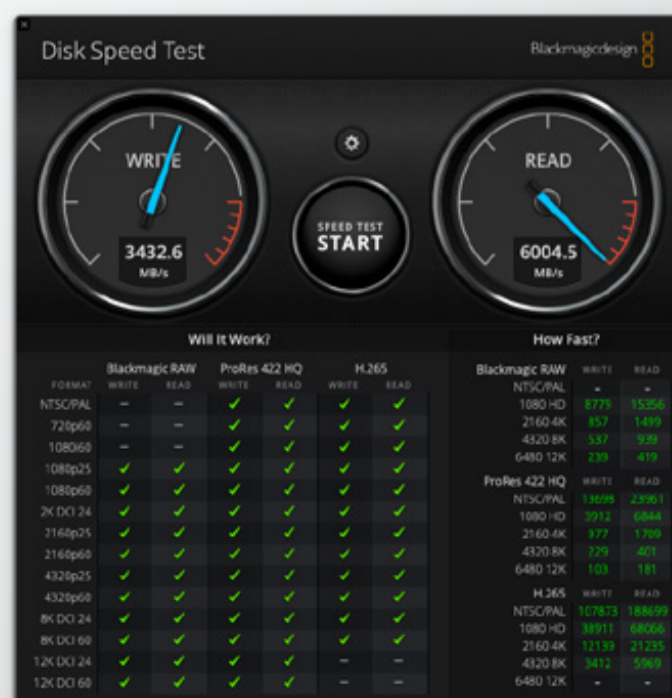
Nie chodzi już tylko o „więcej portów”. Chodzi o wydajność, która realnie zmienia sposób pracy.



TB5



USB-C



USB4



Dla mnie to idealne rozszerzenie Maca mini. Szczególnie jeśli nie chcesz przepłacać za wbudowaną pamięć w Apple, a jednocześnie nie chcesz iść na kompromisy wydajnościowe.

Czy to sprzęt dla każdego? Nie.

Czy to najlepszy dock, jaki możesz dziś kupić do Maca mini? Bardzo możliwe, że tak.

I co najważniejsze – to jeden z pierwszych momentów, kiedy Thunderbolt 5 przestaje być ciekawostką... a zaczyna mieć sens.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

TP-Link Archer NX500 5G wjeżdża na salony

Wyobraź sobie, że Twoje biuro mieści się w domku na skraju lasu, na tymczasowym stoisku w środku galerii handlowej albo w wynajmowanym mieszkaniu, gdzie właściciel na słowo „światłowód” reaguje panicznym lękiem przed wierceniem w ścianach. Mam coś, co powinno Cię zainteresować.





Powyższe brzmi jak scenariusz walki o każdy megabit. Tyle, że nie musisz toczyć tej walki. Już nie. TP-Link Archer NX500 to urządzenie, które ma udowodnić, że stabilny i szybki internet nie musi być uwiązany do gniazdka w ścianie, skrętki czy światłowodu. To router, który bierze potęgę sieci 5G i zamienia ją w domowe centrum dowodzenia.

Prędkość, która zawstydza kable

Sercem Archera NX500 jest technologia 5G, która w tym modelu potrafi rozpędzić się do konkretnych 4,67 Gb/s podczas pobierania danych. Oczywiście, to wartości teoretyczne, zależne od infrastruktury operatora, ale sam fakt, że mamy do czynienia z tak szerokim „gardłem”, robi wrażenie. W praktyce oznacza to jedno: koniec z kłótniami o to, kto w danej chwili może oglądać serial w 4K, a kto musi pobrać wielogigabajtową aktualizację do gry. NX500 radzi sobie z tym bez zadyszki, oferując przy tym niskie opóźnienia, co docenią zwłaszcza fani rozgrywek online.

Ale sama sieć 5G to nie wszystko. Aby ten potencjał nie utonął w bezprzewodowym szumie, TP-Link wyposażył urządzenie w standard Wi-Fi 6E (AX3000). Do dyspozycji mamy dwa pasma: szybkie 5 GHz (do 2402 Mb/s) oraz stabilne 2,4 GHz (do 574 Mb/s). To duet, który dba o to, by sygnał



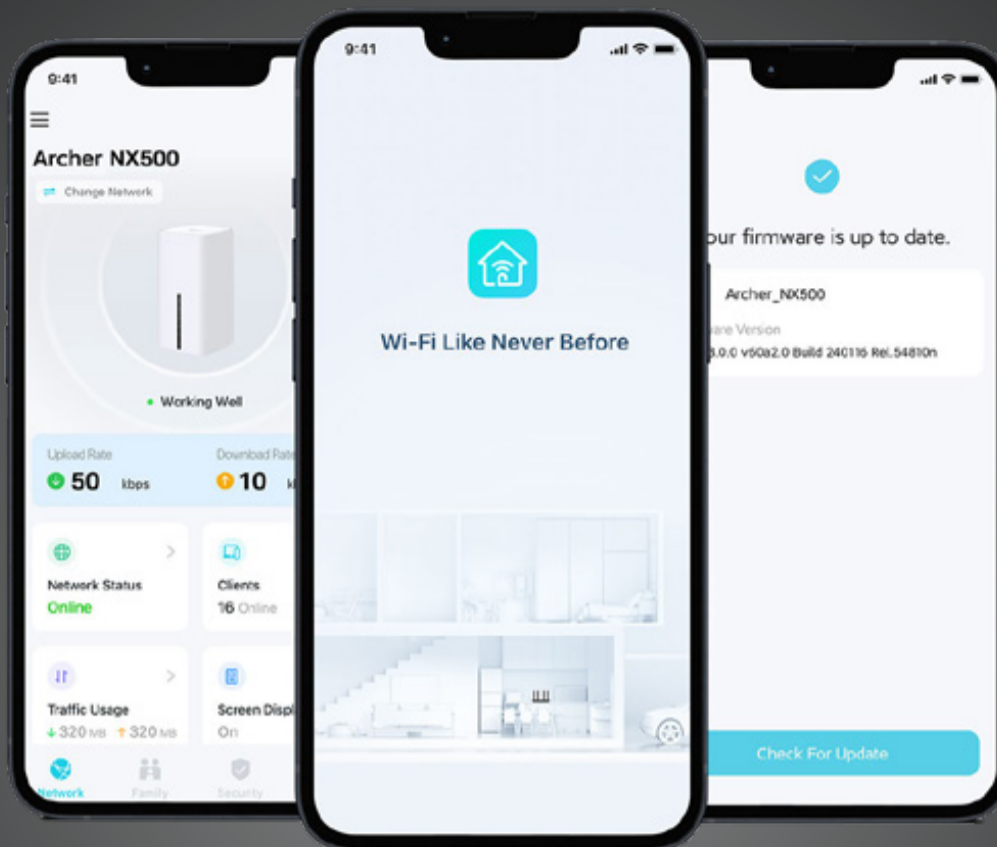
docierał do każdego zakamarka mieszkania, obsługując jednocześnie dziesiątki urządzeń – od smartfonów, przez laptopy, aż po inteligentne odkurzacze.

Elegancja w formie wieży

Pod względem wizualnym NX500 odchodzi od klasycznego obrazu routera-pająka z lasem zewnętrznych anten. To smukły, biały prostopadłowiec o zaoblonych krawędziach, który postawiony na regale wygląda jak nowoczesny element dekoracyjny, a nie techniczny niezbędny. Wewnątrz obudowy ukryto aż osiem anten 5G/LTE oraz trzy anteny Wi-Fi.

Jeśli jednak mieszkasz w miejscu, gdzie zasięg komórkowy jest wyjątkowo kapryśny, producent zostawił furtkę: pod dyskretną klapką z tyłu znajdziesz dwa złącza SMA-F, do których możesz podpiąć zewnętrzne anteny wzmacniające sygnał operatora. To mały detal, który dla osób mieszkających w „strefach cienia” może być zbawienny.





Plug & Play w najczystszej postaci

Największa zaleta tego sprzętu? Prostota. Konfiguracja sprowadza się właściwie do włożenia karty Nano SIM (slot ukryto na spodzie urządzenia) i podłączenia zasilania. To wszystko. Archer NX500 automatycznie wykrywa parametry sieci i tworzy domowe Wi-Fi. Dla tych, którzy chcą mieć pełną kontrolę, dostępna jest aplikacja Tether na smartfony. Jest intuicyjna, pozwala na szybkie ustawienie kontroli rodzicielskiej, sieci dla gości czy priorytetów dla konkretnych urządzeń.

Co ciekawe, NX500 nie jest „jednozadaniowcem”. Dzięki gigabitowemu portowi WAN/LAN może służyć jako tradycyjny router podpięty pod modem kablowy lub światłowód. W takim scenariuszu karta 5G staje się łączem zapasowym. Gdy Twój główny dostawca internetu zaliczy awarię, router w ułamku sekundy przełączy się na sieć komórkową, a Ty nawet nie zauważysz przerwy w wideokonferencji.

Zasięg bez granic z EasyMesh

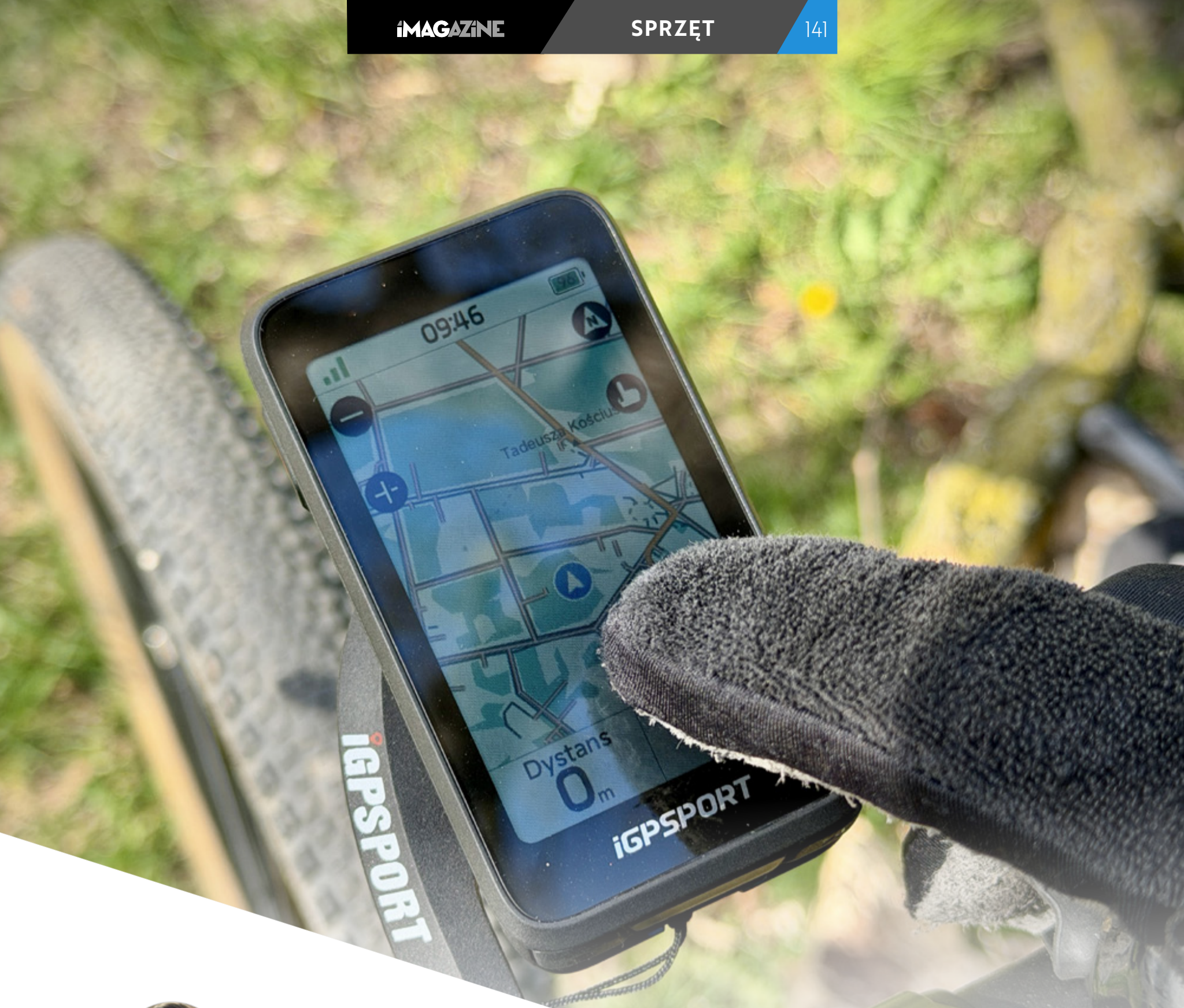
Jeśli Twój dom jest zbyt duży na jeden router, Archer NX500 wspiera standard EasyMesh. Oznacza to, że możesz do niego dokupić inne urządzenia kompatybilne z tym systemem i stworzyć jedną, spójną sieć w całym



budynku. Przemieszczając się między piętrami, Twój telefon nie będzie rozłączał się i szukał nowego sygnału – przełączanie odbywa się płynnie pod tą samą nazwą sieci.

TP-Link Archer NX500 to potężne narzędzie dla tych, którzy cenią niezależność. Jest szybki, świetnie wygląda i – co najważniejsze – daje pewność stabilnego łącza tam, gdzie kable nie docierają. To po prostu użyteczny sprzęt, wielofunkcyjny, bez kompromisów w kwestii wydajności. Ach, jeszcze odpowiedź na pytanie, ile trzeba za ten sprzęt zapłacić? W jednej z popularnej sieci sklepów z elektroniką użytkową ten model znalazłem za ok. 1300 zł. Drogo? Jeżeli pracujesz korzystając z sieci i jest Ci ona niezbędna, to nie jest wydatek. To inwestycja.



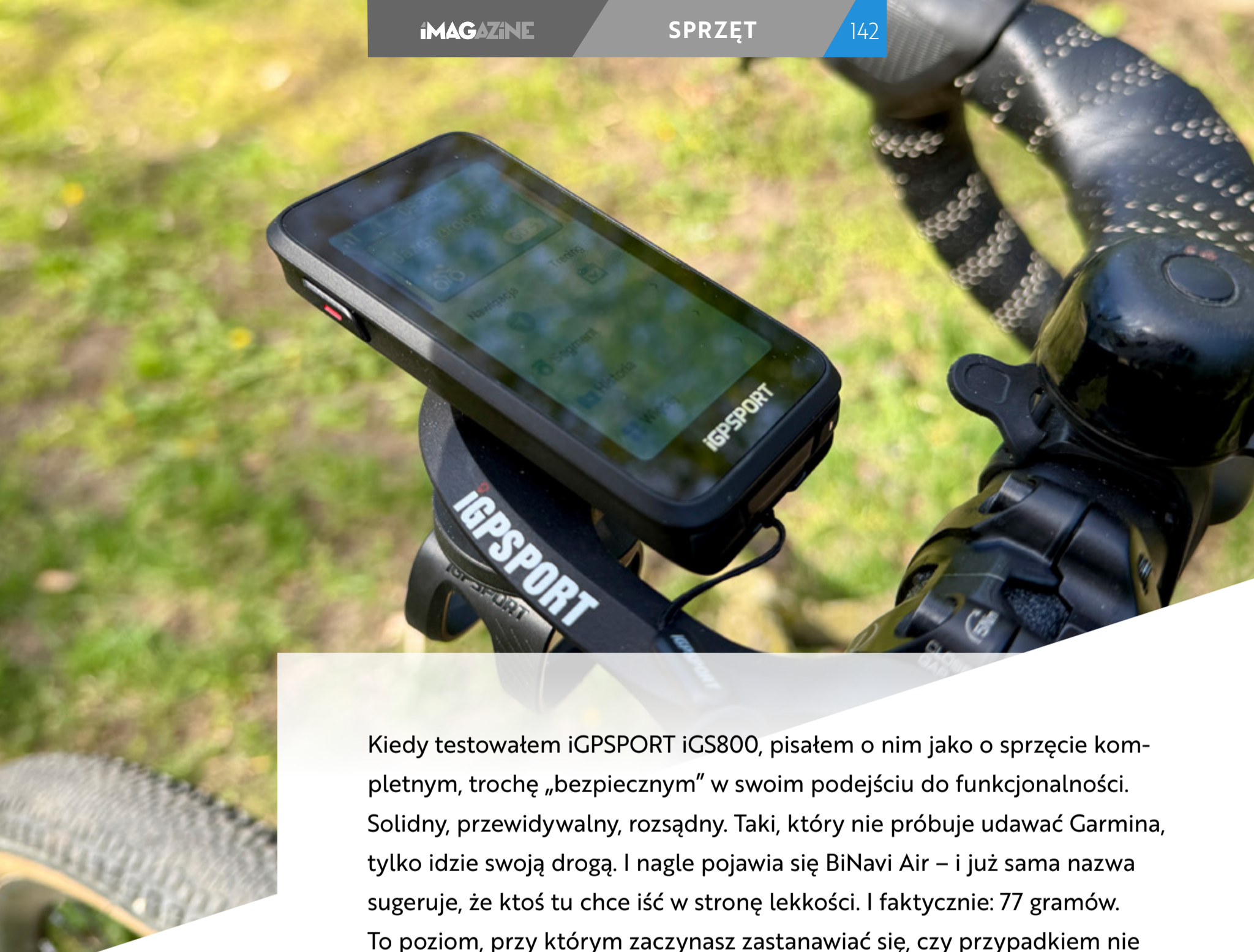


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Lekkość, która robi różnicę – iGPSPORT BiNavi Air

Na pewnym etapie kolarskiej zajawki przestajesz patrzeć na rower jako całość, a zaczynasz rozkładać go na detale – każdy gram, każdy element, każdy drobiazg zaczyna mieć znaczenie. Gram w jedną stronę, gram w drugą. Kształt mostka. Szerokość opony. A potem nagle łapiasz się na tym, że licznik... jest za ciężki. Brzmi absurdalnie? Być może. Ale jeśli jeździsz dużo – naprawdę dużo – zaczynasz rozumieć, że każdy detal ma znaczenie.





Kiedy testowałem iGPSPORT iGS800, pisałem o nim jako o sprzęcie kompletnym, trochę „bezpiecznym” w swoim podejściu do funkcjonalności. Solidny, przewidywalny, rozsądny. Taki, który nie próbuje udawać Garmina, tylko idzie swoją drogą. I nagle pojawia się BiNavi Air – i już sama nazwa sugeruje, że ktoś tu chce iść w stronę lekkości. I faktycznie: 77 gramów. To poziom, przy którym zaczynasz zastanawiać się, czy przypadkiem nie zapomniałeś go zamontować.

Sprzęt dla tych, którzy lubią „czuć” rower

BiNavi Air to licznik, który od pierwszego kontaktu sprawia wrażenie sprzętu projektowanego z myślą o bardziej sportowej jeździe. Smukła obudowa, wykończenie przypominające karbon i kompaktowa forma sprawiają, że świetnie wpisuje się w estetykę nowoczesnych szosówek czy graveli.

To nie jest już „komputer rowerowy” w klasycznym rozumieniu. To raczej przedłużenie kokpitu – coś, co ma być, ale nie powinno dominować. I tu iGPSPORT naprawdę odrobił lekcję.

Ekran, który w końcu nie przegrywa ze słońcem

Jedną z rzeczy, która zawsze była kluczowa w licznikach, jest ekran. I nie chodzi tylko o rozdzielczość, ale o coś znacznie bardziej prozaicznego – czy cokolwiek na nim widać w pełnym słońcu.



Tutaj mamy 3-calowy wyświetlacz HD, który – co ważne – nie próbuje być „efektowny”, tylko po prostu działa. Jest czytelny, kontrastowy i wystarczająco jasny, żeby nie trzeba było mrużyć oczu podczas jazdy w południe. Do tego dochodzi płynny dotyk, który w tej klasie cenowej wciąż nie jest oczywistością.

Najbardziej zaskoczyła mnie jednak personalizacja. Możliwość ustawienia nawet 12 pól danych na jednej stronie i aż 15 ekranów to poziom, który spokojnie zawstydzą droższą konstrukcję. A jeśli ktoś lubi bawić się wyglądem – są nawet motywy retro, które wyglądają jak żywcem wyjęte z pierwszych smartfonów.





GPS, który po prostu działa

To może być najmniej sexy element specyfikacji, ale jednocześnie jeden z najważniejszych. Dual-band GNSS robi tutaj robotę. Sygnał łapie szybko, trzyma stabilnie i – co kluczowe – nie wariuje w mieście ani w lesie.

Jeśli jeździsz dużo w zróżnicowanym terenie, to docenisz. Jeśli jeździsz tylko po otwartych szosach – uznasz to za oczywistość. I chyba właśnie o to chodzi.

iClimb 3.0, czyli zabawa zaczyna się pod górę

Nie ukrywam – jestem fanem podjazdów. Może niekoniecznie ich samej idei w trakcie jazdy, ale tego uczucia po wszystkim. I tutaj wchodzi iClimb 3.0, który jest jedną z ciekawszych funkcji tego licznika.

Dostajesz pełny podgląd tego, co przed tobą: dystans do szczytu, pozostałe



przewyższenie, aktualne nachylenie – wszystko podane w czytelnej, graficznej formie. Do tego dochodzi kodowanie kolorami, które pozwala jednym rzutem oka ocenić, czy za chwilę będzie „przyjemnie”, czy raczej „dlaczego ja to robię sobie dobrowolnie”.

To jedna z tych funkcji, które realnie wpływają na sposób jazdy. Pomagają rozłożyć siły, kontrolować tempo i – co tu dużo mówić – psychicznie przygotować się na to, co za zakrętem.

No dobrze, gdzie jest haczyk?

Nie ma sprzętu idealnego i BiNavi Air też nim nie jest. Największym kompromisem jest nawigacja. Brak pełnego reroutingu offline oznacza, że jeśli zjedziesz z trasy, licznik nie wyznaczy nowej drogi – pokaże jedynie, jak wrócić do punktu, w którym ją opuściłeś.

Dla jednych to drobiazg. Dla innych – dealbreaker.

Do tego dochodzą drobniejsze rzeczy: automatyczna jasność, która czasem jest zbyt zachowawcza, brak Wi-Fi (czyli wszystko robisz przez aplikację





w telefonie) i brak etui w zestawie, co przy tej klasie sprzętu trochę zaskakuje.

Alternatywa, która przestaje być „alternatywą”

Kiedy kilka lat temu gdy ktoś mówił o licznikach spoza „wielkiej trójki”, traktowało się to trochę jak ciekawostkę. Dziś sytuacja wygląda zupełnie inaczej.

BiNavi Air kosztuje często o 50–60% mniej niż topowe modele Garmina czy Wahoo, a oferuje doświadczenie, które w wielu aspektach jest... po prostu porównywalne. Jasne, algorytmy nawigacyjne są jeszcze krok z tyłu, ale pytanie brzmi: czy każdy tego potrzebuje?

W moim przypadku – niekoniecznie.



Naturalny krok po iGS800

Pisząc o iGS800, miałem wrażenie, że iGPSPORT buduje solidne fundamenty. BiNavi Air pokazuje, że firma zaczyna się bawić formą i kierunkiem, w jakim chce iść.

To licznik bardziej „dla jeżdżących” niż „dla analizujących”. Lżejszy, bardziej dynamiczny, bliższy temu, co czujesz na rowerze, a nie tylko temu, co potem zobaczysz w statystykach.

I chyba właśnie dlatego tak dobrze wpisuje się w mój sposób jazdy.

Bo czasem nie chodzi o to, żeby mieć najwięcej funkcji. Czasem chodzi o to, żeby nic nie przeszkadzało ci po prostu jechać.

Ile on kosztuje? 170 EUR/850 PLN. Cena wydaje się atrakcyjna jak za tej klasy sprzęt.






DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Yale Linus Smart Lock L2 – drzwi do wygodniejszej codzienności

Smart home ma wiele twarzy, ale niewiele urządzeń potrafi tak szybko wejść do codziennej rutyny jak inteligentny zamek. To jedno z tych rozwiązań, które początkowo wydają się wygodnym dodatkiem, a po kilku dniach okazują się czymś, bez czego nie bardzo chce się już funkcjonować. I właśnie w tej kategorii Yale Linus Smart Lock L2 odnajduje się wyjątkowo dobrze.





Marka Yale nie musi niczego udowadniać. To jeden z tych producentów, których historia jest dłuższa niż niejeden współczesny start-up technologiczny. Dziś działa pod skrzydłami Assa Abloy, ale nadal czuć w ich produktach doświadczenie wynikające z dziesiątek lat pracy nad bezpieczeństwem – tyle że przeniesionym do świata aplikacji, automatyzacji i integracji.

Klucz, który przestał być potrzebny

Największa zmiana, jaką wnosi smart zamek, nie polega na tym, że możesz otworzyć drzwi telefonem. To tylko wierzchołek góry lodowej. Chodzi raczej o zmianę myślenia.

Nie zastanawiasz się już, czy masz klucze. Nie wracasz pod drzwi, żeby sprawdzić, czy na pewno zamknąłeś. Nie kombinujesz, jak przekazać dostęp komuś, kto przyjeżdża wcześniej niż ty.

Zamiast tego zarządzasz dostępem tak, jak zarządzasz kalendarzem – udostępniasz, ograniczasz, usuwasz. W kontekście wynajmu krótkoterminowego, choćby przez Airbnb, to wręcz game changer. Ale nawet w zwykłym domu szybko okazuje się, że to rozwiązanie ma sens.





Technologia, która nie komplikuje życia

Jedną z największych przewag Linusa L2 jest to, że nie wymaga żadnej infrastruktury pomocniczej. Nie potrzebujesz dodatkowego mostka, huba ani żadnego innego elementu, który trzeba gdzieś ukryć i zasilić.

Wszystko jest w środku – Bluetooth i Wi-Fi działają od razu po wyjęciu z pudełka. To podejście, które powinno być standardem, a nadal nim nie jest.

Do tego dochodzi wsparcie dla Matter, czyli języka, którym coraz częściej „rozmawiają” urządzenia smart home. Dzięki temu zamek bez problemu współpracuje z HomeKit, SmartThings, Alexą czy bardziej zaawansowanymi konfiguracjami opartymi o Home Assistant.

I co najważniejsze – nie trzeba być pasjonatem automatyki, żeby to wszystko skonfigurować.

Instalacja bez historii o wiertarce

Są produkty, które zaczynają się od instrukcji, a kończą na frustracji. Tutaj jest odwrotnie.

Montaż Linusa L2 to dosłownie kilka minut. Dwie śrubki, dopasowanie do wkładki i gotowe. Bez ingerencji w drzwi, bez wiercenia, bez specjalistycznych narzędzi.



Yale oferuje przy tym własną, modułową wkładkę, którą można dopasować do większości drzwi. To rozwiązanie, które eliminuje jeden z największych problemów przy instalacji smart zamków – kompatybilność.

Cisza, szybkość i metal

W codziennym użytkowaniu najbardziej docenia się rzeczy, które... po prostu działają. Linus L2 jest szybki – wyraźnie szybszy od poprzedniej generacji – ale to nie jest jego największa zaleta.

Największą jest kultura pracy.

Zamek działa cicho, płynnie i bez zbędnego hałasu. To szczególnie ważne wieczorem lub wczesnie rano, kiedy każdy dodatkowy dźwięk potrafi obudzić pół domu.

Do tego dochodzi konstrukcja – metalowa, solidna, sprawiająca wrażenie produktu premium. Nie ma tu poczucia obcowania z „plastikowym gadżetem”, co w tej kategorii sprzętu niestety nadal się zdarza.



Automatyzacja, która naprawdę działa (prawie zawsze)

Jedną z ciekawszych funkcji jest automatyczne otwieranie drzwi, gdy wracasz do domu. W teorii brzmi to jak drobiazg, w praktyce szybko staje się czymś, do czego trudno się nie przyzwyczaić.

Czy działa perfekcyjnie? Nie zawsze. Zdarza się, że trzeba chwilę poczekać, że reakcja jest opóźniona. Ale nawet wtedy trudno wrócić do tradycyjnego klucza.

Warto przy tym dobrze przemyśleć konfigurację. U mnie sprawdza się scenariusz, w którym zamek otwiera się automatycznie przy powrocie, ale nie zamyka przy wyjściu. To eliminuje ryzyko przypadkowego zamknięcia drzwi, gdy ktoś zostaje w środku.

Energia pod kontrolą

Zasilanie to kolejny element, który został dobrze przemyślany. Zamiast klasycznych baterii mamy akumulator ładowany przez USB-C. Rozwiązanie wygodne i bardziej ekologiczne.

Jest jeden kompromis – żeby go naładować, trzeba go wyjąć z zamka. Nie jest to wielki problem, ale warto o tym pamiętać.



Za to ogromnym plusem jest niezależność od prądu. Nawet przy awarii zasilania zamek działa dalej, korzystając z własnej baterii i komunikacji Bluetooth.

Dodatki, które mają sens

Ekosystem Yale nie kończy się na samym zamku – i dobrze, bo nie każdy chce korzystać wyłącznie z telefonu.

Yale Smart Keypad 2 to świetne uzupełnienie – klawiatura z czytnikiem linii papilarnych, która pozwala otworzyć drzwi w ułamku sekundy albo nadać kod dostępu domownikom czy gościom. Sprawdza się szczególnie tam, gdzie rotacja użytkowników jest większa – choćby przy wynajmie.

Yale Smart Keypad 2 to świetne uzupełnienie – klawiatura z czytnikiem linii papilarnych, która pozwala otworzyć drzwi w ułamku sekundy albo nadać kod dostępu domownikom czy gościom.

Z kolei Yale Dot to prosty, ale sprytny dodatek. Przykładasz telefon i zamek się otwiera. Bez szukania aplikacji, bez klikania. Mała rzecz, a potrafi uprościć codzienne korzystanie.

Nie jest idealny, ale bardzo blisko

Linus L2 nie jest urządzeniem pozbawionym wad.

Brakuje fizycznego przycisku do szybkiego ryglowania – zamiast tego trzeba użyć pokrętła. To detal, ale w codziennym użytkowaniu byłby mile widziany.

Są też drobne problemy po stronie oprogramowania – szczególnie przy niektórych routerach, gdzie pojawiają się kwestie związane z baterią czy integracją Matter.



No i pozostaje temat chmury – konfiguracja wymaga konta Yale. Dla większości użytkowników to norma, ale warto mieć świadomość.

Wniosek? Wygoda wygrywa

Yale Linus Smart Lock L2 to sprzęt, który nie próbuje być rewolucją na siłę. Zamiast tego bierze dobrze znaną ideę smart zamka i dopracowuje ją tam, gdzie wcześniej coś zgrzytało.

Brak mostków, dobra integracja, świetna jakość wykonania i realna wygoda w codziennym użytkowaniu sprawiają, że to jedno z tych urządzeń, które szybko przestaje być nowinką, a zaczyna być standardem.

Zamek Yale Linus Smart Lock L2 kupimy za około 800 zł. Yale Dot jest w cenie, w komplecie z zamkiem. Klawiatura Yale Smart Keypad 2 to koszt około 600 zł, a dedykowana, uniwersalna wkładka regulowana do zamka Yale kosztuje około 170 zł.



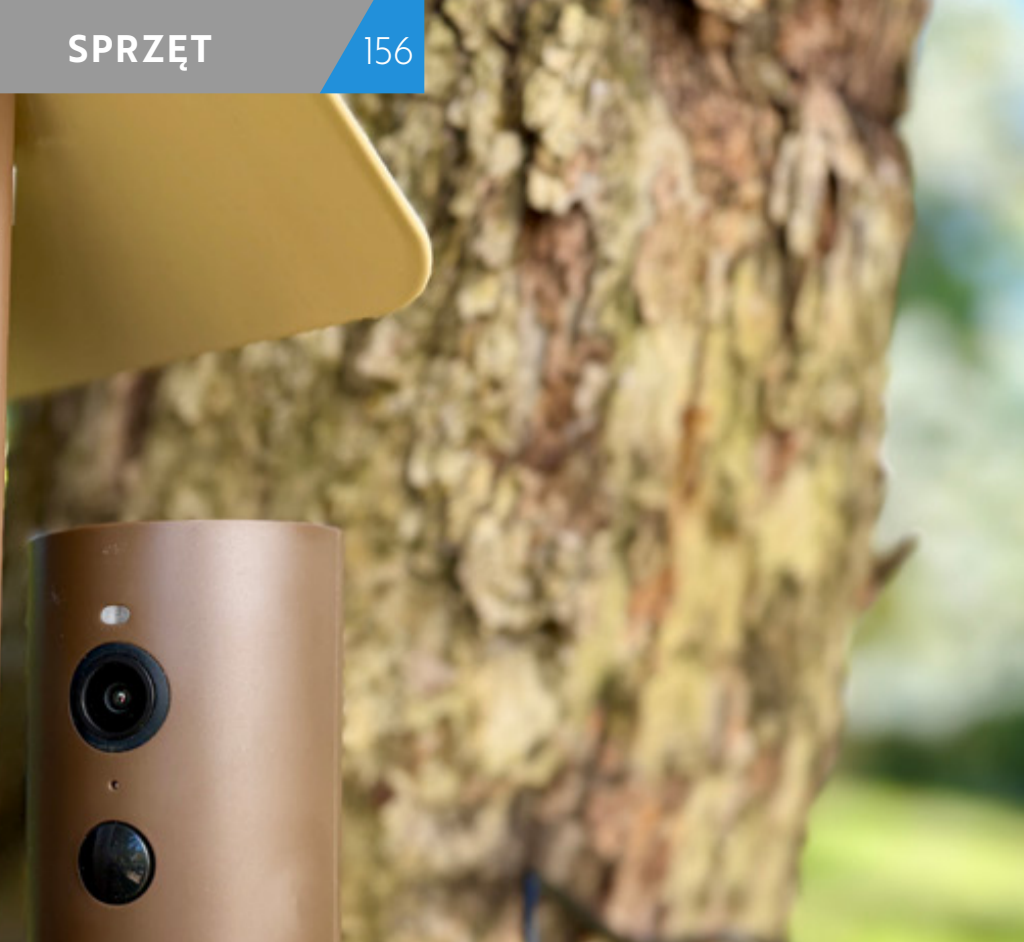


DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Karmnik, który patrzy – i rozpoznaje

Technologia coraz częściej wychodzi poza ekran i zaczyna towarzyszyć nam w codziennych, zaskakująco zwyczajnych momentach. Birdfy jest tego świetnym przykładem, bo zamiast kolejnego „sprytnego” gadżetu do domu dostajemy coś, co łączy świat cyfrowy z naturą – i robi to w sposób, który naprawdę ma sens.





I powiem wprost: to jeden z tych produktów, które idealnie wpisują się w dzisiejszy styl życia. Trochę smart home, trochę slow life, trochę „patrz, co się dzieje za oknem”.

Karmnik 2.0 – czyli co tu właściwie jest smart?

Birdfy to nie jest zwykła skrzynka na ziarno. To pełnoprawne urządzenie IoT od firmy Netvue, które łączy w sobie kilka elementów:

- kamerę HD skierowaną na miejsce karmienia – panel słoneczny, który zasila całość – aplikację mobilną – oraz system AI rozpoznający gatunki ptaków.

Brzmi jak overkill? Może trochę. Ale tylko do momentu, kiedy pierwszy raz dostaniesz powiadomienie na telefon: „Właśnie odwiedził cię bogatka”.

To jest moment, w którym zaczyna się zabawa.



Technologia, która nie przeszkadza naturze

Największą zaletą Birdfy – przynajmniej dla mnie – jest to, że ta technologia nie dominuje. Ona jest gdzieś w tle. Metalowa konstrukcja wygląda estetycznie i nowocześnie, ale nie odstrasza ptaków. Wręcz przeciwnie – bardzo szybko zaczynają traktować karmnik jak swoje miejsce.

Panel słoneczny robi robotę. W praktyce oznacza to tyle, że instalujesz urządzenie i... zapominasz o ładowaniu. To trochę jak z dobrym sprzętem sportowym – najlepszy jest ten, o którym nie musisz myśleć.

A kamera? Zaskakująco dobra. Szczegółowa, ostry obraz, szeroki kąt. I co ważne – działa sprawnie nawet przy zmiennym oświetleniu, co w naszym klimacie ma znaczenie.

AI, które naprawdę ma sens

Nie jestem fanem wciskania AI wszędzie, gdzie się da. Ale tutaj... to działa.

System rozpoznawania ptaków nie jest idealny, ale zaskakująco skuteczny. Rozpoznaje najpopularniejsze gatunki, a aplikacja buduje coś





w rodzaju twojego dziennika obserwacji. Trochę jak cyfrowy atlas ptaków, tworzony na bieżąco.

Jest też element subskrypcyjny – i tu warto być uczciwym. Pełne możliwości AI wymagają opłaty. Czy to wada? To zależy. Jeśli traktujesz Birdfy jako gadżet do podglądania ptaków – spokojnie wystarczy wersja podstawowa. Jeśli chcesz wejść głębiej, analizować, archiwizować, porównywać – wtedy subskrypcja zaczyna mieć sens.

Trochę natury w świecie powiadomień

Najciekawsze w Birdfy nie jest jednak to, co potrafi technologicznie. Tylko to, co robi z naszymi nawykami.

Bo nagle łapiasz się na tym, że zamiast kolejnego powiadomienia z social mediów dostajesz informację o tym, że na karmniku pojawił się wróbel. I – co dziwne – to właśnie to drugie powiadomienie daje więcej satysfakcji.

To trochę jak powrót do dzieciństwa. Tyle że zamiast siedzieć przy oknie z lornetką, masz wszystko w telefonie.

Dla kogo to jest?

Birdfy to nie jest produkt dla każdego. I dobrze.



To sprzęt dla tych, którzy: mają balkon, ogród albo działkę; lubią gadzety, ale nie takie na siłę; chcą połączyć technologię z czymś bardziej... realnym.

To też świetny pomysł dla rodzin. Dzieciaki potrafią wciągnąć się w obserwowanie ptaków bardziej niż w niejedną aplikację. A to już coś.

Czy to ma sens?

Na koniec najważniejsze pytanie: czy karmnik w wersji smart to nie jest trochę przesada?

Może. Ale żyjemy w czasach, w których technologia coraz częściej odcina nas od świata. Birdfy robi coś odwrotnego – przybliża nas do niego.

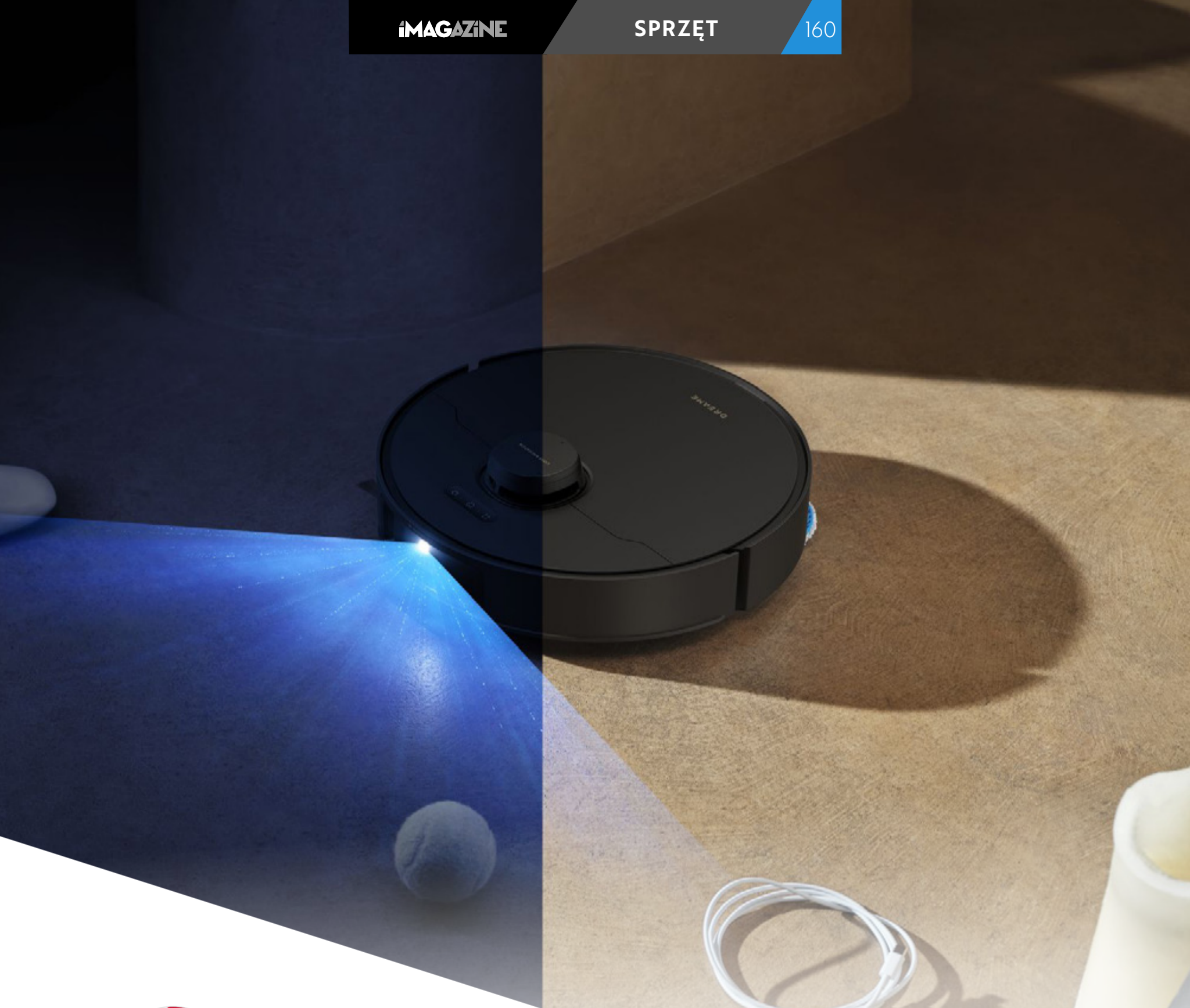
I za to go najbardziej cenię.

Bo to jeden z tych rzadkich gadżetów, które nie tylko robią „wow” przez pierwsze pięć minut, ale zostają z nami na dłużej. Nie dlatego, że są niezbędne. Tylko dlatego, że po prostu... sprawiają przyjemność.

A w dzisiejszym świecie to całkiem sporo.

Karmnik można kupić za ok 650zł.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Dreame Matrix 10 Pro: obiecuję koniec kompromisów

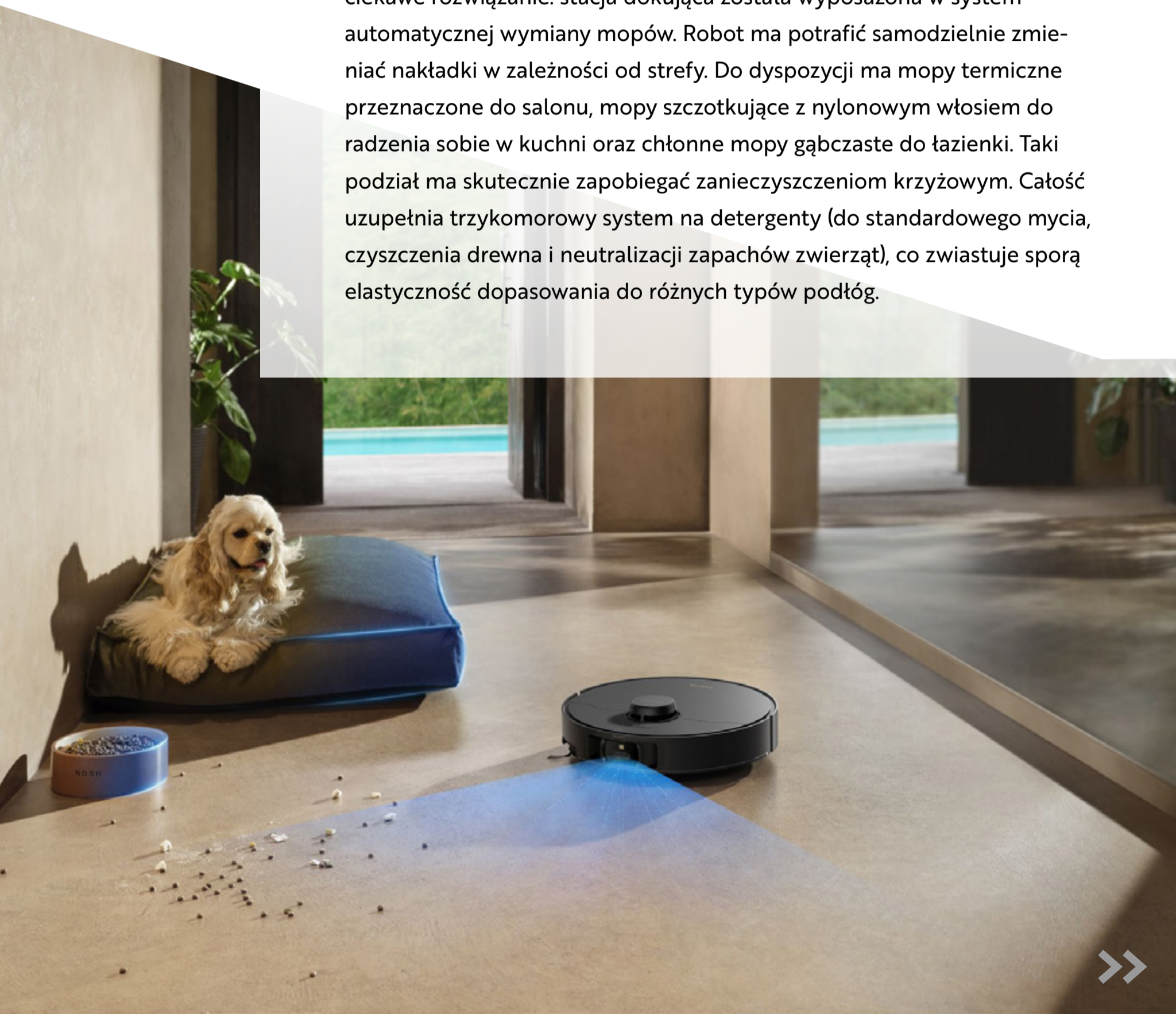
Wydawało mi się, że w świecie automatycznych odkurzaczy wymyślono już wszystko. I faktycznie. Miałem rację, wydawało mi się.



Producenci od lat prześcigają się w dokładaniu kolejnych czujników i zwiększaniu mocy ssącej, ale w codziennym, domowym „polu walki” hybrydy odkurzająco-mopujące wciąż mają swoje słabe punkty – od zaplątanych w szczotki włosów, przez blokowanie się na progach, po rozmazywanie kuchennego tłuszczu w salonie. Jak na tym tle wygląda Dreame Matrix 10 Pro? Inżynierowie wzięli sobie do serca większość z tych irytujących problemów. Przyjrzyjmy się zatem, co ten sprzęt potrafi.

Koniec z krzyżowym rozmazywaniem brudu

Największą bolączką robotów myjących zawsze było ryzyko przeniesienia zabrudzeń między pomieszczeniami. Dreame proponuje tu bardzo ciekawe rozwiązanie: stacja dokująca została wyposażona w system automatycznej wymiany mopów. Robot ma potrafić samodzielnie zmieniać nakładki w zależności od strefy. Do dyspozycji ma mopy termiczne przeznaczone do salonu, mopy szczotkujące z nylonowym włosiem do radzenia sobie w kuchni oraz chłonne mopy gąbczaste do łazienki. Taki podział ma skutecznie zapobiegać zanieczyszczeniom krzyżowym. Całość uzupełnia trzykomorowy system na detergenty (do standardowego mycia, czyszczenia drewna i neutralizacji zapachów zwierząt), co zwiastuje sporą elastyczność dopasowania do różnych typów podłóg.





Czysta siła i walka z zaplątanymi włosami

Pod kątem odkurzania producent deklaruje imponującą moc ssania na poziomie 30 000 Pa. To wartość, która powinna bez problemu radzić sobie z cięższymi zanieczyszczeniami, jak papier czy rozsypany z kuwety żwirek. Mimo tak wysokich parametrów sprzęt ma operować stosunkowo cicho (co potwierdzać ma certyfikat TÜV). Intrygująco zapowiada się również przeprojektowany układ szczotek. Dreame wykorzystuje podwójną konstrukcję: jedna łączy włosie z gumą, druga jest w całości wykonana z tworzywa TPU. Marka twierdzi, że specyficzna budowa w stu procentach eliminuje problem owijania i plątania się włosów na wałkach.

Nawigacja, która nie boi się progów i kątów

Roboty często kapitulują przed wysokimi progami lub listwami okien tarasowych.



Dreame Matrix 10 Pro został wyposażony w dodatkowe koła pomocnicze, które pozwalają sprzętowi pokonywać progi o wysokości aż 40 mm (przy schodach podwójnych) i do 22 mm (przy pojedynczych).

Sam system nawigacji bazuje na skanerze LDS wspieranym kamerą AI oraz doświetleniem LED, co ma mu pozwalać na omijanie kilkuset rodzajów domowych przeszkód. Aby uniknąć przetadowania tekstu technologicznym żargonem i marketingowymi nazwami kolejnych patentów, powiedzmy krótko: robot potrafi wysuwać ramię z bocznym mopem oraz szczotką, by skutecznie wymieść kurz z kątów i wnęk. Same mopy są obrotowe i potrafią wychylać się na boki oraz unosić, kopiując nierówności podłogi czy głębokie fugi. W przypadku dywanów urządzenie unosi nakładki myjące wyżej (na ponad centymetr) lub całkowicie odczepia je i zostawia w bazie przed wjazdem na włosie, skupiając się jedynie na dogłębnym odkurzaniu.

Rozbudowana stacja, wrzątek i sterylizacja

Wielofunkcyjna stacja dokująca zapowiada się jako wysoce zautomatyzowane narzędzie. Oprócz opróżniania kurzu (worek ma wystarczyć nawet





na 100 dni pracy), stacja suszy mopy gorącym powietrzem, uzupełnia wodę i automatycznie dozjuje płyny. Opcjonalnie można ją też wpiąć bezpośrednio w domową instalację wodno-kanalizacyjną. Najciekawiej brzmi jednak system mycia samych nakładek – baza podgrzewa wodę aż do 100°C. Producent obiecuje, że takie czyszczenie dogłębnie usuwa z mopów trudny tłuszcz i eliminuje 99,99% bakterii. Czy faktycznie tak jest? Tego nie wiem, bo nie mamy mikrobiologicznego laboratorium, ale samo użycie wrzątku z pewnością poprawi higienę pracy urządzenia.

Inteligencja, zwierzaki i zasilanie

W specyfikacji nie zabrakło ukłonu w stronę właścicieli zwierząt domowych. Robot ma wbudowaną funkcję sprytnego omijania podkładów higienicznych, a po wykryciu kuwety lub legowiska intensyfikuje sprzątanie wokół nich. Wbudowana kamera pozwala na robienie zdjęć zwierzacom i prowadzenie dwukierunkowej komunikacji głosowej, a sam sprzęt dba o prywatność – posiada szyfrowanie end-to-end, dzięki czemu nagrania nie trafiają do zewnętrznej chmury.

Całość zasila bateria o pojemności 6400 mAh, co według Dreame przekłada się na ponad cztery godziny (260 minut) ciągłego sprzątanania. Fani



smart home powinni być zadowoleni z obsługi komend głosowych oraz wsparcia dla asystentów (Siri, Alexa, Google Home), a w niedalekiej przyszłości – również dla standardu Matter.

Podsumowanie

Analizując Dreame Matrix 10 Pro, widać wyraźnie, że inżynierowie szukają rozwiązań realnych, codziennych problemów. System fizycznej, automatycznej wymiany mopów i mycie nakładek w temperaturze 100°C brzmią jak bardzo sensowna odpowiedź na wyzwania związane z czystością podłóg. Te imponujące obietnice i wyśrubowane parametry faktycznie mają szansę przełożyć się na bezproblemową kulturę pracy. Możemy mieć do czynienia z jednym z najciekawszych inteligentnych odkurzaczy tego roku. Wygląda to obiecująco.

Materiał powstał przy współpracy z marką Dreame.





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
[@moridln](#)

Robot koszący do najtrudniejszych zadań – Segway Navimow X430 (cz. 1)

Dzisiaj na warsztat wziąłem robota koszącego Segway Navimow X430. To zaawansowany sprzęt przeznaczony do dużych trawników, który nie wymaga uciążliwego rozkładania przewodów obwodowych i potrafi pokonywać naprawdę strome wzniesienia. W tym materiale przeprowadzam Was przez proces pierwszej konfiguracji, aktualizacji oprogramowania oraz ręcznego mapowania działki za pomocą smartfona. Opowiadam również o zastosowanych technologiach, systemie pływających ostrzy oraz zintegrowanych funkcjach bezpieczeństwa. Zapraszam do obejrzenia pierwszej części testu, w której przygotowujemy to urządzenie do walki z trawnikiem.

NAVIMOW



X430





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Domowa pizza, rodzinne rytuały i technologia, która wchodzi do kuchni

Nastały naprawdę niezwykłe czasy. Jeszcze kilka lat temu przygotowanie pizzy na poziomie „prawie jak z Neapolu” wymagało albo wizyty w dobrej pizzerii, albo inwestycji w duży, ciężki piec, który zajmował pół ogrodu i wymagał cierpliwości godnej mistrza zen. Dziś? Dziś wystarczy kawałek blatu w kuchni, gniazdko elektryczne i urządzenie takie jak Tefal Pizza Pronto JM600TE0.





A ja – człowiek, który gotowanie traktuje jak formę terapii, a pizzę jak jedną z najważniejszych potraw świata – patrzę na to wszystko z lekkim niedowierzaniem.

Gluten tag i wtorkowa tradycja

U nas w domu pizza to nie jest jedzenie jak każde inne. To rytuał. Gluten tag. Glutenowe wtorki. Po treningu pływackim – niezależnie od pogody, humoru czy zmęczenia – wracamy i... pizza.

Czeka na nią cała rodzina. I nie, nie przesadzam – czasem mam wrażenie, że bardziej niż na sam trening. Ale absolutnym zwycięzcą w tej historii jest nasz pies. To jedyny „niepsi” posiłek, który dostaje i jego reakcja, kiedy przekraczamy próg domu z pachnącym kartonem... to coś pomiędzy ekstazą a totalnym szaleństwem. Scena jak z filmu – tylko zamiast dramatycznej muzyki jest merdający ogon i oczy jak pięć złotych.

Tyle że od jakiegoś czasu ten karton coraz częściej... nie istnieje.

Mój punkt odniesienia: mam już Ooni

Żeby było jasne – nie jestem nowicjuszem. W ogrodzie stoi mój mały piec od Ooni, opalany drewnem. I powiem wprost: to jest fantastyczne





doświadczenie. Ogień, dym, temperatura sięgająca 450–500°C, pizza gotowa w minutę. Klimat jak z włoskiego podwórka.

Ale.

No właśnie – zawsze jest jakieś ale.

Bo ten piec wymaga:

- rozpalania,
- pilnowania temperatury,
- obracania pizzy co kilkanaście sekund,
- i... czasu.

Nie zawsze mam na to ochotę. Nie zawsze mam na to przestrzeń. I nie zawsze chcę bawić się w pizzaiolo po ciężkim dniu.

I tutaj wchodzi Tefal.

Elektryczna wygoda, która zmienia wszystko

Pierwsze spotkanie z Tefal Pizza Pronto JM600TE0 było... zaskakująco bezproblemowe. Podłączasz do prądu. Ustawiasz temperaturę. Czekasz kilkanaście minut. Gotowe.

Brzmi banalnie? Bo takie jest.

Największy szok pojawia się jednak w momencie pieczenia. Ten piec ma obrotowy kamień. Serio. Pizza kręci się sama, równomiernie się piecze i nie musisz robić absolutnie nic.



Dla kogoś, kto choć raz spalił jedną stronę pizzy w klasycznym piecu – to jak objawienie.

Ogród czy kuchnia? Jedno i drugie ma sens

Warto też jasno powiedzieć: ten piec świetnie odnajduje się w ogrodzie. I to jest zresztą scenariusz, który rekomenduje sam producent. Na tarasie, przy stole, w letni wieczór – robi się z tego niemal małe, rodzinne wydarzenie. Bez dymu, bez walki z ogniem, ale z klimatem wspólnego gotowania na świeżym powietrzu.

Ale na upartego wcale nie oznacza to kombinowania, spokojnie można używać go w kuchni. Jeśli masz trochę miejsca na blacie i sensowną wentylację, nic nie stoi na przeszkodzie. I powiem więcej – właśnie ta elastyczność jest jedną z jego największych zalet. Bo kiedy pogoda nie dopisuje, pizza wcale nie musi na tym cierpieć.

Smak – czyli najważniejsze pytanie

No dobrze, ale czy to naprawdę działa?





Krótką odpowiedź: tak.

Dłuższa: to zależy, czego oczekujesz.

Tefal osiąga około 400°C. To mniej niż piece gazowe czy opalane drewnem, ale wciąż wystarczająco dużo, żeby zrobić naprawdę dobrą pizzę. Ciasto rośnie, brzegi się rumienią, ser się pięknie topi.

Czy to jest poziom neapolitański z pieca za kilka tysięcy złotych? Nie do końca.

Ale czy to jest poziom, który sprawia, że przestajesz zamawiać pizzę z dostawą? W moim przypadku – absolutnie tak.

Szybkość i wygoda wygrywają

Największą siłą tego pieca nie jest temperatura. Jest nią wygoda.

- nie muszę wychodzić do ogrodu,
- nie muszę rozpalać drewna,
- nie muszę pilnować ognia,
- nie muszę obracać pizzy.



Po treningu, zmęczony, głodny – to ma znaczenie. Ogromne.

W praktyce wygląda to tak: wracamy z basenu, włączam piec, w tym czasie przygotowuję składniki, po kilkunastu minutach wrzucam pizzę, za 3 minuty jemy.

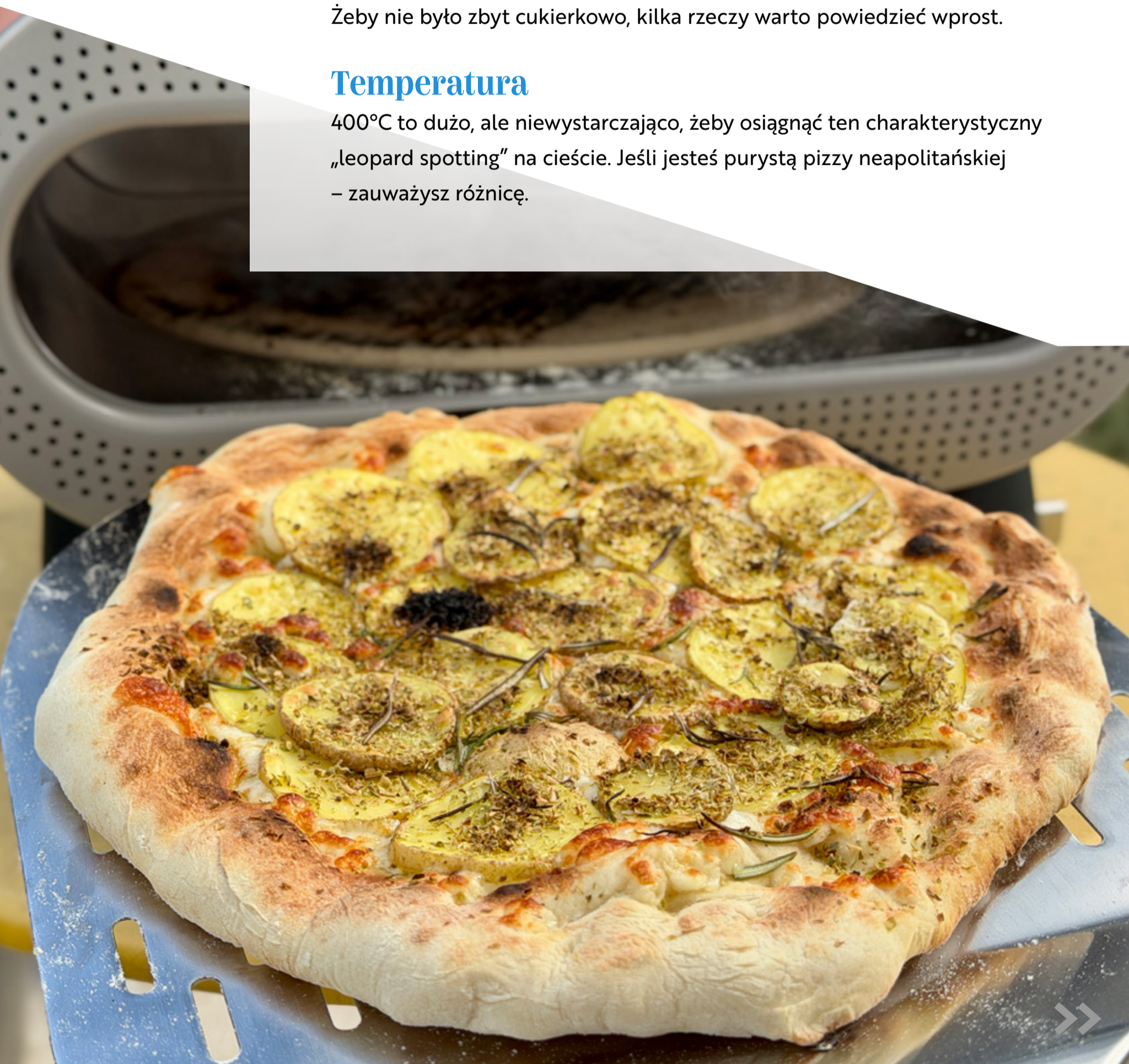
Bez stresu. Bez kombinowania.

Minusy – bo ideałów nie ma

Żeby nie było zbyt cukierkowo, kilka rzeczy warto powiedzieć wprost.

Temperatura

400°C to dużo, ale niewystarczająco, żeby osiągnąć ten charakterystyczny „leopard spotting” na cieście. Jeśli jesteś purystą pizzy neapolitańskiej – zauważysz różnicę.



Brak ognia

Nie ma tego klimatu. Nie ma dymu, nie ma zabawy z drewnem. To bardziej urządzenie kuchenne niż doświadczenie kulinarne.

Wielkość

To nie jest najmniejsze urządzenie świata. Trzeba mieć na nie miejsce na blacie.

Czy zastąpi pizzę z restauracji?

W moim przypadku odpowiedź jest zaskakująco prosta: w dużej mierze tak.

Nie dlatego, że robi lepszą pizzę niż topowe pizzerie. Ale dlatego, że:

- jest szybciej,
- jest taniej,
- jest wygodniej,
- i... jest nasze.

A do tego dochodzi coś, czego nie kupisz w żadnej aplikacji: wspólne robienie pizzy, wybieranie składników, śmiech w kuchni.

Wtorki już nie są takie same

Nasza tradycja się nie zmieniła. Nadal jest gluten tag. Nadal jest pizza po base-nie. Nadal jest pies, który wariuje przy drzwiach.

Zmieniło się tylko jedno – coraz częściej to my robimy pizzę, zamiast ją zamawiać.



I powiem szczerze: to chyba najlepsza zmiana, jaką ten sprzęt wprowadził w naszym domu.

Podsumowując

Tefal Pizza Pronto JM600TE0 to sprzęt, który nie próbuje być najlepszym piecem na świecie. I dobrze. Bo jego celem jest coś innego – sprawić, żeby robienie pizzy w domu było łatwe, szybkie i dostępne dla każdego.

I to robi znakomicie.

Jeśli masz już piec typu Ooni – nie zastąpi go. Ale jeśli chcesz robić pizzę częściej, szybciej i bez całej otoczki – to może się okazać, że używasz go... częściej niż myślisz.

A wtoroki? Wtoroki smakują teraz jeszcze lepiej.





PAWEŁ OKOPIEŃ
[@paweloko](#)

Na te telewizory warto czekać

Mamy maj 2026, pięć miesięcy po pierwszych prezentacjach nowych telewizorów, większości z nich jeszcze nie ma na sklepowych półkach. A jeden z telewizorów, który wam przedstawię, nawet jeszcze nie wyszedł. To jednak te modele będą wkrótce wybitnie pożądane.



Podstawowe pytanie: czekać, czy kupować telewizor już dziś? Jeśli chcesz kupić telewizor, bo twój stary się zepsuł, za tydzień wprowadzasz się do nowego mieszkania, lub zależy ci na najlepszych cenach, to kupuj śmiało to, co aktualnie jest na sklepowych półkach. W szczególności takie modele jak Samsung S85F, S90F i S95F, Sony Bravia 8 mk II, czy LG C5 i G5. Nowe modele zadebiutują w najbliższych tygodniach w sklepach, ale ich ceny startowe będą wyższe o kilkadziesiąt procent, a na pierwsze poważne promocje można liczyć w okolicach listopada. Ale jeśli na razie się rozglądasz, to właśnie to jest dobry moment, by zacząć się orientować, czekać na testy, recenzje, opinie odnośnie tych modeli, które się pojawią, a później polować na atrakcje cenowe na wybrany przez siebie numer. Oto cztery modele, na które warto czekać!



TRUE RGB
THE FUTURE OF COLOR IS COMING

Sony True RGB – Telewizor, którego nie ma

Ostatni telewizor Sony przed mariażem z TCL, wyczekiwana perła inżynierii. Wszyscy, którzy widzieli prototypy technologii w ostatnich miesiącach, są totalnie zachwyceni. I teraz pozostaje pytanie, jaki będzie efekt finalny? Osobiście pokładam w nim wielkie nadzieje, jako totalny pokaz możliwości Japończyków, godny finał obecnego etapu (choć wierzę też, że kolejne telewizory Bravia również będą ciekawe, a nakłady pracy i prawie 70 lat historii telewizorów Sony nie zostaną zmarnowane).

W telewizorze tym zostanie zastosowane wielostrefowe podświetlenie mini-LED w 3 kolorach – RGB. Telewizor ten zdecydowanie powinien jakościowo odstawać od podobnych propozycji z Chin. Patrząc na telewizory takie jak Bravia 9 czy Bravia 8 mk II, powinien być to referencyjny ekran. Pozostaje jeszcze kwestia ceny, która tradycyjnie też może odstawać od konkurencji.





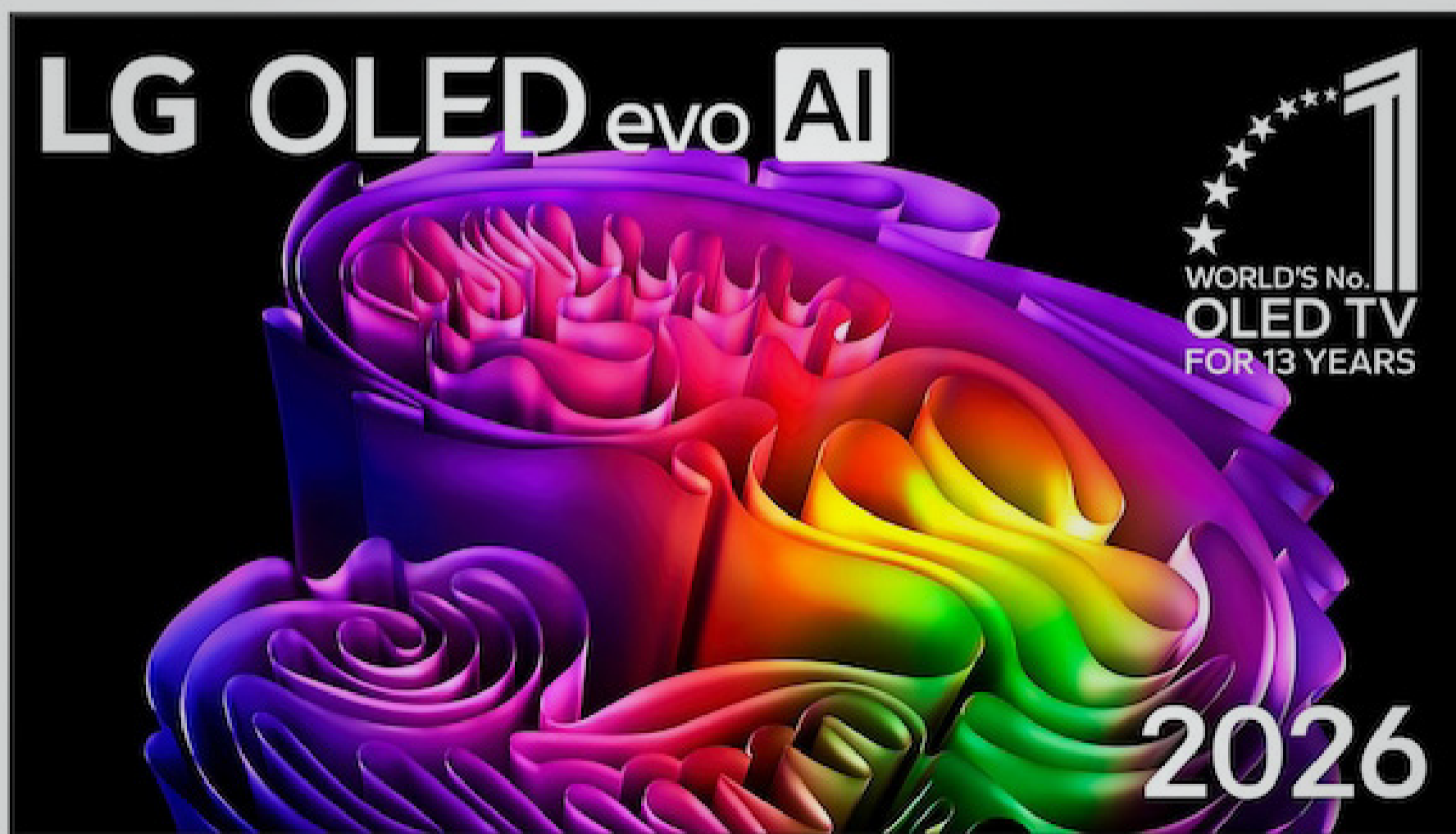
Samsung S99H/S95H

Nowy OLED od Samsunga ma być jaśniejszy, lepszy. Modele S95H i S99H będą bliźniacze technologicznie i należy je rozpatrywać w gronie najlepszych telewizorów tego roku. Ale mnie zachwyca S99H swoim nietuzinkowym, awangardowym wyglądem. Telewizor ma za sobą płytę, która sprawia, że ekran wygląda jak w dużej, srebrzystej ramie. Jeśli dodamy do tego fakt, że po raz pierwszy w historii OLED Samsunga będzie mógł wyświetlać obrazy z ArtStore jak telewizory The Frame – to mamy naprawdę fajny produkt oferujący referencyjną (patrząc na S95F) jakość obrazu i design. A takie telewizory są najciekawsze. Dla tych pragnących zwykłego telewizora bez tego wzornictwa pozostaje S95H.



LG G6

LG rozwija swoje telewizory OLED od niemal 14 lat. Najnowszy model wykorzystuje matryce tandem OLED drugiej generacji. A Maciej Koper z Wybierz.TV już dokonał pierwszych niezależnych pomiarów, gdzie różnica w jasności względem poprzednika sięga ponad 10%. Jest też nowy procesor. Poza LG G6 oczywiście koreański producent ma też resztę gamy OLED-ów, na które warto zwrócić uwagę: ultraszukty W6 oraz tańsze modele – C6, C6H i B6, które w kolejnych miesiącach powinny stać się atrakcyjnym wyborem dla każdego, kto chce nowy telewizor.





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

XGIMI TITAN – jednozadaniowy

Większość dostępnych na rynku projektorów oferuje zarówno dobrą jakość obrazu, jak i funkcje smart, pozwalający na przykład korzystać z aplikacji do streamingu bezpośrednio na urządzeniu. XGIMI TITAN ma jedynie podstawowy system operacyjny, skupiając się w pełni na jakości obrazu.





W szerokiej ofercie projektorów XGIMI, TITAN zajmuje szczególne miejsce. Pod względem oferowanych funkcji oraz designu bliżej mu do klasycznych konstrukcji, które wymagały zewnętrznego źródła obrazu, niż do współczesnych, bardziej kompaktowych projektorów. Jest naprawdę duży i ciężki, waży 11,5 kilograma. Jego aluminiowe podstawki czynią go optycznie lżejszym, ale będziemy musieli skorzystać z dedykowanego uchwytu lub stojaka, by bezpiecznie go zamocować w miejscu innym, niż blat. Kształt obudowy jest bardzo klasyczny, prostopadłościenna bryła jest od góry pokryta syntetyczną skórą, na froncie prócz soczewki obiektywu znajdują się też czujniki do kalibracji i wykrywania osób, a także maskownica głośników, natomiast po bokach i na dole umieszczono otwory wentylacyjne. Z tyłu umieszczono obszerny zestaw portów: dwa gniazda HDMI, w tym jedno eARC, dwa USB-A (jedno w standardzie 3.0), złącze optyczne, Ethernet, wejście RS232, mini Jack oraz serwisowe złącze microUSB. Prócz złącz, są tam też przyciski do sterowania urządzeniem, teoretycznie możemy więc obyć się całkowicie bez pilota. Ten jest jednak przydatny, pozwala wygodnie przetaczać korekcję kolorów, a także nawigować po obszernych ustawieniach urządzenia. Pilot ma ten sam design, co w pozostałych topowych projektorach XGIMI, a na dodatek jego przyciski są podświetlane.



Najbardziej nietypową cechą XGIMI TITAN jest brak zaawansowanego systemu smart pokroju Google TV. Oprogramowanie urządzenia pozwala wyłącznie na przeglądanie plików zapisanych w pamięci projektora (mamy jej aż 128 GB) bądź na podłączonym przez USB dysku. Jeśli nie zamierzamy korzystać z plików offline, zmuszeni jesteśmy na podłączenie zewnętrznego urządzenia pokroju Apple TV. To trochę uciążliwe i zastanawia mnie, dlaczego producent zdecydował się na takie rozwiązanie, zwłaszcza, że projektor jest naprawdę duży i wysoko wyceniany, wątpię więc by problemem była ograniczona przestrzeń czy budżet. System oferuje bardzo rozbudowane opcje związane z ustawieniami obrazu czy działaniem projektora, można je przypisać osobno do każdego z dwóch portów HDMI. Prócz standardowej regulacji kontrastu, jasności czy nasycenia kolorów, możemy też sterować balansem bieli, temperaturą kolorów czy przestrzenią barw, w której wyświetlany jest obraz. TITAN oferuje opcje optymalizacji kontrastu za pomocą AI – funkcja jest domyślnie włączona i przynaję, że efekty są więcej niż zadowalające. Dźwięk nie ma już tak rozbudowanych ustawień, brakuje choćby ręcznej korekcji brzmienia. Zakładam jednak, że sprzęt oferujący obraz tej klasy będzie działał w parze z systemem audio podobnej jakości, więc wbudowane głośniki nie mają aż takiego znaczenia.





Równie wiele ustawień TITAN oferuje w zakresie korekcji trapezowej, przesunięcia powierzchni wyświetlania oraz zoomu. XGIMI TITAN ma bardzo zaawansowaną optykę z funkcją lens shift, pozwalającą fizycznie przemieścić obraz zarówno w poziomie, jak i w pionie. Ponadto projektor oferuje zoom optyczny, co przekłada się na jeszcze lepsze dopasowanie do dostępnej powierzchni wyświetlania. Co najlepsze, funkcje te nie wymagają ręcznej konfiguracji, mogą działać automatycznie. Korekcja w ten sposób trwa dłużej, niż w mniej zaawansowanych urządzeniach XGIMI, ale jest to zrozumiałe, obejmuje ona bowiem więcej czynności, wliczając w to fizyczne przemieszczanie soczewki w pionie i w poziomie. TITAN ma zdecydowanie najlepszą automatyczną korekcję obrazu, jaką kiedykolwiek widziałem w projektorze.

TITAN to projektor DLP, wyświetlający obraz w rozdzielczości 4K. Według specyfikacji jasność wynosi 5000 ISO lumenów, a kontrast to 5 000 000 : 1. Parametry te pozwalają na korzystanie z niego w ciągu dnia, choć w niezbyt nasłonecznionym pomieszczeniu. Rozmiar obrazu może wynosić od 100 do 250 cali, przy czym pierwszą wartość uzyskamy już z odległości 2,7 metra. Sprzęt zapewnia 100% pokrycia palety DCI-P3 i obsługuje formaty takie jak Dolby Vision, HDR10+, IMAX Enhanced oraz Filmmaker Mode. Obraz jest



ostry i jasny, a kolory dobrze nasycone, choć musiałem spędzić kilkanaście minut w ustawieniach, by skorygować parametry wyświetlania. Po wprowadzeniu poprawek, obraz robi doskonałe wrażenie – na pochwałę zasługuje nie tylko odwzorowanie kolorów i szczegółowość, ale też płynność wyświetlania. Urządzenie oferuje tryb gry, który zmniejsza opóźnienia kosztem korekcji obrazu, nie jestem fanem grania na projektorach, ale muszę przyznać, że na tym jest to możliwe, o ile interesujące nas tytuły nie wymagają szybkiej reakcji. Dodatkowo TITAN wspiera projekcję 3D, chociaż nie miałem okazji tej funkcji przetestować.

Testowany projektor utwierdził mnie w przekonaniu, że tego typu sprzęt jest doskonały przede wszystkim do oglądania filmów. XGIMI TITAN wyróżnia się świetną ostrością i odwzorowaniem kolorów, którą nie sposób porównać z urządzeniami z niższej półki cenowej. Jak zwykle, ostrzenie i automatyczna korekta obrazu działają doskonale, zabrakło jednak systemu smart. Szkoda, że producent nie zdecydował się go dodać, bo ułatwiłby codzienną eksploatację urządzenia.



XGIMI TITAN

- Design: 5,5/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 4/6
- Wydajność: 5,5/6

Plusy:

- wyjątkowo dobra jakość obrazu
- rozbudowane ustawienia wyświetlania
- ruchoma soczewka ułatwiająca dostosowanie obrazu

Minusy:

- brak systemu smart

Cena: 16999 PLN

Dostępne w Top Hi-Fi & Video Design





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Podróż bez zmęczenia

Travel Assist Volkswagena w praktyce

Początek maja to dla wielu z nas symboliczny start sezonu podróżniczego. Pakujemy walizki, wrzucamy sprzęt do bagażnika i ruszamy przed siebie, by naładować baterie. A może dałoby się podróżować i nie zmęczyć? Tak. Skąd wiem? Sprawdziłem to.



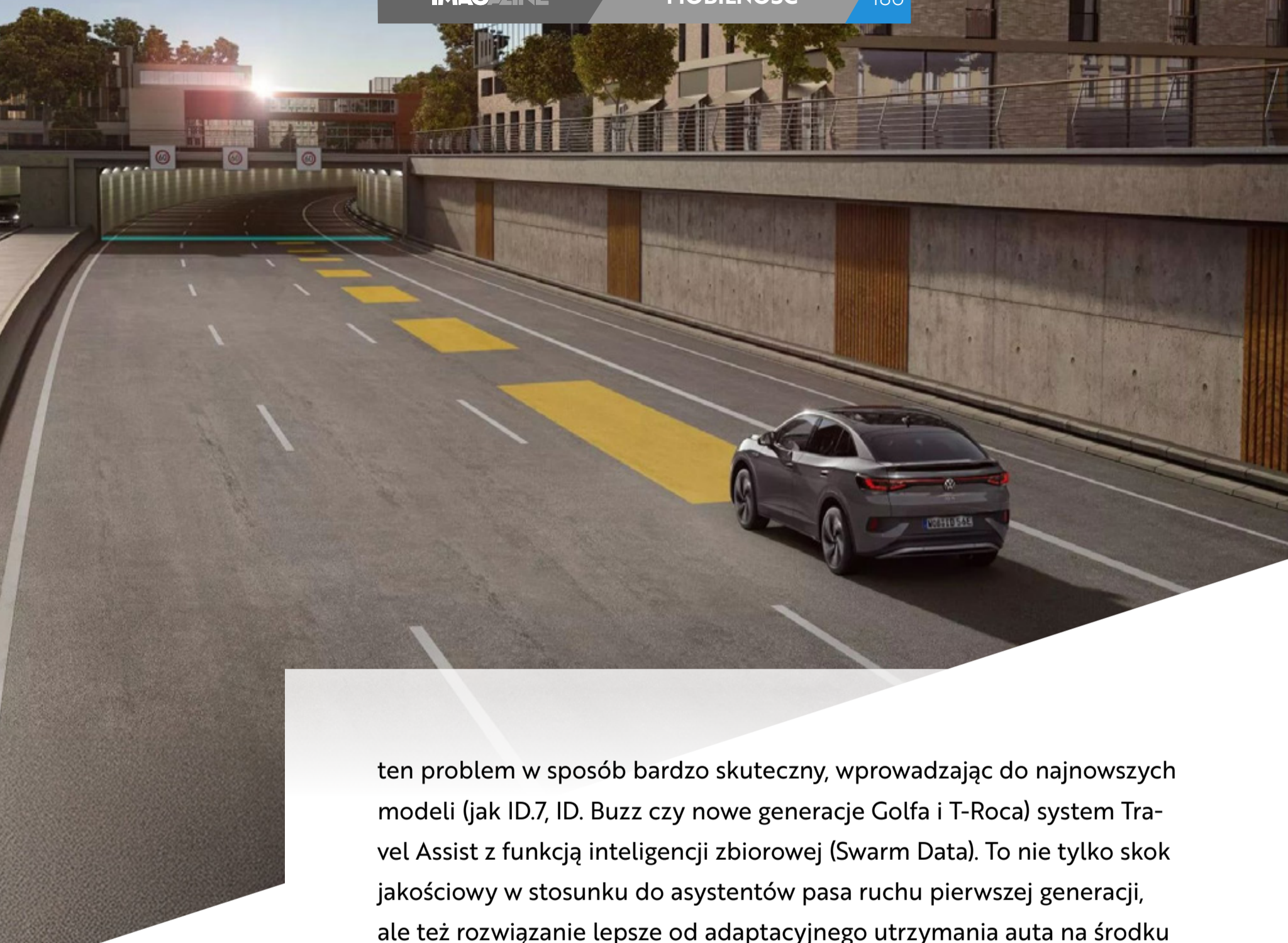
Sama podróż potrafi być wyczerpująca – kilkaset kilometrów za kółkiem, monotonne autostrady, niespodziewane korki czy zmienne warunki drogowe potrafią skutecznie wysać z nas energię jeszcze przed dotarciem do celu. Właśnie dlatego w tegoroczną trasę jeszcze przed majówką wyruszyłem w towarzystwie systemu IQ.Drive Travel Assist od Volkswagena. Zamiast walczyć ze zmęczeniem, postanowiłem sprawdzić, czy nowoczesna technologia potrafi realnie odciążyć nas w podróży.

W praktyce – w dużej mierze tak. Travel Assist w wydaniu na 2026 rok to coś znacznie więcej niż rozbudowany tempomat adaptacyjny. To zaawansowane narzędzie, które sprawnie asystuje kierowcy i daje konkretny przedsmak jazdy półautonomicznej.

Koniec z odbijaniem się od linii

Zapewne kojarzycie starsze systemy utrzymania pasa ruchu, które reagowały dopiero wtedy, gdy auto najeżdżało na linię, co owocowało nerwowym „ping-pongiem” od lewej do prawej krawędzi. Volkswagen rozwiązał





ten problem w sposób bardzo skuteczny, wprowadzając do najnowszych modeli (jak ID.7, ID. Buzz czy nowe generacje Golfa i T-Roca) system Travel Assist z funkcją inteligencji zbiorowej (Swarm Data). To nie tylko skok jakościowy w stosunku do asystentów pasa ruchu pierwszej generacji, ale też rozwiązanie lepsze od adaptacyjnego utrzymania auta na środku pasa ruchu (notabene ta funkcja również znajduje się w gamie rozwiązań dostępnych na pokładzie nowych Volkswagenów z Travel Assist).

W praktyce oznacza to, że auto analizuje dane w chmurze przesyłane z innych pojazdów marki. Efekt? System nie potrzebuje już idealnie wymalowanych dwóch linii na jezdni. Potrafi płynnie utrzymać samochód na pasie ruchu, mając do dyspozycji zaledwie jedną linię lub wręcz samą krawędź drogi. Co więcej, Travel Assist uczy się Twojego stylu jazdy. Jeśli wolisz trzymać się nieco bliżej prawej krawędzi (co jest naturalne dla wielu kierowców), samochód zaadaptuje się do Twoich preferencji, zamiast sztucznie i na siłę trzymać auto idealnie na środku. Wiedzieliście o tym? Obstawiam, że niewielu.

Autostradowy relaks i manewry na życzenie

Kolejnym atutem na długich, majówkowych dystansach jest automatyczna zmiana pasa ruchu. Działa to w sposób zaskakująco płynny i naturalny,



choć oparty na twardej inżynierii. Wyobraź sobie, że jedziesz autostradą z prędkością powyżej 90 km/h. Zbliżasz się do wolniejszego pojazdu. Wszystko, co musisz zrobić, to wrzucić lewy kierunkowskaz. Resztą zajmuje się samochód – system za pomocą kamer i radarów sprawdza, czy lewy pas jest wolny, a także czy nie znajduje się na nim auto w tzw. martwym polu, po czym samochód samodzielnie wykonuje manewr wyprzedzania. To rozwiązanie, które pokochają osoby preferujące jak najbardziej płynną jazdę. Po kilkudziesięciu użyciach rozwiązanie staje się tak oczywiste, że trudno wyobrazić sobie powrót do aut pozbawionych tej funkcji. Tu jednak pojawia się jedna uwaga: jeżeli preferujesz bardziej dynamiczną jazdę, automatyczna zmiana pasa ruchu na autostradzie może wydawać ci się zbyt zachowawcza. To nie jest wada, tylko kwestia podejścia projektantów. Oni mieli jedno podstawowe założenie: bezpieczeństwo przede wszystkim. Z drugiej strony kierowca wciąż ma swobodę wyboru. Na pokładzie testowanego przeze mnie T-Roca wystarczyło za pośrednictwem centralnego ekranu wyłączyć funkcję Zmiana pasa ruchu z asystą. Chcesz wyprzedzać sam? Voila!

Jeszcze ciekawszym rozwiązaniem jest predykcyjna regulacja prędkości. Adaptacyjny tempomat w klasycznym wydaniu to system dostosowujący prędkość do ustawień kierowcy, a także dbający o utrzymanie odpowiedniej odległości od poprzedzających pojazdów, gdy te jadą wolniej od naszych nastawów. Travel Assist idzie znacznie dalej. System ten współpracuje z danymi z nawigacji satelitarnej, mapami o wysokiej rozdzielczości i systemem rozpoznawania znaków. Efekt? Auto zwalnia przed ostrym zakrętem, rondem czy zbliżającym się terenem zabudowanym, jeszcze zanim Ty zdążysz o tym pomyśleć. Co ważniejsze, dostosowanie prędkości odbywa się bardzo płynnie, bez gwałtownego hamowania w ostatniej chwili. Decydując się na podróż z aktywnym Travel Assist, system pomaga ci utrzymać zgodność z obowiązującymi ograniczeniami prędkości.

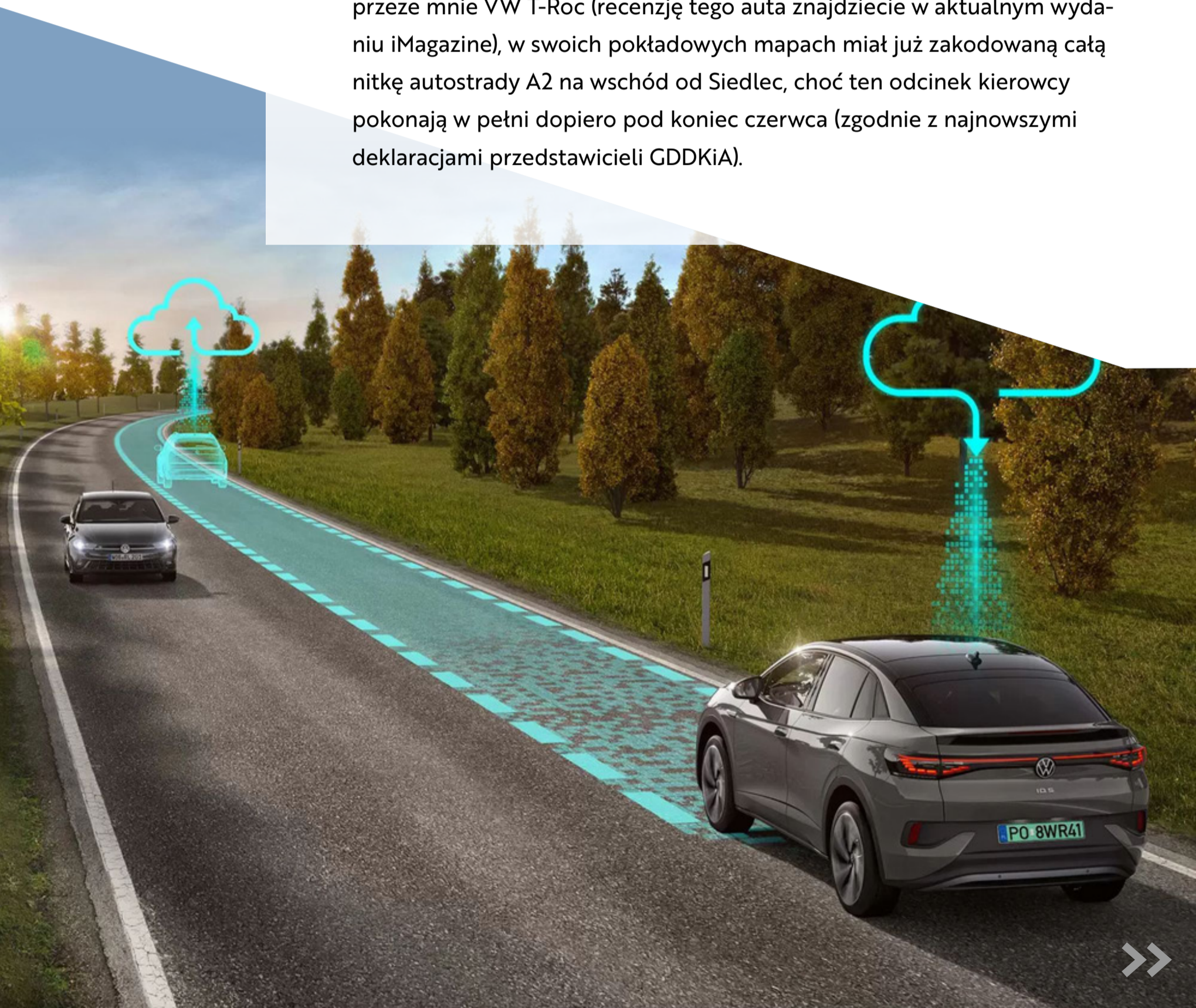
Fizyka i mapy, czyli gdzie kończy się autonomia

Warto jednak zachować zdrowy rozsądek i pamiętać o ograniczeniach, bo nawet najdoskonalszy system czasem musi ustąpić fizyce. Przedni radar zalepiony gęstą warstwą rozbitych owadów po kilkuset kilometrach letniej trasy (lub warstwą śnieżnego błota w zimie) może po prostu stracić „wzrok” i zakomunikować chwilową niedostępność funkcji asystujących. Podobnie



sytuacja wygląda z predykcją prędkości – jeśli jedziesz nowo oddaną do użytku trasą, której nie ma jeszcze w danych nawigacyjnych, system może nieprawidłowo odczytać topografię drogi i lokalne ograniczenia.

To nie tyle wada, co specyfika obecnych rozwiązań. Na szczęście tu z pomocą przychodzi bezprzewodowa łączność. Współczesne modele Volkswagena z najnowszym Travel Assist na pokładzie są aktualizowane zdalnie (OTA – Over-the-Air). Oznacza to, że pozycje nowych dróg czy ewentualne poprawki oprogramowania trafiają do auta na bieżąco, a system doskonali się długo po tym, jak wyjedziesz swoim egzemplarzem z salonu. Mało tego, zaobserwowałem, że Volkswagen podchodzi do kwestii aktualizacji map z pewnym wyprzedzeniem. Na przykład testowany przeze mnie VW T-Roc (recenzję tego auta znajdziecie w aktualnym wydaniu iMagazine), w swoich pokładowych mapach miał już zakodowaną całą nitkę autostrady A2 na wschód od Siedlec, choć ten odcinek kierowcy pokonają w pełni dopiero pod koniec czerwca (zgodnie z najnowszymi deklaracjami przedstawicieli GDDKiA).





Bezpieczeństwo zakodowane w tle

Volkswagen nie zapomina o fundamentalnej zasadzie: to kierowca wciąż ponosi pełną odpowiedzialność za jazdę. Półautonomiczność bezwzględnie wymaga naszej obecności, koncentracji i uwagi. Jednak ta koncentracja i uwaga w połączeniu z asystą oznacza dużo mniejszy wysiłek poznawczy, niż w przypadku wielusetkilometrowej trasy pokonanej autem w ogóle pozbawionym asysty. Jest jeszcze jeden istotny detal, o którym często się zapomina, a zdecydowanie jest on wart zapamiętania: mam na myśli udogodnienie w postaci kierownicy pojemnościowej. W starszych autach (zresztą nie tylko, bo i wiele współczesnych pojazdów tego wymaga) trzeba było co jakiś czas wywołać mikroruch wieńcem kierownicy, by dowieść swojej czujności. Na długich, prostych odcinkach bywało to irytujące. W najnowszym Travel Assist wystarczy lekki dotyk – sensory same wyczuwają, że Twoje dłonie spoczywają na kierownicy. I to muszą być dłonie kierowcy, żadne triki z owocami czy innymi przedmiotami mającymi symulować dotyk dłoni kierowcy nie zadziałają.

Gdyby jednak doszło do zastąpienia kierowcy lub innej sytuacji krytycznej, do gry wchodzi Emergency Assist, któremu to rozwiązaniu poświęciłem w całości odrębny materiał (zachęcam do przeczytania w [iMagazine 01/2026](#)). Zignorowanie alertów dźwiękowych i wizualnych spowoduje, że



Ostrzeżenie o nagłym korku za niewidocznym zakrętem pojawia się na wyświetlaczu w ułamku sekundy, dając kierowcy więcej czasu na reakcję.

system przejmie kontrolę, bezpiecznie wyhamuje auto do zera na dotychczasowym pasie, włączy światła awaryjne i zainicjuje wezwanie pomocy. Ponadto dzięki systemowi Car2X samochód zbiera sygnały z innych aut i infrastruktury w promieniu 800 metrów. Ostrzeżenie o nagłym korku za niewidocznym zakrętem pojawia się na wyświetlaczu w ułamku sekundy, dając kierowcy więcej czasu na reakcję. Jeżeli zbliżasz się do wzniesienia z dużą prędkością a Travel Assist zaczyna delikatnie hamować... zaufaj systemowi. Najprawdopodobniej dojeżdżasz do korka, którego nie miałeś szans dostrzec.

Praktyczne porady. Jak optymalnie korzystać z Travel Assist w trasie?

Aby w pełni wyciągnąć z systemu maksimum wygody podczas długich wyjazdów, warto zastosować się do kilku sprawdzonych zasad:

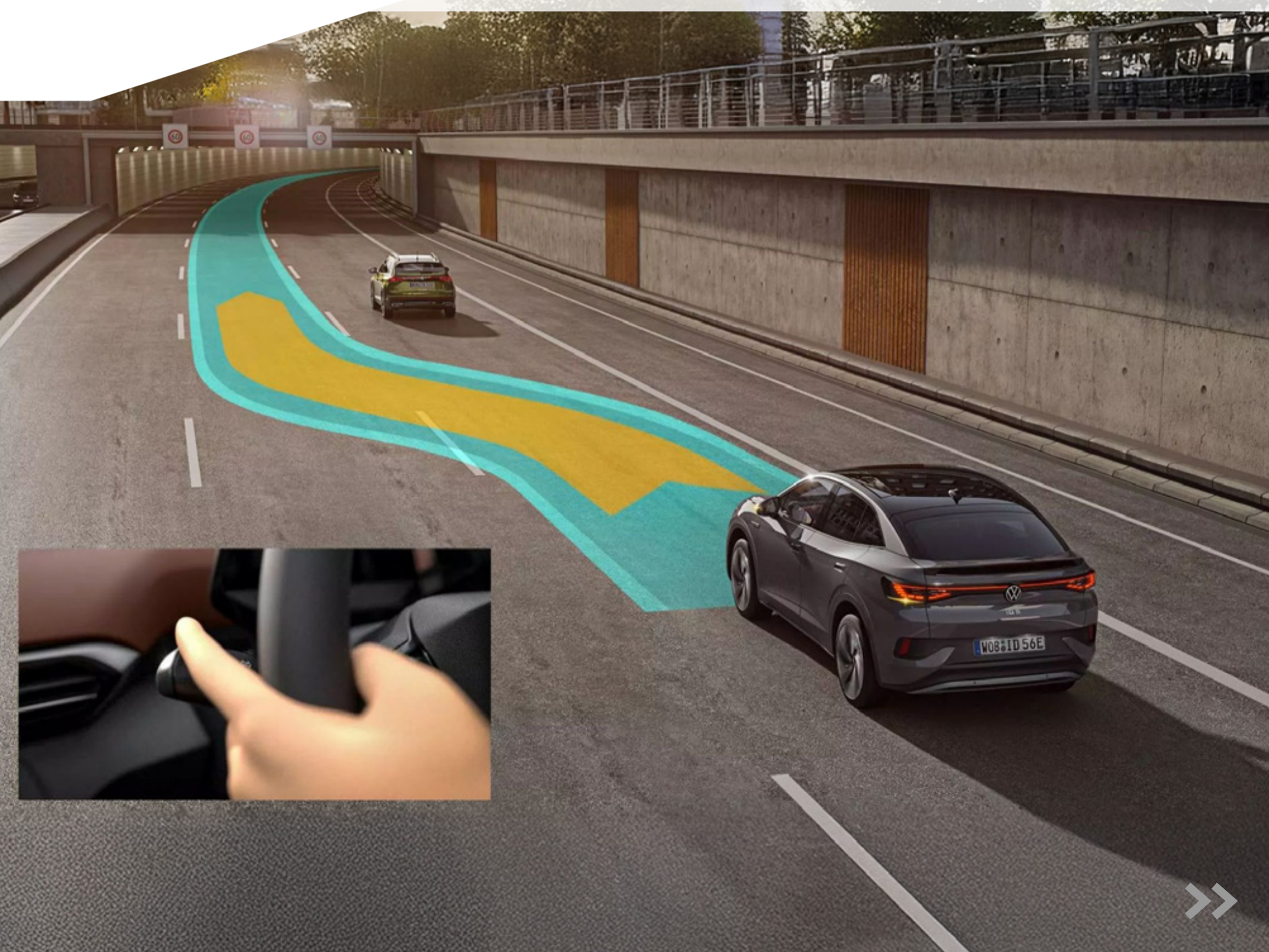
- **Zaufaj predykcji, ale zachowaj czujność.** Pozwól, by to system zwalniał przed wjazdem w teren zabudowany czy ostrymi łukami. Szybko zauważysz, jak bardzo odciąża to Twoją prawą nogę. Pamiętaj jednak, że elektronika to tylko wsparcie – zawsze patrz daleko przed siebie.
- **Wykorzystaj kierownicę pojemnościową prawidłowo.** Nie siłuj się z układem kierowniczym. Wystarczy, że Twoja dłoń swobodnie i pewnie spoczywa na wieńcu. Lekki dotyk to wszystko, czego system potrzebuje, a samochód będzie bardzo pewnie trzymał się pasa ruchu bez tzw. wężykowania.
- **Oddaj kontrolę w korkach.** Asystent jazdy w korku to absolutne wybawienie podczas powrotów z majówki. Pozwól autu samodzielnie hamować i ruszać za poprzedzającym pojazdem. Godziny spędzone w zatorze stają się wtedy znacznie mniej frustrujące.
- **Dbaj o sensory.** Podczas przerwy na kawę w długiej trasie warto przetrzeć znacznik na grillu (kryjący radar) oraz szybę w okolicach przedniej kamery. Czyste czujniki to podstawa płynnego działania systemu.
- **Planuj manewry z wyprzedzeniem.** Korzystając z asystenta zmiany pasa, upewnij się, że jedziesz powyżej 90 km/h, i wrzuć kierunkowskaz odpowiednio wcześniej. Im stabilniejsze warunki, tym manewr zostanie wykonany płynniej.



Podsumowanie

W czasach, gdy oczekujemy od technologii, by ułatwiała nam życie, IQ.Drive Travel Assist od Volkswagena okazuje się bardzo kompetentnym asystentem. To nie jest gadżet, który po jednym użyciu wyłączymy i o nim zapomnimy. To realne odciążenie naszego układu nerwowego na długich dystansach. Po kilkuset kilometrach pokonanych z jego wsparciem wysiadasz z auta zauważalnie mniej zmęczony, zachowując więcej sił na to, co najważniejsze – sam wypoczynek. Choć system wymaga odpowiednich warunków i czystych sensorów, to na autostradach i drogach szybkiego ruchu pozostaje jednym z najbardziej sensownych rozwiązań wspierających współczesnego kierowcę.

Materiał powstał przy współpracy z marką Volkswagen.





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Nowy Volkswagen T-Roc R-Line Kompakt w przebraniu mieszczucha

Zastąpienie globalnego bestsellera to dla producenta samochodów zawsze stąpanie po kruchym lodzie. Pierwsza generacja T-Roca rozchodziła się jak świeże bułeczki, zdobywając serca ponad dwóch milionów nabywców. Teraz na redakcyjny parking wjeżdża jego następca.





Konkretnie na nasz redakcyjny parking trafiła bogato wyposażona wersja T-Roc R-Line z silnikiem 1.5 eTSI o mocy 150 KM. I już po pierwszych kilometrach wiem jedno: Volkswagen odrobił zadanie domowe, choć z pewnymi... tradycyjnymi dla siebie oporami.

Formalnie segment B-SUV, w praktyce gra rozmiarem o klasę wyżej

Koncern z Wolfsburga z uporem godnym lepszej sprawy wciąż pozycjonuje T-Roca jako miejskiego crossovera. Nie wiercie w to. Kiedy podchodzisz do tego auta, widzisz pełnoprawnego, kompaktowego SUV-a.

To czuć w środku. Przestrzeń w kabinie jest więcej niż wystarczająca dla rodziny w modelu 2+1, a bagażnik to prawdziwe zaskoczenie. Papierowe 475 litrów pojemności w praktyce oznacza przepastną „piwnicę”, która po wyjęciu rolety potrafi połączyć dwie wielkie, lotnicze walizki nadawane do luku.

Testowany egzemplarz prezentuje się na drodze bardzo dobrze. Lakier specjalny Biały „Pure” z czarnym dachem oraz opcjonalny pakiet stylistyczny Black Style robią tu świetną robotę. Całości dopełniają potężne, 19-calowe obręcze „York Aero” wykończone w czerni. To auto po prostu ma proporcje.



Jeśli pamiętacie twarde, plastikowe boczki z poprzedniej generacji, możecie o nich zapomnieć. Nowy T-Roc wita nas jakością, na jaką zasługuje ten przedział cenowy. Wnętrze w kolorystyce Czarny Soul wygląda dojrzałe. Mamy tu tkaninę na desce rozdzielczej, oświetlenie Ambient Plus z 30 kolorami do wyboru i świetne, sportowe fotele przednie, które pewnie trzymają ciało w zakrętach. I tu pojawia się zgrzyt: dysponujemy topową wersją R-Line, a jednak fotele te regulowane są... manualnie. Elektryka jest oczywiście w ofercie, ale wymaga kolejnej dopłaty. W aucie z tego pułapu cenowego to lekki nietakt.

Ergonomia? To w końcu Volkswagen, więc dostajemy górną półkę użyteczności. Detale, takie jak przesuwany, regulowany wzdłużnie i na wysokość podłokietnik kierowcy, robią ogromną różnicę w codziennym użytkowaniu. Wielkie brawa należą się inżynierom za to, że na sportowej kierownicy znajdziemy klasyczne, fizyczne przyciski. Żadnego przypadkowego miziania gładzików w zakrętach – klikasz i wiesz, co kliknąłeś. Na tunelu środkowym zagościło też pokrętło Driving Experience Control, które ułatwia szybką zmianę profilu jazdy.





Gdzie jest zatem haczyk? Z uporem maniaka marka wciąż trzyma się dotykowych paneli i suwaków do regulacji głośności i klimatyzacji, umieszczonych pod 12,9-calowym ekranem centralnym. Wiemy już, że w kolejnych generacjach nowych modeli to się zmieni, ale tutaj wciąż musimy się do tego przyzwyczajać.

Miękka hybryda, twarde argumenty

Pod maską naszej testówki pracuje 4-cylindrowy silnik benzynowy o pojemności 1.5 litra. Jednostka eTSI generuje 150 KM i 250 Nm momentu obrotowego (dostępnego już od 1500 obr./min), współpracując z 7-stopniowym automatem DSG.

Jak to jeździ w praktyce? Przede wszystkim – niezwykle poprawnie i przewidywalnie. Skrzynia w standardowym trybie jazdy działa gładko, płynnie dobierając



i redukując przełożenia. Sytuacja nabiera nieco pikanterii po przejściu w tryb Sport. DSG chętniej zbija biegi i pozwala silnikowi wkręcić się wyżej, jednak nie oszukujmy się – to nie gwarantuje wciskania w fotel. Nie przy tej mocy. Przy mocnym kickdownie auto robi się po prostu zauważalnie głośniejsze, choć trzeba oddać sprawiedliwość: to i tak o niebo lepsze doświadczenie akustyczne niż jednostajne wycie bezstopniowych skrzyń CVT, z którymi spotkamy się u japońskiej konkurencji. Układ kierowniczy, wsparty progresywnym wspomaganiami, jest precyzyjny, ale to nie jest maszyna do połykania torowych szykan. T-Roc jest autem rodzinnym i nie lubi jazdy na absolutnym limicie – jeśli w zakręcie przesadzicie z prędkością, szybko obudzi się bezpieczna, ale wyraźna podsterowność. Samo zawieszenie zestrojono na wskroś „po niemiecku”. Jest sprężyste i pewne, ale jeśli spodziewacie się kanapowego komfortu, to trafiliście pod zły adres. Nawet na sportowych oponach (225/45 R19) auto radzi sobie z wybojami, ale poprzeczne nierówności są w kabinie odczuwalne dość dosadnie.





Dynamika na co dzień nie daje powodów do narzekań – sprint do „setki” to 8,9 sekundy. Prawdziwą zaletą jest jednak oszczędność układu mild hybrid. Producent deklaruje zużycie w cyklu mieszanym na poziomie 5,8 l/100 km i nie jest to mrzonka. W mieście bez wysiłku da się osiągnąć „piątkę” z przodu (mój wynik to 5,4 l/100 km), a przy jednostajnej jeździe po drogach szybkiego ruchu spalanie rzadko przekracza 7 litrów.

Cena, która każe patrzeć wyżej

Wszystko to brzmi świetnie, ale dojrzałość ma tutaj swoją słoną cenę. Bazowa kwota za testowaną specyfikację R-Line 1.5 eTSI to 165 990 zł. Niestety, na tym nie koniec. Na pokładzie znalazło się mnóstwo opcji, opiewających na łączną kwotę 19 250 zł. Złożyły się na nią m.in. pakiet Technology za 4 480 zł, rozbudowana nawigacja za 3 780 zł, wspomniany dwukolorowy





lakier czy elektryczna kłapa bagażnika za 1 600 zł. Całość winduje rachunek do zawrotnych 185 240 zł. I to jest moment, w którym należy powiedzieć „stop”. To poziom, na którym klient zaczyna z dużym zainteresowaniem patrzeć na auta z półki wyżej – i to nierzadko w stronę wyższych segmentów, nie wspominając już o agresywnej cenowo, chińskiej konkurencji. Mimo wszystko, T-Roc broni się doskonałą ergonomią, świetnymi asystentami (wzorowy Travel Assist, o którym piszę w tym wydaniu) i jakością, udowadniając, że dawno już przestał być tylko „budżetowym crossoverem”.

Volkswagen T-Roc R-Line 1.5 eTSI



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 5/6

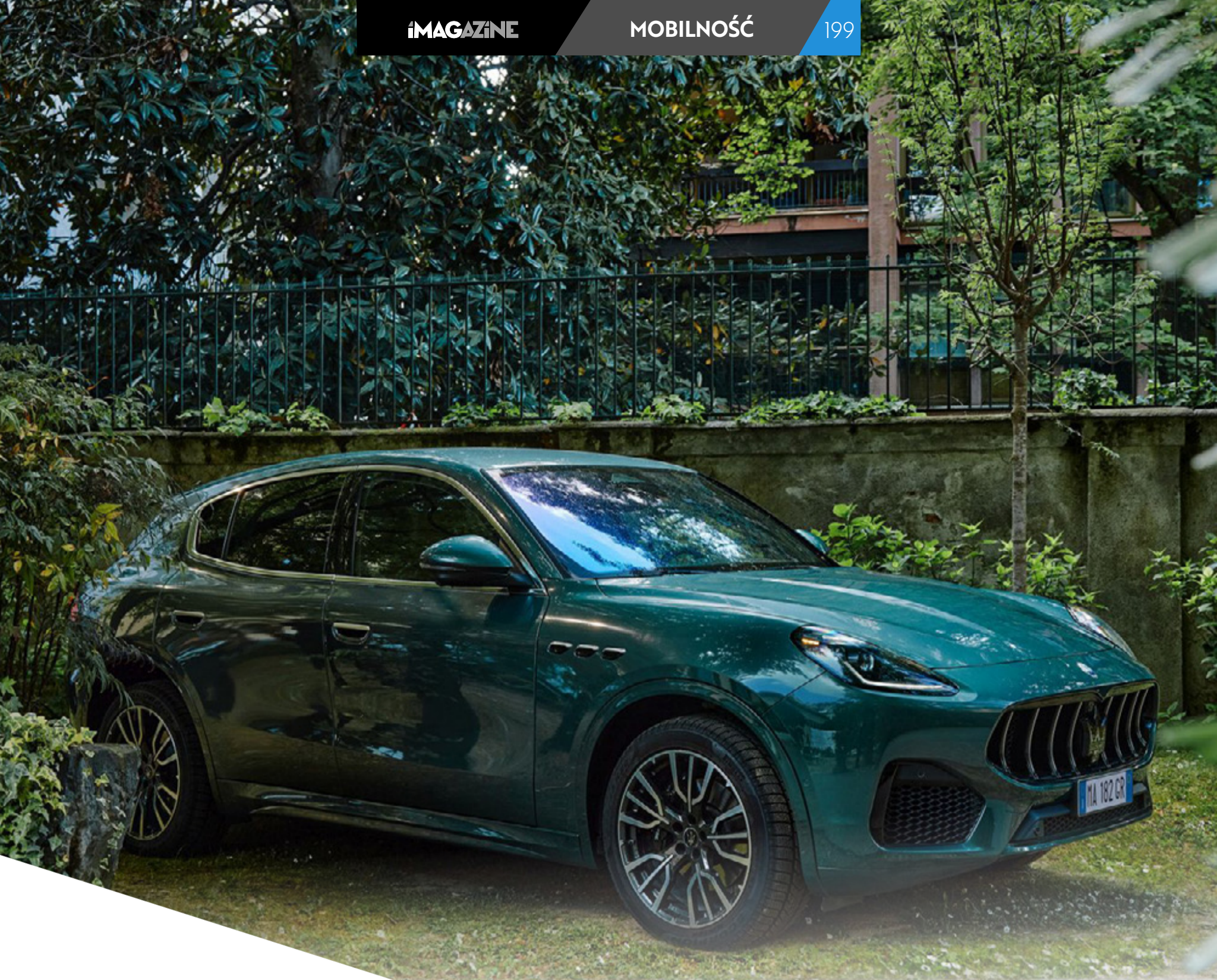
+ Plusy:

- Znakomite zużycie paliwa, szczególnie w cyklu miejskim
- Fizyczne, bardzo czytelne przyciski na sportowej kierownicy
- Wzorowo działające systemy asystujące (Travel Assist, ACC)
- Przepastny bagażnik przewyższający standardy segmentu B
- Świetne matrycowe reflektory IQ, Light

- Minusy:

- Cena dobrze wyposażonej wersji jest bardzo trudna do przetknięcia
- Irytujące, dotykowe suwaki klimatyzacji pod ekranem
- Brak elektrycznej regulacji foteli w standardzie bogatej wersji R-Line
- Wyraźna podsterowność przy próbie szybkiej jazdy w zakrętach





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Piękno, którego można dotknąć Jak Maserati przenosi duszę włoskiej motoryzacji do naszych salonów

Kwiecień w Mediolanie ma swój elektryzujący rytm. Targi Salone del Mobile to globalne święto designu, terytorium tradycyjnie zarezerwowane dla twórców sztuki użytkowej, oświetlenia i awangardowych mebli. W tym roku jednak jedną z najciekawszych przestrzeni na mapie wydarzenia stworzyła marka motoryzacyjna. Maserati, świętujące stulecie obecności kultowego Trójzębu na maskach swoich aut, udowadnia, że luksus wcale nie musi kończyć się w momencie trzaśnięcia drzwiami garażu.





Nietrudno popaść w egzaltację, pisząc o włoskim wzornictwie, spróbujmy jednak rozłożyć ten fenomen na czynniki pierwsze. Przyjrzyjmy się, jak marka z Modeny łączy klasyczne rzemiosło z nowoczesną technologią – od karoserii, przez architekturę wnętrz aut, aż po salon w naszym mieszkaniu.

Nadwozie, czyli rzeźba oparta na długowieczności

W świecie, w którym producenci samochodów co sezon ścigają się na coraz bardziej agresywne linie nadwozia, projektanci Maserati wyznają zasadę „Visual Longevity” (wizualnej długowieczności). Tu nie chodzi o to, by auto krzychało na ulicy swoją nowoczesnością. Ono ma wyglądać dobrze i proporcjonalnie za dziesięć, dwadzieścia i pięćdziesiąt lat. I przyznacie, że najnowsze Maserati GranTurismo (recenzja w tym samym wydaniu iMagazine), jak i kultowe Maserati 3500 GT sprzed półwiecza to po prostu piękne auta. Mody mogą się zmieniać, ale kanony piękna i proporcji pozostają.

Widać to w charakterystycznej sylwetce – długa maska i mocno cofnięta kabina to bezpośrednie dziedzictwo klasycznych modeli klasy GT. Do tego dochodzą detale będące niezmiennym podpisem marki: nisko osadzony grill, trzy wloty powietrza na przednich błotnikach i logotyp na trapezoidalnym słupku C. Nawet w dobie elektryfikacji (modele z linii Folgore),



gdzie klasyczna chłodnica traci rację bytu z punktu widzenia inżynierii, tak zaprojektowano przednie wstawki na anodowanej bazie, by zachować wyrazistą „twarz” auta. To powściągliwe, ale bardzo skuteczne zarządzanie własnym DNA.

Technologia w służbie rzemiosła

To, co dla nas, pasjonatów technologii, jest najciekawsze, dzieje się jednak w środku. Obecnie wielu producentów aut premium wpada w pułapkę „ekranozy” – wnętrza przypominają sklepy z elektroniką, gdzie do deski rozdzielczej po prostu dokleja się potężne tablety. Maserati poszło zupełnie inną drogą, a ich filozofia nosi nazwę „Technology as a Servant”. Technologia ma być obecna i wspierać kierowcę, ale nie może dominować nad rzemiosłem. Ekran są estetycznie wkomponowane w strukturę kokpitu.

Materiały to osobny rozdział. Oprócz klasycznej współpracy z Ermene-gildo Zegna i stosowania skór Poltrona Frau, marka sprawnie odnajduje się w nowoczesnych realiach. W elektrycznych modelach znajdziemy ECO-NYL® – zregenerowany nylon pozyskiwany m.in. z sieci rybackich. Włosi jako





jedyni laserują ten materiał, nadając mu parametryczną strukturę 3D. Oznacza to, że zamiast tradycyjnie utkać materiał, obszyć go nićmi czy wytłoczyć na nim wzór za pomocą mechanicznej prasy, Maserati używa precyzyjnych wiązek lasera. Laser fizycznie wypala, nacina i graweruje powierzchnię tego zrecyklingowanego nylonu. W efekcie w dotyku przypomina on luksusową, techniczną tkaninę sportową, a nie tani plastik z recyklingu. Z kolei zastosowanie włókna węglowego przeplatanej miedzianą nicią (Carbon Copper 3D) wymiennie ociepla surowy, technologiczny wygląd kokpitu.

Użytkowym smaczkiem jest też cyfrowy zegar. Klasyczny, analogowy czasomierz na szczycie deski zastąpiono w nowych modelach cyfrowym zegarem inspirowanym formą luksusowego smartwatcha. Domyślnie udaje on tradycyjną tarczę, ale pozwala zmieniać motywy, wyświetlać kompas czy miernik przeciążeń. Minimalistycznie, ale z technologicznym uzasadnieniem.

Apple Vision Pro i projektowanie na miarę

Jeśli mówimy o personalizacji, nie sposób pominąć wdrożeń, które ułatwiają ten proces. Maserati zdecydowało się zintegrować ze swoim

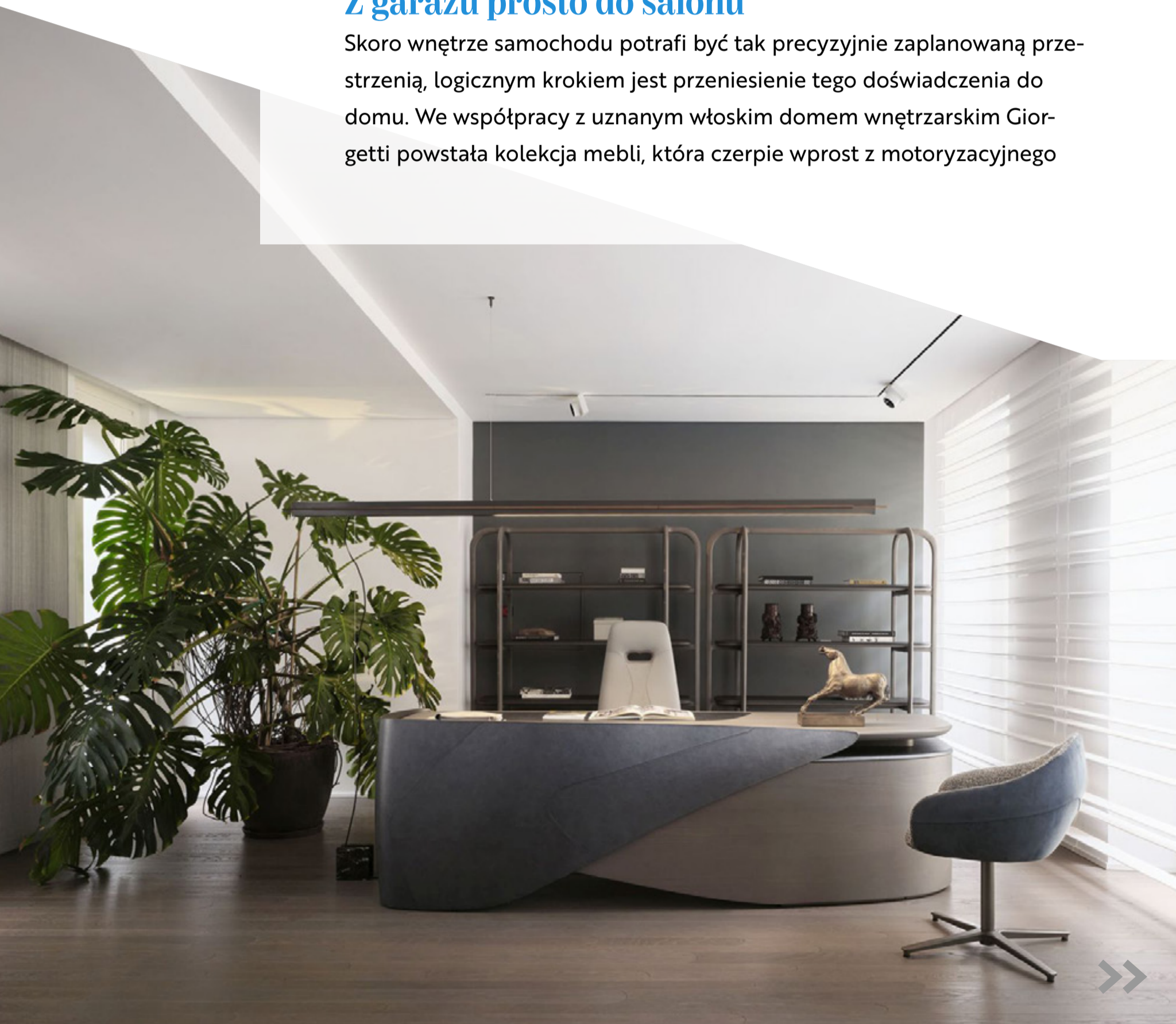


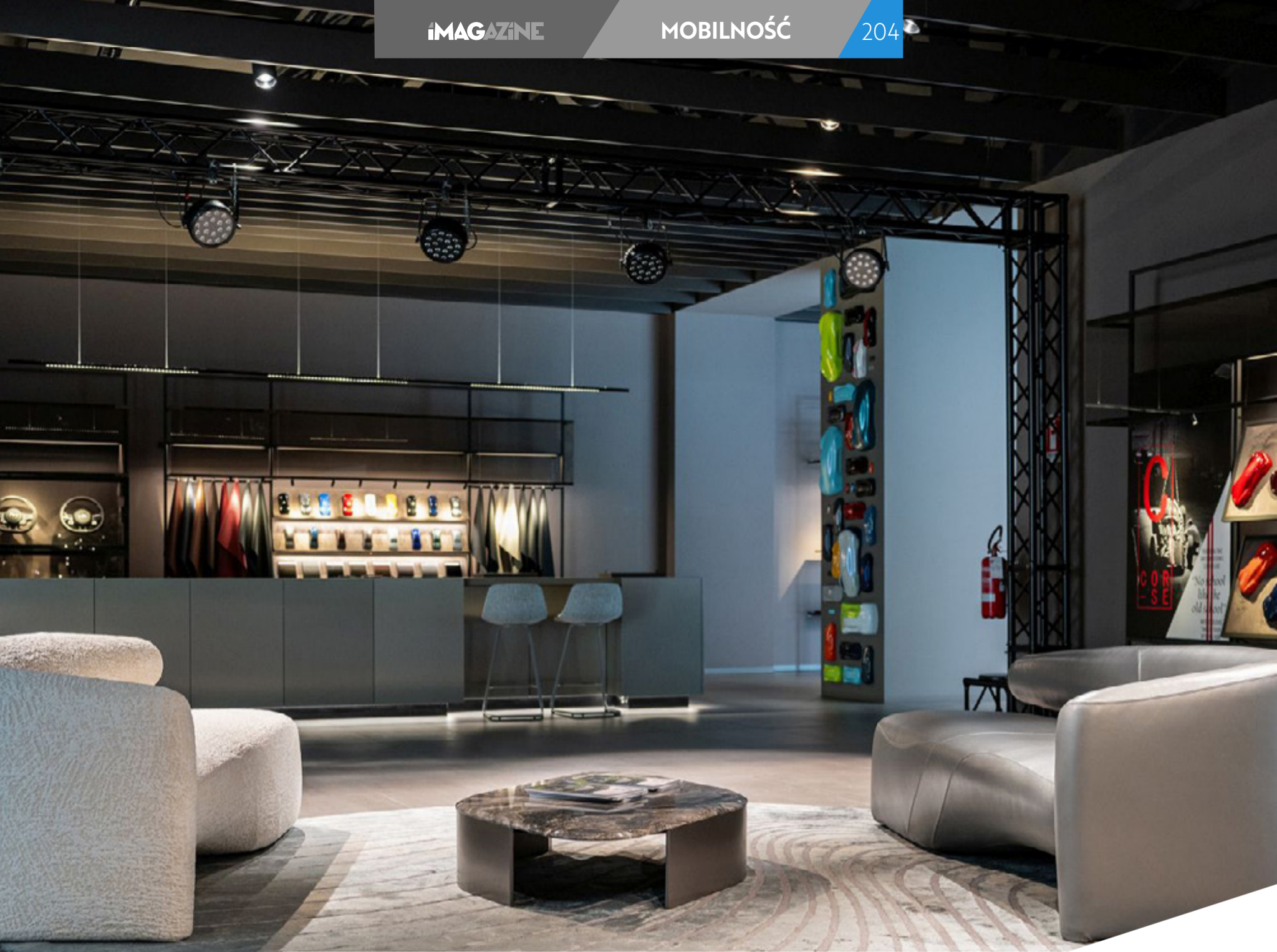
programem Fuoriserie systemu przestrzennej wizualizacji z wykorzystaniem gogli Apple Vision Pro.

Zamiast przeklikiwać się przez płaski konfigurator na ekranie monitora, klient zakłada gogle i widzi swoje przyszłe auto w pełnym, przestrzennym 3D. Może nakładać wirtualne, wielowarstwowe lakiery, ocenić ułożenie włókna węglowego i zagłębiać w najdrobniejszy detal, zanim samochód w ogóle trafi na taśmę montażową. To twardy dowód na to, że sektor marek luksusowych jako pierwszy potrafi znaleźć bardzo konkretne, biznesowe zastosowanie dla flagowego sprzętu z Cupertino.

Z garażu prosto do salonu

Skoro wnętrze samochodu potrafi być tak precyzyjnie zaplanowaną przestrzenią, logicznym krokiem jest przeniesienie tego doświadczenia do domu. We współpracy z uznanym włoskim domem wnętrzarskim Giorgetti powstała kolekcja mebli, która czerpie wprost z motoryzacyjnego





rzemioła. Wystarczy spojrzeć na fotel Lorelei czy sofę Seidon, których formy i zastosowane materiały płynnie nawiązują do detali znanych z Gran Turismo. Całość dopełniają stoliki kawowe Ligea inspirowane układami dolotowymi aut oraz wyjątkowa warstwa akustyczna: limitowana edycja kolumn podłogowych Sonus faber Amati Folgore.

Kupowanie jak wizyta w galerii

Wizualna ewolucja marki dotknęła wreszcie samej przestrzeni sprzedażowej. Nowy koncept salonów Maserati (nazwany trafnie „Sartoria”, czyli Krawiectwo) zrywa z estetyką jasnych, sterylnych płytek. Zamiast tego wchodzimy do przyciemnionego wnętrza o ziemistej paletce barw.auta są oświetlane punktowo, niczym rzeźby w galerii sztuki.

Zniknęły klasyczne biurka sprzedawców – sercem salonu jest teraz duża wyspa barowa, przy której rozmawia się o detalach wykończenia, siedząc



na meblach od Cassina Custom Interiors. Części samochodowe, takie jak unikalne felgi czy kierownice, eksponowane są w szklanych gablotach – dokładnie tak, jak u jubilera prezentuje się biżuterię.

Maserati swoimi najnowszymi projektami przypomina o jednej istotnej zasadzie w świecie designu: dojrzały luksus nie polega na epatowaniu użytkownika dziesiątkami funkcji czy agresywnymi kształtami. Polega na stworzeniu spójnego doświadczenia, w którym technologia pozostaje dyskretnym sługą, a najwyższej jakości rzemiosło wciąż gra pierwsze skrzypce. Niezależnie od tego, czy mówimy o laserowo ciętym materiale w kokpicie sportowego auta, wirtualnym konfiguratorze w goglach Apple, czy o designerskiej sofie stojącej w salonie – to dokładnie to samo wyrefinowane, pewne siebie podejście do sztuki użytkowej.

Materiał powstał przy współpracy z marką Maserati





DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Maserati GranTurismo Modena Włoska sztuka podróżowania

Od razu na wstępie, ucinając wszelkie spekulacje, oznajmiam. Zakochałem się. Niniejszy materiał jest nacechowany emocjonalnie, ale też chcę wam wyjaśnić, co we mnie te emocje wywołało. Samochód. Ale nie byle jaki, lecz absolutnie doskonały gran tourer: Maserati GranTurismo Modena. Wspaniałe auto. Jednak jeszcze ważniejsze jest, jak ten wóz rekalkuluje percepcję kierowcy. Kochasz prowadzić? Pokochasz ten wóz.





Od razu na wstępie, ucinając wszelkie spekulacje, oznajmiam. Zakochałem się. Niniejszy materiał jest nacechowany emocjonalnie, ale też chcę wam wyjaśnić, co we mnie te emocje wywołało. Samochód. Ale nie byle jaki, lecz absolutnie doskonały gran tourer: Maserati GranTurismo Modena. Wspaniałe auto. Jednak jeszcze ważniejsze jest, jak ten wóz rekalkuluje percepcję kierowcy. Kochasz prowadzić? Pokochasz ten wóz.

Niska, opływowa, fenomenalnie proporcjonalna sylwetka włoskiego gran turismo, z charakterystyczną, długą maską i ponad stuletnim symbolem władcy mórz – Neptuna z Bolonii – na masce, wielu osobom kojarzy się ze sportowym supercarem. Ale to tylko fasada. Dusza tego auta kupiła mnie od pierwszych kilometrów. Spodziewałem się fajnego auta. Maserati GranTurismo pokazało mi, że słowo „fajne” nie pasuje do maszyny, która daje ci endorfiny w ilościach, o które nie podejrzewałeś własnego umysłu...

I tak, doskonale zapewne zdajecie sobie sprawę, że są na rynku samochody, które kupuje się wyłącznie dla osiągnięć, oraz takie, które wybiera się dla czystego prestiżu. Maserati GranTurismo to maszyna, która od zawsze stanowiła pomost między światem brutalnego, sportowego wyrafinowania a elegancją klasycznego Grand Tourera. Na redakcyjny parking trafiło nowe GranTurismo w wersji Modena na rok modelowy 2026. Testowy egzemplarz,



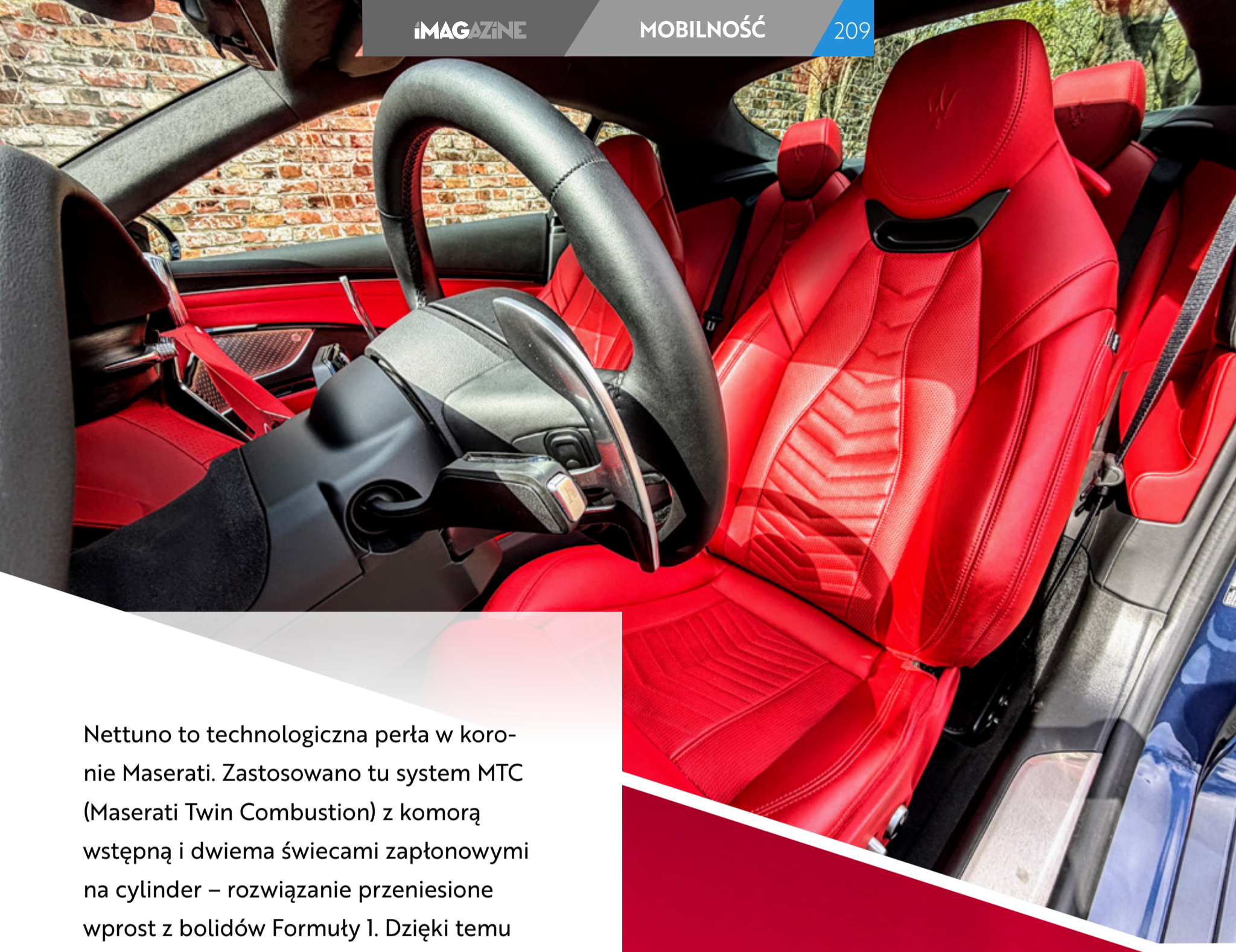


pokryty obłędym lakierem Blu Modena, zwiastuje nową erę w historii marki z trójzębem w herbie. Erę, w której żegnamy wolnossące V8. Płacz? Nic bardziej błędnego. Inżynierom z Modeny udało się nie lada sztuka. Pozwólcie, że wyjaśnię.

Technologia z Formuły 1 pod długą maską

Największa „kontrowersja” wokół nowego GranTurismo dotyczy oczywiście silnika. Zamiast operowego V8 konstrukcji Ferrari, pod długą, opadającą maską pracuje teraz jednostka Nettuno V6 o pojemności 3,0 litrów z podwójnym turbodoładowaniem. W wersji Modena generuje ona 490 KM i 600 Nm momentu obrotowego. I wiecie co? Wszelka nostalgia za ośmioma cylindrami jest tu mocno przesadzona.





Nettuno to technologiczna perła w koronie Maserati. Zastosowano tu system MTC (Maserati Twin Combustion) z komorą wstępną i dwiema świecami zapłonowymi na cylinder – rozwiązanie przeniesione wprost z bolidów Formuły 1. Dzięki temu spalanie jest błyskawiczne, a silnik kręci się z niesamowitym entuzjazmem aż do 8000 obr./min, oddając moc bardzo liniowo. I rany. Jak to brzmi! Nettuno „gra” fenomenalnie. Owszem, jest to dźwięk bardziej techniczny i mechaniczny niż w dawnych jednostkach, ale na tle wielu innych dzisiejszych sześciocyndrowców to absolutna ekstraklasa. Śmiem wręcz twierdzić, że to Maserati „gra” znacznie lepiej i z większym charakterem niż niejedno współczesne V8 w modelach z Affalterbach, Monachium, czy Zuffenhausen.





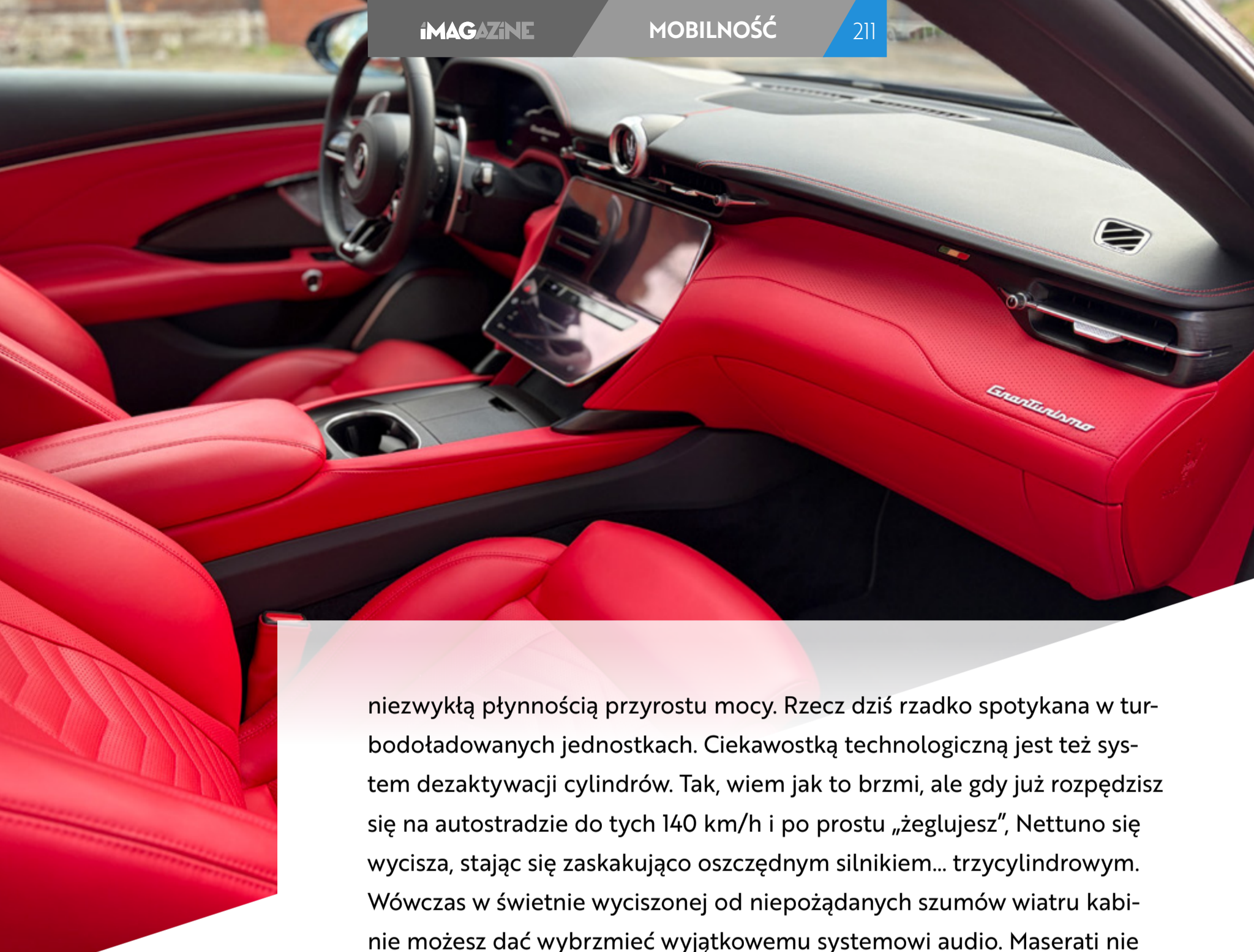
Komfort na co dzień, sport na żądanie

Na drodze GranTurismo Modena udowadnia, że nazwa zobowiązuje. Przyspieszenie do „setki” zajmuje 3,9 sekundy, a prędkość maksymalna dobija do 302 km/h. Jasne, w wewnątrzrodzinnym pojedynku Modena ustępuje potężniejszej wersji Trofeo (3,5 s) czy elektrycznemu potworowi Folgore (2,7 s), ale to auto nie służy do urywania ułamek sekund na torze. Domyślny tryb jazdy aktywowany po wciśnięciu przycisku Start umieszczonego bezpośrednio na kierownicy nosi nazwę „GT”. To obietnica. Dodajmy – spełniona.

Mówiąc wprost, najnowsze GranTurismo z Modeny to wóz stworzony do połykania autostradowych kilometrów. Adaptacyjne zawieszenie w trybie „Comfort”, ale i wspomnianym „GT” wprost genialnie izoluje od nierówności i hałasu otoczenia, pozwalając na w pełni relaksującą podróż. Napęd na wszystkie koła (AWD) dba o trakcję w każdych warunkach, co czyni z tego modelu zaskakująco kompetentny samochód do jazdy na co dzień.

W trybie GT ośmiobiegowy automat działa aksamitnie płynnie. Gdy jednak przełączymy się w tryb sportowy, skrzynia pokazuje pazur. Uczciwie trzeba jednak przyznać, że o ile redukcje są szybkie, o tyle przekładni wciąż minimalnie brakuje do tej ostrej jak brzytwa, niemal telepatycznej reakcji znanej ze skrzyń PDK w Porsche, za to Maserati nadrabia





niezwykłą płynnością przyrostu mocy. Rzecz dziś rzadko spotykana w turbodoładowanych jednostkach. Ciekawostką technologiczną jest też system dezaktywacji cylindrów. Tak, wiem jak to brzmi, ale gdy już rozpędzisz się na autostradzie do tych 140 km/h i po prostu „żeglujesz”, Nettuno się wycisza, stając się zaskakująco oszczędnym silnikiem... trzycylindrowym. Wówczas w świetnie wyciszonej od niepożądanych szumów wiatru kabine możesz dać wybrzmieć wyjątkowemu systemowi audio. Maserati nie szło tu na żadne kompromisy, zachowując jednocześnie włoską duszę. Do Twoich uszu trafia piękne, głębokie brzmienie systemu sygnowanego przez słynną wśród audiofilów manufakturę Sonus Faber. To klasa sama w sobie. Ważne jest też, że ten luksus akustyczny pasuje do tego, co oferuje wnętrze włoskiego gran turismo.

Pięć metrów włoskiego luksusu

Włoski styl i komfort wymagają jednak przestrzeni. Samochód ma niemal 5 metrów długości i waży niespełna 1800 kg. O ile na szybkich łukach i autostradach ta masa i rozstaw osi dają poczucie niebywałej stabilności, o tyle w mieście trzeba uważać. Manewrowanie tak długim i szerokim coupe w ciasnych, podziemnych parkingach bywa wyzwaniem. Miejsce z tyłu? Uczciwie powiem, jest dla niższych. Zresztą, model ten oficjalnie jest pozycjonowany jako auto typu 2+2. W tym momencie umysł próbuje porównać np. z 911, ale to błąd. Coupe z Zuffenhausen jest z tyłu zwyczajnie bardzo ciasne. Maserati jest... przytulne.



Cena? Luksus z Modeny kosztuje. Egzemplarz, który widzicie na zdjęciach wyceniono na 895 000 zł. Oczywiście to tylko liczba. Jak na markę premium przystało Włosi oferują szeroki wachlarz personalizacji i wyszukane warianty wykończenia wnętrza. Czy to dużo? Bezwzględnie to olbrzymia kwota, ale miałem okazję jeździć znacznie droższymi wozami i... wybrałbym Maserati.

Dusza ponad specyfikacją

Ale spróbuję obiektywnie. Czy warto? Jeśli szukasz torowego zabijaki, rynek oferuje ostrzejsze i tańsze maszyny. Jeśli jednak pragniesz samochodu, który rano dowiezie cię w komforcie do biura, a w weekend bez zająknięcia i w wielkim stylu pochłonie trasę z Warszawy na Łazurowe Wybrzeże, serwując przy tym przepiękną, mechaniczną ścieżkę dźwiękową – Maserati GranTurismo Modena ma duszę. Sprawia, że podróż sama w sobie staje się celem. I to jest piękne. To najlepszy samochód jakim kiedykolwiek jeździłem. Nikt mi tego nie odbierze.

Maserati GranTurismo Modena (2026) ★★★★★

- Design: 6/6
- Jakość wykonania: 6/6
- Oprogramowanie: 6/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- Inżynieria rodem z F1 (technologia komory wstępnej MTC)
- Rewelacyjne, mechaniczne brzmienie V6 (zawstydzające niejedno współczesne V8)
- Wybitny komfort resorowania w trybach drogowych
- Zjawiskowa stylistyka nadwozia i perfekcyjne proporcje
- Stabilność i pewność prowadzenia dzięki napędowi AWD

- Minusy:

- Szybkość działania automatu ustępuje nieco przekładniom z Zuffenhausen
- Niemal 5-metrowe nadwozie utrudnia parkowanie w mieście





WOJTEK PIETRUSIEWICZ
@moridln

Nowa technologia w BMW iX3

Nie jest tajemnicą, że nie jestem największym fanem SUV-ów, ale BMW iX3 zdołało mnie do siebie przekonać kilkoma technologicznymi nowościami. W dzisiejszym materiale opowiem Wam o rozwiązaniach, które autentycznie zmieniają zasady gry podczas codziennej jazdy.



iMAGAZINE





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Tesla Model Y – everycar

Udział Tesli w upowszechnieniu aut elektrycznych jest niepodważalny. Choć firma dorobiła się już silnej konkurencji, nadal wyróżnia się na rynku. Nowa wersja modelu Y może okazać się kluczowa dla przyszłości firmy, w końcu każdy musi mieć w ofercie dużego, elektrycznego SUV-a.



Tesla może, ale wcale nie musi podobać się każdemu.auta te cechuje zarówno spora liczba zaawansowanych funkcji, jak i skrajny minimalizm wnętrza, nie zawsze idący w parze z rozsądkiem. Tak było jednak zawsze, a rozwiązania zastosowane w modelu Y zaskoczą przede wszystkim nowych użytkowników. Klamki licujące się z nadwoziem, brak niemal jakichkolwiek przycisków wewnątrz czy wyświetlanie wszystkich danych, łącznie z prędkością, na środkowym ekranie, to rozwiązania spotykane rzadko i nieidące w parze z przyzwyczajeniami kierowców. Faktycznie, kilka pomysłów Tesli mnie do siebie nie przekonuje, niemniej do większości z nich człowiek przyzwyczaja się błyskawicznie i szybko zaczyna ich brakować w innych autach. Do testu otrzymałem wersję z wyposażeniem podstawowym i napędem na tylną oś – w tej konfiguracji model Y ma wciąż duży deklarowany zasięg, utrzymując przy tym satysfakcjonujące osiągi i dobrą cenę. Miałem okazję porównać go do wariantu AWD z wyposażeniem premium, który pod wieloma względami wydaje się zupełnie innym autem. Spodziewam się jednak, że to właśnie testowana przeze mnie konfiguracja zyska największą popularność, wyróżniając się zarówno ceną, jak i oferowanymi funkcjami. Do porównania obu wariantów jeszcze wrócę, niemniej strategia Tesli polegająca na tak dużym różnicowaniu teoretycznie tego samego modelu ma duży sens.





Odbierając auto do testów, zawsze spędzam chwilę na postoju, konfigurując je. Nigdy jednak proces ten nie był tak szybki i prosty jak w przypadku Tesli. Klucz dostałem w aplikacji, więc do otwierania auta wystarczył mi telefon (aczkolwiek można też korzystać z fizycznej karty). System samochodu zaprojektowany jest wzorowo: menu jest przejrzyste, a dostęp do wszystkich opcji błyskawiczny. Intuicyjność oprogramowania zdecydowanie wyróżnia to auto, bo choć nie mamy tu ani CarPlay, ani Android Auto, to brak tych rozwiązań odczułem zaledwie dwukrotnie, gdy zabrakło mi Overcast i Storytel. Ekran podzielony jest domyślnie na dwie sekcje, po lewej widzimy prędkość, tryb jazdy, informację o włączonych światłach oraz otoczenie samochodu, po prawej standardowo wyświetla się mapa. Proporcje wyświetlania można zmieniać, a z czytelnego menu aplikacji możemy szybko przejść do wiadomości, danych jazdy, odtwarzania muzyki czy wideo. Wygląd aplikacji audio jest ujednoczony, co znacząco ułatwia ich obsługę. W przypadku odtwarzania wideo dostępne jest ono tylko na postoju, a standardowo mamy dostęp do YouTube'a, Twitcha i Netflixa. Da się też dodać inne źródła, ale wymaga to skorzystania z wbudowanej przeglądarki – to akurat mało intuicyjne, spodziewałem się, że opcjonalne apki trafią do dedykowanego sklepu. Tesla oferuje również sporo funkcji rozrywkowych, od robienia sobie selfie, włączenia tematycznego motywu jazdy z odpowiednią playlistą (gdy testowałem model Y, dostępny był jeden



z „Tron: Ares”). Są też gry, zarówno takie, które korzystają z kierownicy auta, jak i wymagające sparowania kontrolera. Wszystko działa tu naprawdę dobrze i płynnie, i choć wybór tytułów jest ograniczony, to jestem pod wrażeniem tego, jak dopracowano ten obszar.

System samochodu wyświetlany jest na 15-calowym ekranie. Jego wielkość jest w pełni uzasadniona, przestrzeń zagospodarowano rozsądnie i nie ani razu nie czułem, że jest on za duży czy niewygodny w obsłudze. Wygodnym nie nazwałbym natomiast przeniesienia aż tylu funkcji na wyświetlacz. O ile sterowanie klimatyzacją czy fotelami z poziomu ekranu nie przeszkadza, to już brak fizycznego przełącznika świateł, wycieraczek czy otwierania schowka uważam za zwyczajnie głupie i niepraktyczne, te rzeczy powinny być dostępne natychmiast i nie wymagać sięgania do ekranu, by znaleźć funkcję, której potrzebujemy. Kierownica ma dwie wciskane i wychylane na boki rolki oraz tylko jedną dźwignię do kierunkowskazów. Rolki służą do sterowania odtwarzaniem oraz autonomią jazdy – uprzedzam jednak, że, z uwagi na wymogi prawne, w Polsce nie uświadczymy w pełni autonomicznej jazdy. Dostajemy za to adaptacyjny tempomat, utrzymywania auta w pasie ruchu, automatyczne parkowanie oraz przywołanie auta na niewielką odległość. Prawdopodobnie ze względu na



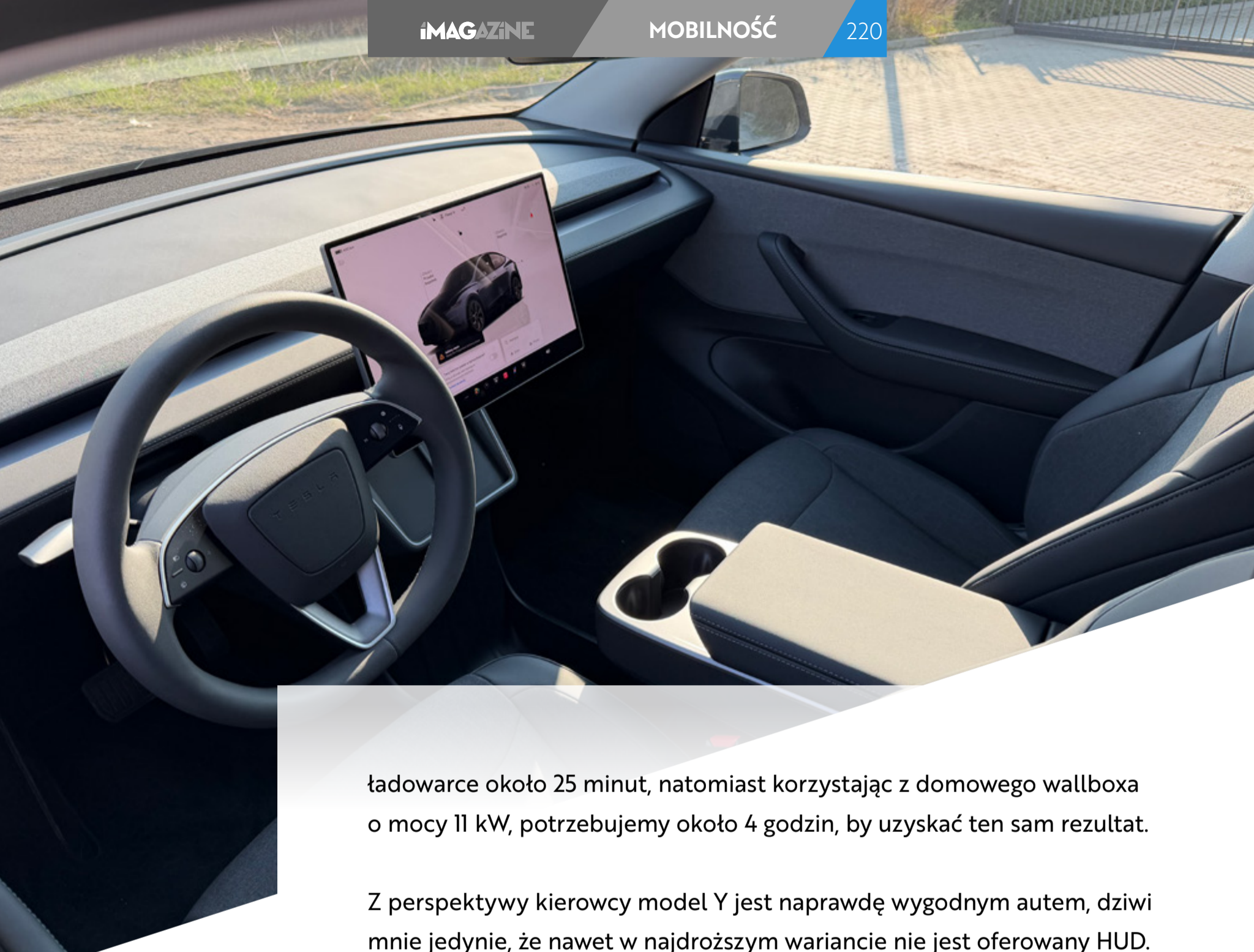


oszczędności, Tesla nie ma radaru i odległość ocenia wyłącznie na podstawie obrazu z kamer. Uważam to za duże niedopatrzenie, adaptacyjny tempomat działa bowiem różnie i gdybym ufał mu bezgranicznie, wjechałbym w auto przede mną, jadąc drogą ekspresową. Zastanawia mnie, jak ten sam model tak dobrze radzi sobie w USA, jeżdżąc autonomicznie – spodziewam się, że jego oprogramowanie jest bardziej zaawansowane względem wersji europejskiej, niemniej, to tylko domysły. Faktem jest, że pewniej czuję się w swoim 10-letnim aucie ze standardowym tempomatem adaptacyjnym niż w teoretycznie dużo bardziej zaawansowanym pojeździe. Kamery nie radzą sobie też podczas automatycznego parkowania. W garażu podziemnym musiałem awaryjnie hamować, gdy auto próbowało wjechać w słup znajdujący się przy miejscu postojowym. Ponownie, jeździłem zdecydowanie prostszymi samochodami, które poprawnie wykonują ten manewr samodzielnie. Na parkingach oferujących więcej miejsca automatyczne parkowanie jest bezbłędne: dotykamy wybranego miejsca na ekranie auta, a ono sprawnie i równo na nie wjeżdża. Interesująco wypada funkcja przywołania: z poziomu aplikacji można z odległości kilku metrów sterować autem tak, by z niewielką prędkością podjechało w naszą stronę. To szczególnie przydatne w sytuacji, gdy ktoś nas zastawi.



Jak właściwie jeździ się modelem Y? Wygodnie, i to bardzo, i to pomimo siedzenia aucie z podstawowym wyposażeniem. Wariant RWD daje świetne wrażenia z jazdy, bo nie tylko rozpędza się sprawnie do 100 km/h (7,2 sekundy to więcej niż potrzebuje większość kierowców), to jeździ się nim bardzo płynnie, a one-pedal driving działa wzorowo i do pedału hamulca sięga się w Tesli w ostateczności. Zawieszenie również robi dobre wrażenie. Owszem, jest twarde, ale nie na tyle, by było niekomfortowe. Jedynie na krótkich nierównościach poprzecznych daje o sobie znać, nie jest to jednak niczym zaskakującym. Auto bardzo dobrze zachowuje się w zakrętach, do czego przyczynia się nisko położony środek ciężkości i czuły układ kierowniczy. Jestem pod wrażeniem tego, jak dobrze prowadziło mi się tak wysokie i duże auto. Równie wysoko, co komfort jazdy, cenię też przewidywalność, a ta w przypadku napędu elektrycznego bywa różna. Tesla świetnie szacuje pozostały zasięg, a ten w testowanym modelu wynosi realnie około 450 km. Dotyczy on temperatury otoczenia wynoszącej około 10 stopni Celsjusza, a więc optymalnej dla ogniw zasilających samochód. Przy ujemnych temperaturach może on być znacząco niższy (co jest normalne w tego typu autach). Do ładowania służy złącze CCS, a maksymalna moc ładowania wynosi 170 kW. Ładowanie od 10 do 80% zajmuje na szybkiej





ładowarce około 25 minut, natomiast korzystając z domowego wallboxa o mocy 11 kW, potrzebujemy około 4 godzin, by uzyskać ten sam rezultat.

Z perspektywy kierowcy model Y jest naprawdę wygodnym autem, dziwi mnie jedynie, że nawet w najdroższym wariantcie nie jest oferowany HUD. To funkcja, do której przyzwyczały mnie już inne auta, nawet niższej klasy. Wyświetlanie danych na szybie rozpraszałoby znacznie mniej niż pokazywanie tego samego na ekranie, zwłaszcza, gdy w tym czasie pasażer robi na nim coś innego. Doceniam za to takie drobiazgi, jak odczytywanie sygnalizacji świetlnej i przypomnienie o ruszaniu sygnałem, jeśli nie korzystamy z tempomatu, przydaje się też (będące jeszcze w fazie beta) automatyczne przełączanie pomiędzy jazdą do przodu i do tyłu, na podstawie ruchu kierowcy i kontekstu otoczenia. W wielu przypadkach sięganie do ekranu, by zmienić kierunek, staje się zbędne. Mapy oferowane przez Teslę są doskonałe, nie tylko nie mają żadnych problemów ze znajdowaniem adresów i wyznaczaniem tras z uwzględnieniem warunków drogowych, ale też szacują ładunek, jaki będziemy mieli, gdy dojedziemy na miejsce i gdzie powinniśmy zaplanować ładowanie. Z poziomu aplikacji możemy oczywiście zaplanować trasę wcześniej, ale wyszukiwanie jest równie wygodne na ekranie samochodu. Apka pozwala obsługiwać też Sentry Mode, czyli obserwowanie i nagrywanie otoczenia auta za pomocą wbudowanych



kamer. To rzecz, która lepiej, aby nikomu się nie przydała, ale w przypadku uszkodzenia na parkingu czy próby kradzieży wszystko mamy zarejestrowane i zapisane na karcie pamięci w pojeździe, a dodatkowo możemy też podejrzeć obraz zdalnie. Teslę model Y docenią nie tylko kierowcy, ale też pasażerowie, oferuje bowiem dużo przestrzeni na nogi i nad głową, wygodne siedzenia (podgrzewane z przodu), a także ogromny bagażnik z tyłu i spory z przodu. Nie brakuje tu ani podwójnej ładowarki bezprzewodowej z przodu, ani portów USB w obu rzędach. Schowki w drzwiach są spore i jedynie na środku, pomiędzy przednimi fotelami przydałaby się jeszcze półka (ta instalowana jest dopiero w wariantcie Premium), musimy zadowolić się schowkiem w podłokietniku.

Nie sposób pisać o modelu Y bez porównania jego wariantów wyposażenia. Jak wspominałem, miałem możliwość pojeździć zarówno wersja RWD, jak i AWD w wariantcie Premium Long Range. Oczywiście droższy model przyspiesza znacznie lepiej i ma większy zasięg, niemniej ogólne wrażenia z jazdy są bardzo zbliżone. Mamy też ten sam design wnętrza, ekran, kierownicę, przestrzeń i pojemność bagażnika. Detale czynią jednak ogromną różnicę. Z zewnątrz mamy przeprojektowaną tylną lampę, która przebiega przez cały tył, odbijając światło od karoserii. Przednie lampy też są połączone, a zderzaki wyglądają inaczej. Szyby w wariantcie Premium są podwójne, co zapewnia znacznie lepsze wyciszenie, które docenimy głównie w trasie. Premium ma dodatkowe oświetlenie nastrojowe, panoramiczny dach, dodatkowy schowek w tunelu, który dość mocno przeprojektowano, syntetyczna skóra jest zauważalnie lepszej jakości, a bagażnik jest oddzielony od przestrzeni pasażerskiej osłoną. Zupełnie inaczej wykończono przestrzeń pod maską, w Premium jest bardziej zabudowana, choć oferuje tyle samo przestrzeni. No i audio: w bazowym modelu brzmi dobrze, ale to w Premium wypada wręcz świetnie, ma lepszą przestrzeń i oferuje więcej możliwości konfiguracji. I nie, nie ma przy tym żadnego branding. Pasażerowie modelu premium mają z tyłu mały ekran do oglądania wideo i sterowania niektórymi funkcjami auta, jego pozycja nie jest może optymalna do długiego korzystania z niego, znajduje się z tyłu tunelu, ale zdecydowanie się przydaje. A, no i jakość materiałów w modelu standardowym jest ogólnie odczuwalnie niższa, choć wciąż dobra. Jak widzicie, lista jest długa, ale odzwierciedla ona różnicę w cenie. Do Premium dopłacamy 35 tysięcy złotych, co jest uzasadnioną kwotą. Dzięki



temu podejściu Tesla nie tylko uprościła proces produkcyjny, redukując zarówno koszty, jak i czas produkcji auta, ale też dociera jednym modelem do dwóch zupełnie różnych odbiorców.

Mimo tego, że Tesla jest na rynku od lat i przez ten czas dorobiła się mocnej konkurencji, nadal nie traci na innowacyjności. Model Y jest autem, do którego wsiada się i wszystko natychmiast wydaje się intuicyjne, nawet jeśli nigdy nie jeździliśmy elektrykiem. Komfort podróży oferowany przez to auto stoi na wysokim poziomie, a kierowca ma równie dużo frajdy z przemieszczania się nim, co pasażerowie. Tym, co pozostawia sporo do życzenia, jest jakość asyst jazdy, zwłaszcza tempomatu, a moje doświadczenie wskazuje na to, że pozbycie się radaru nie było dobrym krokiem. Nie można mieć jednak wszystkiego, choć nawet w podstawowym wariantcie modelu Y dostajemy naprawdę dużo.

Tesla Model Y ★★★★★

- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 5,5/6
- Wydajność: 5,5/6

+ Plusy:

- świetna dynamika jazdy
- niskie zużycie energii
- ogromna przestrzeń wewnątrz

- Minusy:

- zawodny tempomat i automatyczne parkowanie

Cena: od 184 990 PLN





PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

Renault Espace – auto dużej rodziny

Jak duże musi być auto, by zapewnić komfort podróży więcej niż pięciu osobom? Prawdopodobnie nie zostało to zdefiniowane, ale nowe Renault Espace może być dobrym punktem odniesienia, bo jest... w sam raz.





Pierwsze generacje Renault Espace były vanami, przedostatni przeistoczył się w crossovera, by w obecnej wersji stać się już naprawdę dużym SUVem. Ta ewolucja raczej nikogo nie dziwi, gusta klientów się zmieniają i za vanami raczej nikt już się nie ogląda. Osobiście uważam to za świetny krok, Espace zawsze kojarzył się z przestrzenią, a testowany przeze mnie model wyposażono nie tylko w ekonomiczny silnik i mnóstwo funkcji, ale też w trzeci rząd siedzeń, zmieniający naprawdę wiele. 7-osobowych cywilnych aut jest na rynku stosunkowo niewiele, a Espace nie robi wrażenia aż tak ogromnego auta, głównie dzięki przemyślanemu nadwoziu. Tak, auto ma wysoko poprowadzoną maskę i linię dachu, jednak dzięki przetłoczeniom na drzwiach i bardzo zgrabnej linii przednich i tylnych lamp optycznie wydaje się on mniejszy. Francuskie auta zawsze wyróżniały się swoim designem, łączącym



walory użytkowe z powiewem świeżości, lekkości, choć i często odmienności. Renault Espace wpisuje się w to doskonale, to zarówno praktyczny, jak i przyciągający wzrok samochód.

Do testu otrzymałem topową wersję Iconic z opcjonalnym dachem panoramicznym, audio Harman/Kardon oraz matrycowymi przednimi światłami. Napędzał go hybrydowy układ E-Tech o mocy 200 KM. Tak, wydaje się nieadekwatny do tak ogromnego auta, jednak nie skreślałbym go od razu, o czym nieco później. Wyposażenie samochodu robi bardzo dobre wrażenie, podobnie jak jego wnętrze: przestronne, nowoczesne, a jednocześnie wyróżniające się elegancją. Mamy tu i akcenty drewniane, i wstawki z syntetycznej skóry, fotele wyglądają doskonale i są równie wygodne co ładne. Prócz szerokich możliwości regulacji, oferują też odsuwanie się podczas wysiadania, a ten kierowcy ma też masaż odcinka lędźwiowego. Za kierownicą siedzi się bardzo komfortowo, ekran przed nami jest duży i czytelny, a środkowy wyświetlacz skierowany jest wyraźnie w stronę kierowcy. Bardzo dobrze sprawuje się HUD, wyświetla wiele informacji a jego czytelność jest wzorowa w każdych warunkach oświetleniowych. Kierownica nie jest zbyt duża, ma spłaszczoną górę





i dół, ale na tyle lekko, by nie powodowało to dyskomfortu. Moje zastrzeżenia budzi natomiast liczba i wygląd dźwigni wokół niej. Prócz jednej do kierunkowskazów oraz świateł, a także drugiej do wycieraczek, mamy też sterowanie mediami i przełącznik kierunku jazdy. Co więcej, tylko dwie pierwsze dzielą ten sam design, pozostałe wyglądają jak wzięte z innych, losowych aut. Choć na elementy te na co dzień nie zwraca się uwagi, psują one nieco ogólny odbiór auta. To nie wszystko: za kierownicą mamy manetki regulujące poziom rekuperacji, a na kierownicy umieszczono dodatkowy przycisk Multi Sense, przełączający tryb jazdy. Chętnie pozbyłbym się obu tych rzeczy, zastępując łopatki zapisywanym na stałe ustawieniem w menu auta, a także przeniesienia w to samo miejsce Multi Sense. Funkcja ta ma teoretycznie za zadanie zmieniać charakterystykę auta, regulując opór kierownicy, zwrotność, kolorystykę wnętrza czy reakcję na pedał gazu. W praktyce nie korzystałem z niej w ogóle, bo różnice w prowadzeniu nie były duże, samochód stawał się natomiast głośniejszy podczas przyspieszania, co nie przekładało się jednak na osiągi.

Podróżowanie Renault Espace przypomina nieco rejs jachtem – jest komfortowo, nawet trochę luksusowo, choć spokojnie. Każdy ma tu bardzo dużo miejsca, nawet pasażerowie w trzecim rzędzie nie mogą narzekać na przestrzeń na nogi czy nad głową. Tylna kanapa (a więc ta z trzema miejscami) jest przesuwana w dużym zakresie, bo aż o 22 cm, pozwalając uzyskać znacznie





więcej przestrzeni bagażowej, nie tracąc przy tym miejsc dla pasażerów, albo też zwiększyć przestrzeń z tyłu tak, by każdy mógł tam wyprostować nogi. Da się regulować pochylenie jej oparcia oraz całkowicie ją odchylić, by umożliwić wsiadanie do tyłu. Espace oferuje sporo udogodnień każdemu, mamy tu porty USB z przodu, na środku oraz z tyłu, w bagażniku są też uchwyty na kubki. Ponadto schowki w drzwiach i w tunelu są naprawdę spore, a kierowca może dodatkowo skorzystać z podpórki pod rękę, by ułatwić sobie korzystanie z ekranu. Bagażnik jest co prawda płytki, ale foremny. Jego pojemność zależy od konfiguracji siedzeń tylnych i przesunięcia kanapy. Korzystając z trzeciego rzędu siedzeń, możemy liczyć na jedynie 159 litrów, natomiast składając je i przesuwając kanapę maksymalnie do przodu, dostajemy do





dyspozycji już 677 litrów. W konfiguracji dla 5 osób, gdy maksymalizujemy miejsce dla pasażerów, przestrzeń bagażowa liczy 477 litrów. To sporo, choć nie aż tyle, ile można spodziewać się po tak dużym samochodzie. Pasażerowie mogą docenić nie tylko przestrzeń, ale i udogodnienia, takie jak panoramiczny dach o zmiennej przejrzystości. Możemy ustawić, jaka jego część jest przejrzysta, a jaka matowa, co nie tylko jest praktyczne, ale też robi świetne wrażenie.

Nie jestem fanem systemów multimedialnych francuskich aut, tu jednak mamy do czynienia z Google Automotive. Oznacza to zarówno dużą bazę aplikacji, jak i dobrą integrację z usługami Google i niezłą przejrzystość interfejsu. Renault dodało kilka elementów od siebie, mamy więc jedno menu które zbiera wszystkie ustawienia auta (bardzo wygodne zresztą) oraz oferuje dodatkowe funkcje. Warto wspomnieć o Safety Score oraz Safety Coach, odpowiadających za ocenę i poprawianie bezpieczeństwa naszego stylu jazdy. Im płynniej jeździmy i przestrzegamy ograniczeń prędkości, tym wyższy jest wynik. Jeśli Google Automotive nas nie satysfakcjonuje, możemy bezprzewodowo połączyć telefon z CarPlay lub Android Auto. Renault postanowiło dodać w tym modelu Face ID, a więc kamerę rozpoznającą twarz kierowcy, co pozwalałoby na automatyczne przełączenie profilu na właściwą osobę. Mimo licznych prób nie udało mi się z sukcesem zeskanować twarzy – nie mam pojęcia, dlaczego, niemniej nie wydaje się to być kluczową funkcją. Możliwości multimedialne



Renault Espace są spore, na postoju możemy korzystać z aplikacji streamingowych, a audio samochodu naprawdę dobrze daje sobie radę zarówno ze szczegółowością, jak i przestrzennością brzmienia. W parze z systemem audio klasy premium idzie zazwyczaj solidne wyciszenie wnętrza, nie dotyczy ono jednak tego auta. Niestety, w Renault Espace jest głośno, i to nawet nie ze względu na jego niezbyt opływową bryłę.

Jazda dużym SUVem po mieście bywa kłopotliwa, zarówno ze względu na ograniczoną widoczność, jak i manewrowalność. Oba te problemy zostały tu właściwie zaadresowane. Choć samochód jest wysoki, system kamer 360 i czujników pozwala mieć kontrolę nawet nad najbliższym otoczeniem. Parkowanie załatwia natomiast tylna skrętna oś, znacząco zmniejszająca promień zawracania auta. Niewiele jest samochodów tych rozmiarów, którymi jeździło mi się równie komfortowo. Wygoda wynika też z bardzo dobrego zawieszenia, które nie jest utwardzone tak bardzo, jak choćby w autach elektrycznych. Co więcej, dobrze zachowuje się nie tylko na nierównościach, ale i w zakrętach, a to wcale nie takie oczywiste w samochodzie mającym około 165 cm wysokości. Kolejnym solidnym





elementem jest tempomat adaptacyjny z funkcją utrzymywania pasa ruchu. Działa bez zarzutu, a sterowanie nim zaprojektowano bardzo intuicyjnie. Nie brakuje też oczywiście innych systemów, jak monitorowanie martwego pola czy alarm o ruchu poprzecznym podczas cofania.

Renault Espace jest dostępne z tylko jednym napędem, czyli pełną hybrydą o mocy 200 KM. Prócz silnika elektrycznego mamy tu trzycylindrowy silnik benzynowy o pojemności 1,2 litra. Patrząc na to, jak dużym i ciężkim autem jest Espace, napęd ten wydaje się co najmniej niewystarczający, ale w miejskiej jeździe nie sposób odczuć brak mocy. Samochód rusza żwawo i przyspiesza wystarczająco dobrze, by nie sprawiać wrażenia ociężałego. Na drogach ekspresowych i autostradach też jest niezłe, bo choć przy większej prędkości dynamika znacząco się pogarsza, to możemy komfortowo wyprzedzać nim drugim pasem ruchu. Tam, gdzie go brakuje (a więc na wielu drogach krajowych, wojewódzkich czy powiatowych), bywa już trudno, Espace zdecydowanie nie jest szybkim autem. Od 0 do 100 km/h rozpędza się w 10,2 sekundy (choć producent deklaruje 8,8 sekundy, to nie udało mi się uzyskać takiego czasu), niezależnie od wybranego trybu jazdy. Co więcej, trzycylindrowy silnik w połączeniu z kiepskim wyciszeniem wnętrza i przeciętną aerodynamiką sprawiają, że w środku jest głośno, zarówno przy większej prędkości, jak i w mieście, o ile nie jedziemy na silniku



elektrycznym. To zdecydowanie samochód, który nadaje się wyłącznie do spokojnej jazdy. Nie sposób za to nie docenić bardzo niskiego spalania. W mieście oscyluje w okolicy 6 litrów, natomiast w trasie, której połowę stanowi droga ekspresowa, a połowę drogi z ograniczeniem do 90 km/h, ale wymagające częstego zwalniania do 50 km/h w terenie zabudowanym, zużycie paliwa wzrasta do zaledwie 6,5 litra na 100 km.

Nowe Renault Espace to samochód zaprojektowany przede wszystkim z myślą o rodzinie. Nie tylko oferuje wysoki komfort podróży i przestrzeń dla wszystkich, ale jest też naprawdę ładnym oraz przykuwającym wzrok autem. Przy odpowiedniej konfiguracji siedzeń przestrzeń bagażnika staje się ogromna – to coś, co bardzo doceniam, jeżdżąc na co dzień znacznie mniejszym samochodem. No i to spalanie, wręcz znikome, biorąc pod uwagę gabaryty auta. Ekonomia jazdy okupiona jest niestety słabymi osiąganiami i hałasem, o ile to pierwsze można zaakceptować, to oszczędzanie na wyciszeniu wnętrza, nie dając jednocześnie wyboru alternatywnego dla trzycylindrowego silnika napędu, to zupełnie niezrozumiała decyzja.

Renault Espace



- Design: 5/6
- Jakość wykonania: 4,5/6
- Oprogramowanie: 4,5/6
- Wydajność: 5/6

+ Plusy:

- bardzo komfortowe i przestronne wnętrze
- niskie spalanie
- oskonała zwrotność

- Minusy:

- słabe wyciszenie wnętrza
- przeciętna jakość materiałów

Cena: od 183 900 PLN

testowana konfiguracja: 246 400 PLN





WYBUCHOWY
I ELEKTRYZUJĄCY
iMAG MOTO

iMAGAZINE



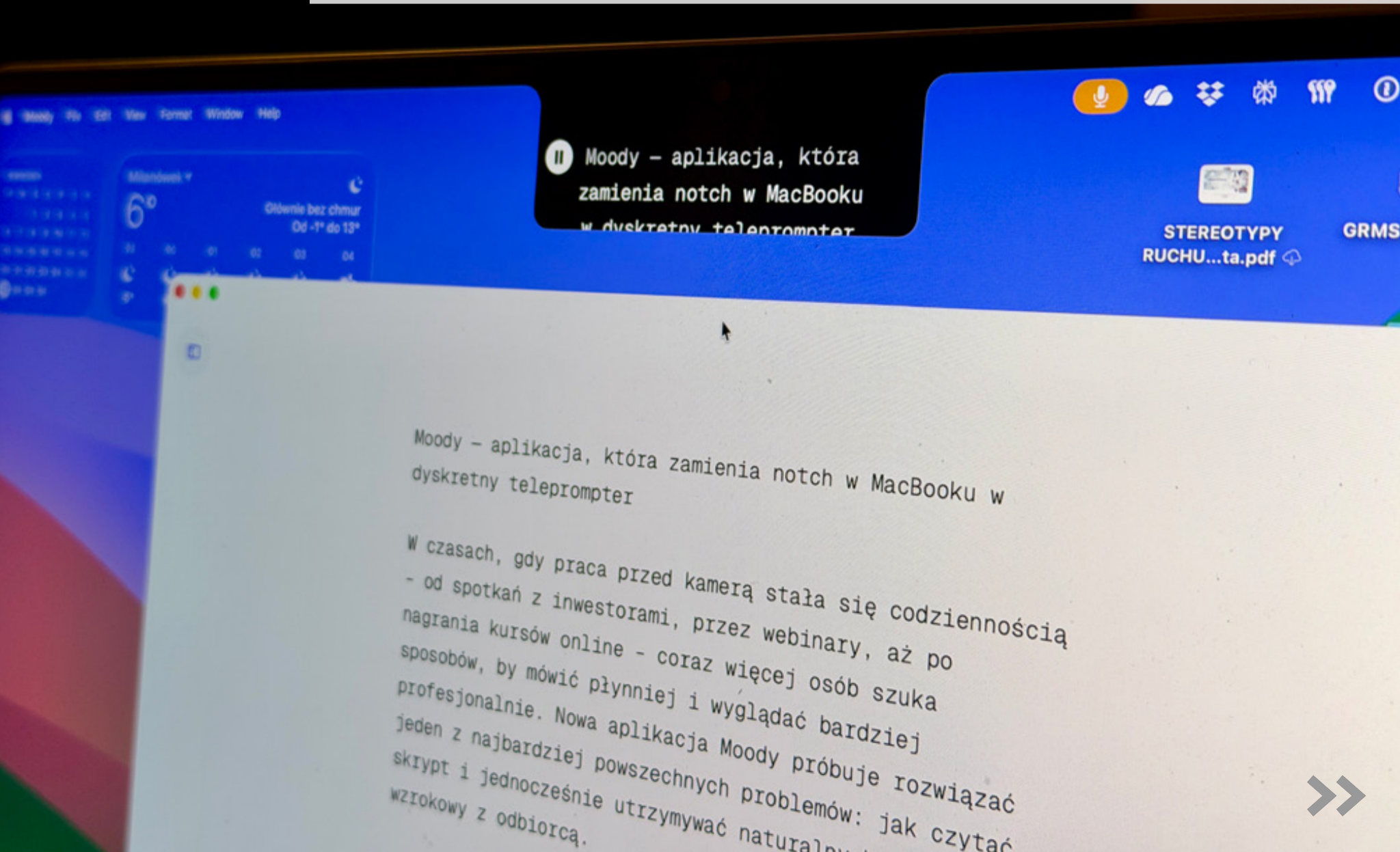
DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Moody – aplikacja, która zamienia notch w MacBooku w dyskretny teleprompter

W czasach, gdy praca przed kamerą stała się codziennością – od spotkań z inwestorami, przez webinary, aż po nagrania kursów online – coraz więcej osób szuka sposobów, by mówić płynniej i wyglądać bardziej profesjonalnie. Nowa aplikacja Moody próbuje rozwiązać jeden z najbardziej powszechnych problemów: jak czytać skrypt i jednocześnie utrzymywać naturalny kontakt wzrokowy z odbiorcą.

Teleprompter ukryty tam, gdzie patrzysz

Największą innowacją Moody jest wykorzystanie charakterystycznego wcięcia w ekranie MacBooka, czyli tzw. notcha. To właśnie tam aplikacja wyświetla tekst, możliwie najbliżej kamery. Dzięki temu użytkownik nie musi zerkać w bok ani w dół – jego wzrok pozostaje skierowany dokładnie tam, gdzie powinien, czyli w obiektyw.





w dyskiety teleprompter
W czasach, gdy praca
przed kamerą stała się



To proste rozwiązanie eliminuje jeden z najczęstszych „tellów” w nagraniach wideo – uciekający wzrok zdradzający czytanie notatek. Efekt końcowy jest znacznie bardziej naturalny i profesjonalny, nawet jeśli korzystamy z przygotowanego wcześniej tekstu.

Pełna kontrola bez rozpraszenia

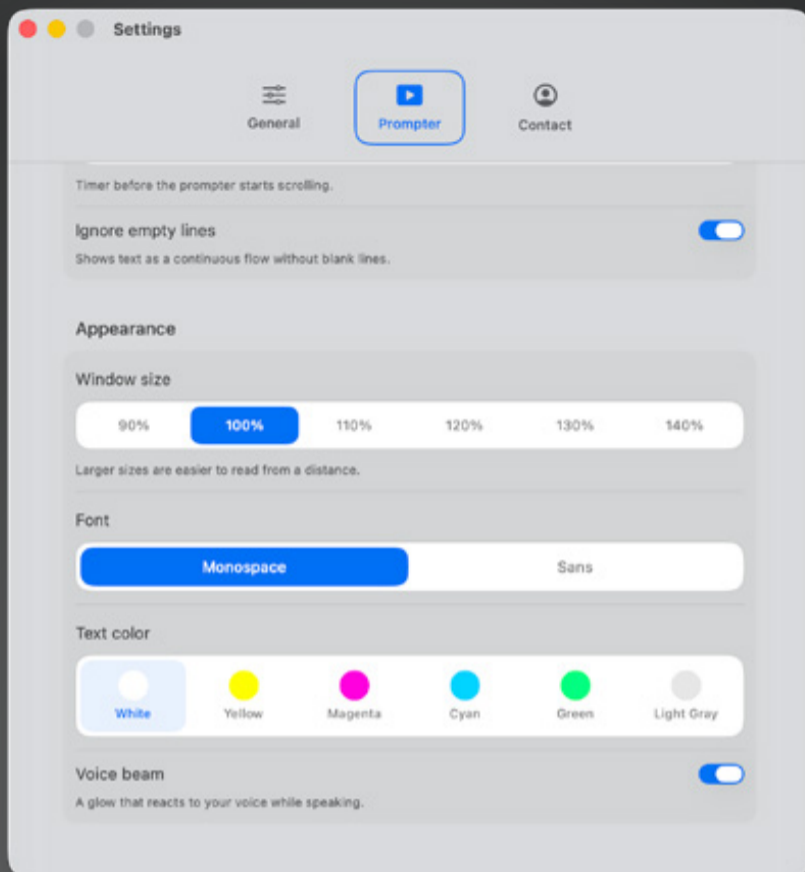
Moody stawia na minimalizm, ale nie rezygnuje z funkcjonalności. Aplikacja oferuje płynne, regulowane przewijanie tekstu, dzięki czemu tempo można dopasować do własnego stylu mówienia. Co ważne, sterowanie odbywa się za pomocą skrótów klawiaturowych – bez konieczności sięgania po mysz czy przerywania wypowiedzi.

Dodatkowym atutem jest fakt, że aplikacja pozostaje niewidoczna podczas udostępniania ekranu. To oznacza, że możesz prowadzić prezentację czy spotkanie, mając przed oczami skrypt, którego nikt poza Tobą nie zobaczy.

Prywatność i prosty model zakupu

W odróżnieniu od wielu współczesnych narzędzi Moody działa w pełni lokalnie. Wszystkie skrypty pozostają na komputerze użytkownika, co może być istotne w kontekście poufnych prezentacji czy materiałów biznesowych.





Twórcy postawili również na jednorazowy model płatności – aplikacja kosztuje 29 dolarów i nie wymaga subskrypcji. To podejście coraz rzadziej spotykane, ale wciąż bardzo cenione przez użytkowników, którzy wolą zapłacić raz i mieć spokój.

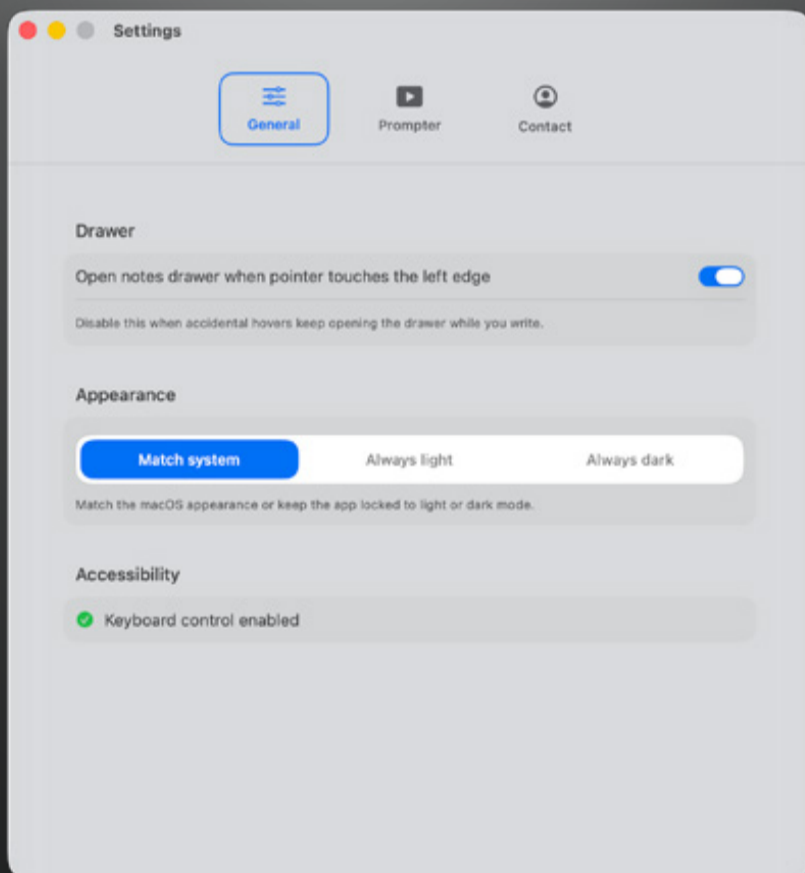
Dla kogo jest Moody?

Aplikacja została zaprojektowana z myślą o osobach, które regularnie występują przed kamerą. W praktyce oznacza to szeroką grupę użytkowników – od founderów nagrywających demo produktów, przez trenerów i edukatorów prowadzących kursy online, aż po konsultantów i agencje przygotowujące prezentacje dla klientów.

Wszędzie tam, gdzie liczy się klarowny przekaz i pewność wypowiedzi, Moody może okazać się zaskakująco skutecznym wsparciem.

Wymagania i dostępność

Moody działa na komputerach Mac z systemem macOS 14.7 lub nowszym. To oznacza, że aplikacja skierowana jest głównie do użytkowników nowszych MacBooków wyposażonych w notch – bo to właśnie on jest kluczowym elementem całego doświadczenia.

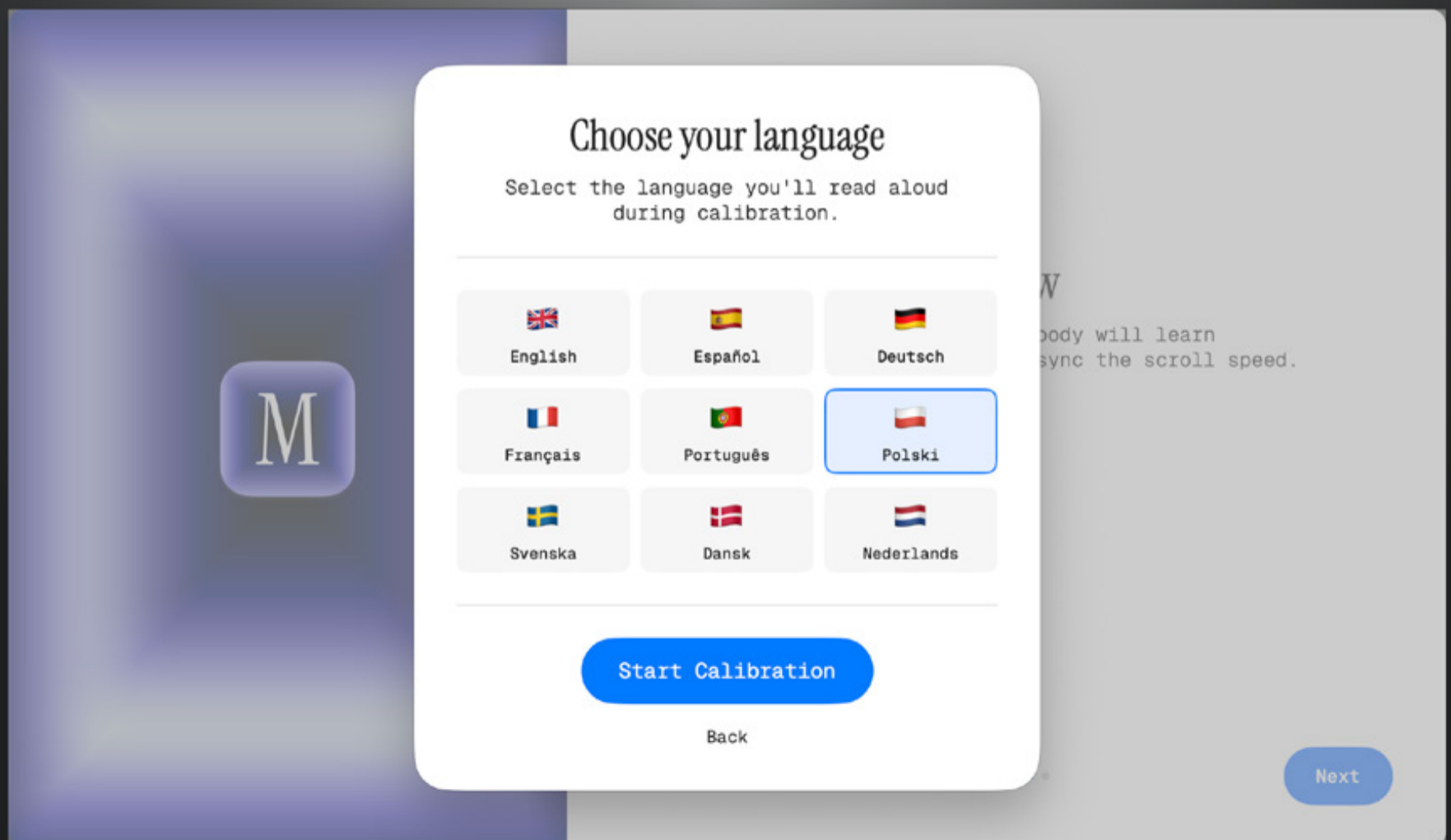


Małe narzędzie, duża zmiana

Choć Moody nie próbuje być rozbudowaną platformą do produkcji wideo, trafia w bardzo konkretną potrzebę. I robi to w sposób sprytny, wykorzystując element sprzętu, który dla wielu był dotąd jedynie kontrowersyjnym dodatkiem.

Efekt? Proste narzędzie, które może znacząco poprawić jakość występów przed kamerą – bez skomplikowanej konfiguracji i bez konieczności inwestowania w dodatkowy sprzęt.

Moody można kupić [TUTAJ](#).





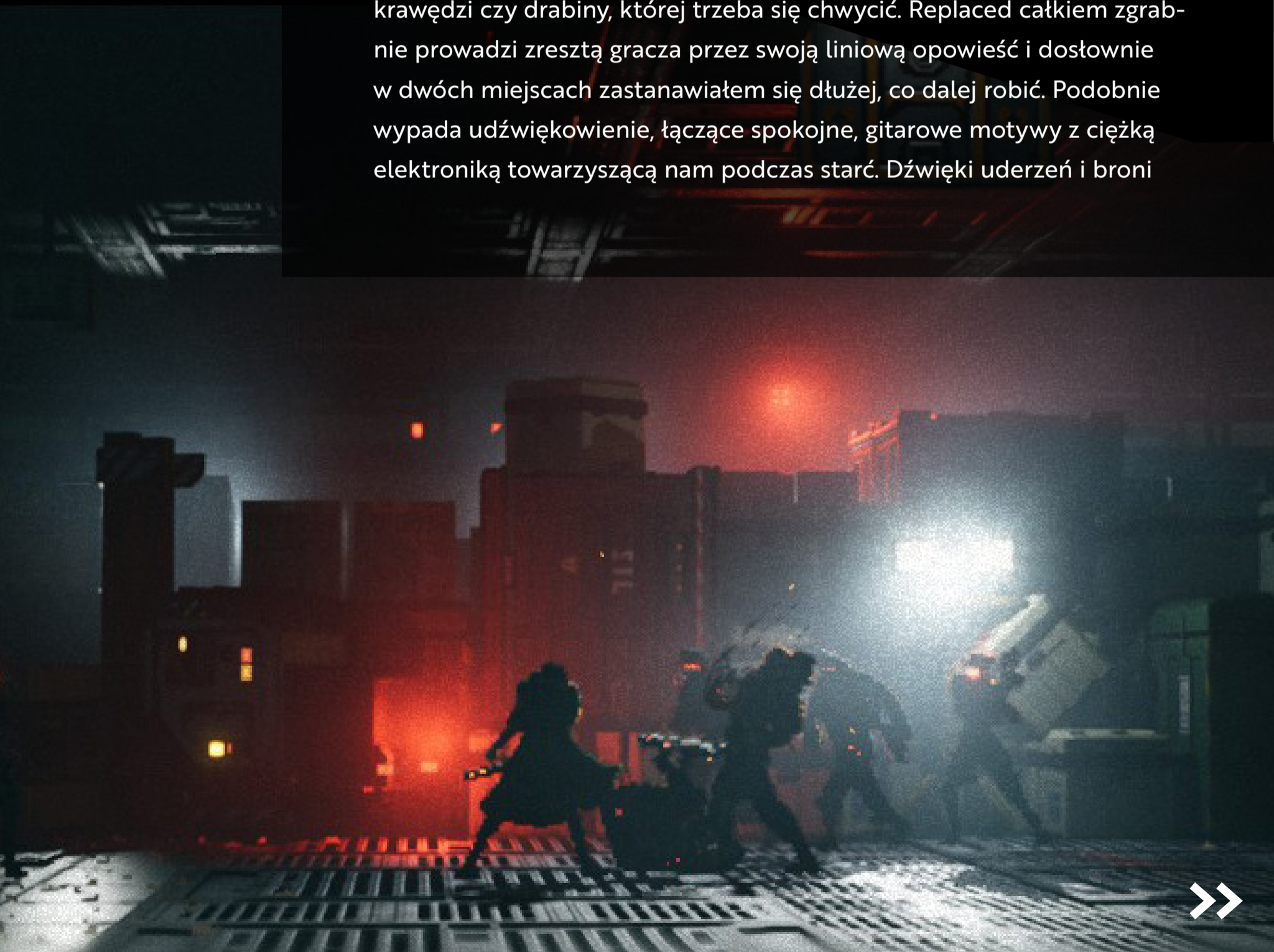
PAWEŁ HAĆ
@pawelhac

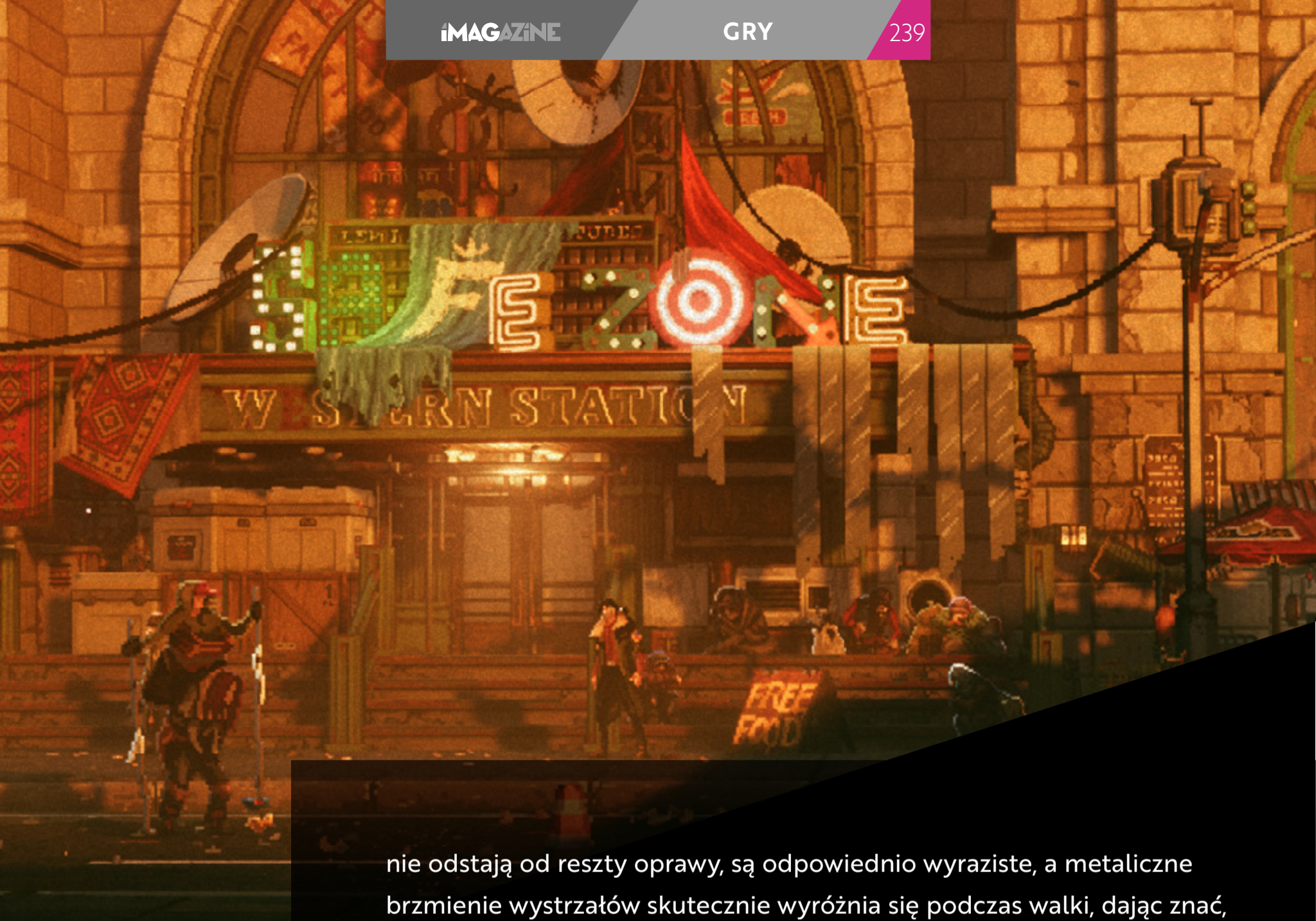
Replaced

Niby gier osadzonych w cyberpunkowych realiach jest mnóstwo, a jednak tylko nieliczne zatrzymują mnie na dłużej. Replaced zdobyło moją uwagę oprawą, a ogranie jej pełnej wersji utwierdziło mnie w przekonaniu, że to jeden z najbardziej wyjątkowych tytułów, jakie ostatnio widziałem.



Na Replaced trzeba było trochę poczekać, gra została zapowiedziana prawie pięć lat temu, a wydano ją dopiero w połowie kwietnia tego roku. Chwilę wcześniej dostaliśmy demo, po którym nie mogłem doczekać się już pełnej wersji. Tytuł pojawił się zarówno na PC, jak i na Xbox, jest też dostępny w Xbox Game Pass. Od samego początku kupiła mnie oprawa Replaced, łącząca dwuwymiarowe sprite'y animowane w niewielkiej liczbie klatek z trójwymiarowym, wciąż lekko rozpixselowanym otoczeniem, a także ze współczesnymi efektami świetlnymi i cząsteczkowymi. Replaced wygląda unikalnie i przykuwa uwagę pięknym designem paskudnego, retrofuturystycznego świata, w którym osadzona jest akcja. Owszem, niektóre zabiegi stylistyczne powtarzają się od czasu do czasu, jednak nie na tyle często, by się znudzić. Grafika jest na tyle mocno wystylizowana, że bywa nieczytelna, przez co niektóre sekwencje zręcznościowe stają się niepotrzebnie trudne. Osobiście uważam jednak, że jest to lepsze rozwiązanie niż kontrastowe oznaczanie każdej krawędzi czy drabiny, której trzeba się chwycić. Replaced całkiem zgrabnie prowadzi zresztą gracza przez swoją liniową opowieść i dosłownie w dwóch miejscach zastanawiałem się dłużej, co dalej robić. Podobnie wypada udźwiękowanie, łączące spokojne, gitarowe motywy z ciężką elektroniką towarzyszącą nam podczas starć. Dźwięki uderzeń i broni





nie odstają od reszty oprawy, są odpowiednio wyraziste, a metaliczne brzmienie wystrzałów skutecznie wyróżnia się podczas walki, dając znać, że użyliśmy czegoś mocniejszego niż pięści.

W Replaced wcielamy się w Reacha, sztuczną inteligencję, która w wyniku pewnego zdarzenia z samego początku gry przejmuje ciało korzystającego z niej naukowca. Sprawy komplikują się niemal natychmiast, wskutek czego musimy uciekać z wypełnionego wrogo nastawionymi policjantami laboratorium, szybko znajdujemy sobie też kolejnych oponentów. Reach bardzo krótko przejmuje się moralną stroną swoich czynów i usprawiedliwia zabijanie przeciwników koniecznością uratowania wspomnianego naukowca i przetrwania. To wiele upraszcza, bo choć protagonista wydaje się słabo panować nad ludzkim ciałem w czasie pierwszej ucieczki i potrafi potknąć się o leżący na drodze konar, to w walce stanowi dla wszystkich śmiertelne zagrożenie, dostownie

Replaced wygląda unikalnie i przykuwa uwagę pięknym designem paskudnego, retrofutoryetycznego świata.



roznosząc mających wielokrotną przewagę liczebną wrogów. System walki bardzo przypomina mi ten z Batmana i serii Arkham, mamy tu więc kontry, uniki oraz przeciwników którzy nie będą stali w kolejce, by nam przyłożyć. Potyczki ewoluują przez całą grę, początkowo dysponujemy jedynie unikami, kontrą i atakiem wręcz, z czasem odblokowując pistolet z dwoma trybami strzału, falę uderzeniową czy kilof służący do niszczenia pancerzy wrogów. Broń palna używana jest bardzo rzadko, ładujemy strzał, atakując wręcz, a gdy już wypalimy do wroga, ten zazwyczaj od razu pada. Można też w ten sposób wykonać efektowną egzekucję bądź znacząco osłabić napotkanego bossa. Tych nie ma wielu i walczy się z nimi dość podobnie, Replaced nie jest jednak tytułem, który błyszczy w pojedynkach jeden na jednego. Szybka, chaotyczna walka polegająca na ciągłym ruchu i kontroli otoczenia wygląda tu doskonale i twórcy zdawali sobie z tego sprawę. Trochę szkoda, że zróżnicowanie przeciwników nie jest duże i przez większość gry ścieramy się właściwie z jedną frakcją – cyberpunkowy świat jest jednym z tych, w których nie trzeba się specjalnie głowić nad tym, kto mógłby jeszcze być tym złym.





Przemierzanie świata Replaced polega głównie na biegu w prawo, skakaniu po platformach, wspinaniu się i rozwiązywaniu prostych zagadek. Postać porusza się trochę ociężale i trzeba wyczuć, kiedy należy oddać skok, bo tytuł wymaga tu sporej precyzji. Na szczęście śmierć nie ma żadnych konsekwencji, odradzamy się bardzo blisko miejsca, w którym ponieśliśmy porażkę i nie tracimy w związku z tym nic prócz kilku sekund potrzebnych na ładowanie. Choć wraz z postępami w fabule odblokowujemy kilka mechanik pozwalających nam radzić sobie z nowymi przeszkodami, to nie jest to metroidvania. Co prawda od czasu do czasu wracamy do znanych już lokacji, ale jest to uzasadnione fabułą, a gra nie oferuje dużej swobody eksploracji. Wyjątkiem jest dworzec, będący pewnego rodzaju bazą wypadową, na którym pomiędzy głównymi misjami możemy wykonać proste zadania poboczne. Te powiększają zdrowie czy też przyspieszają ładowanie pistoletu – nagrody te są adekwatne do wysiłku, jaki należy na nie poświęcić. W jednym miejscu możemy zagrać na automatach w mini gry i te są największym wyzwaniem – ostatnia z nich sprawiła mi więcej problemów niż jakakolwiek inna sekwencja w grze. Osobną grą w grze jest hakowanie, które początkowo wydaje się ciekawe, ale przez to, jak dużo go jest, gdy już je odblokujemy, szybko nuży.



Szybka, chaotyczna walka polegająca na ciągłym ruchu i kontroli otoczenia wygląda tu doskonale.

Bardzo wysoko cenię sobie niewielkie, ale wyraziste gry, których twórcy konsekwentnie realizowali swoją wizję. Replaced zachwyca zarówno tym, jak wygląda, jak i oferowaną rozgrywką. Tytuł umiejętnie balansuje pomiędzy elementami zręcznościowymi, intensywną akcją i chwilami wytchnienia skupionymi na opowiadaniu historii. Owszem, fabuła nie ma w sobie niczego nowatorskiego, a podobne mechaniki walki już nieraz widzieliśmy, jednak wszystkie te elementy podano w formie, która zapada w pamięć. Replaced daje naprawdę wiele powodów, by się z nim zapoznać.

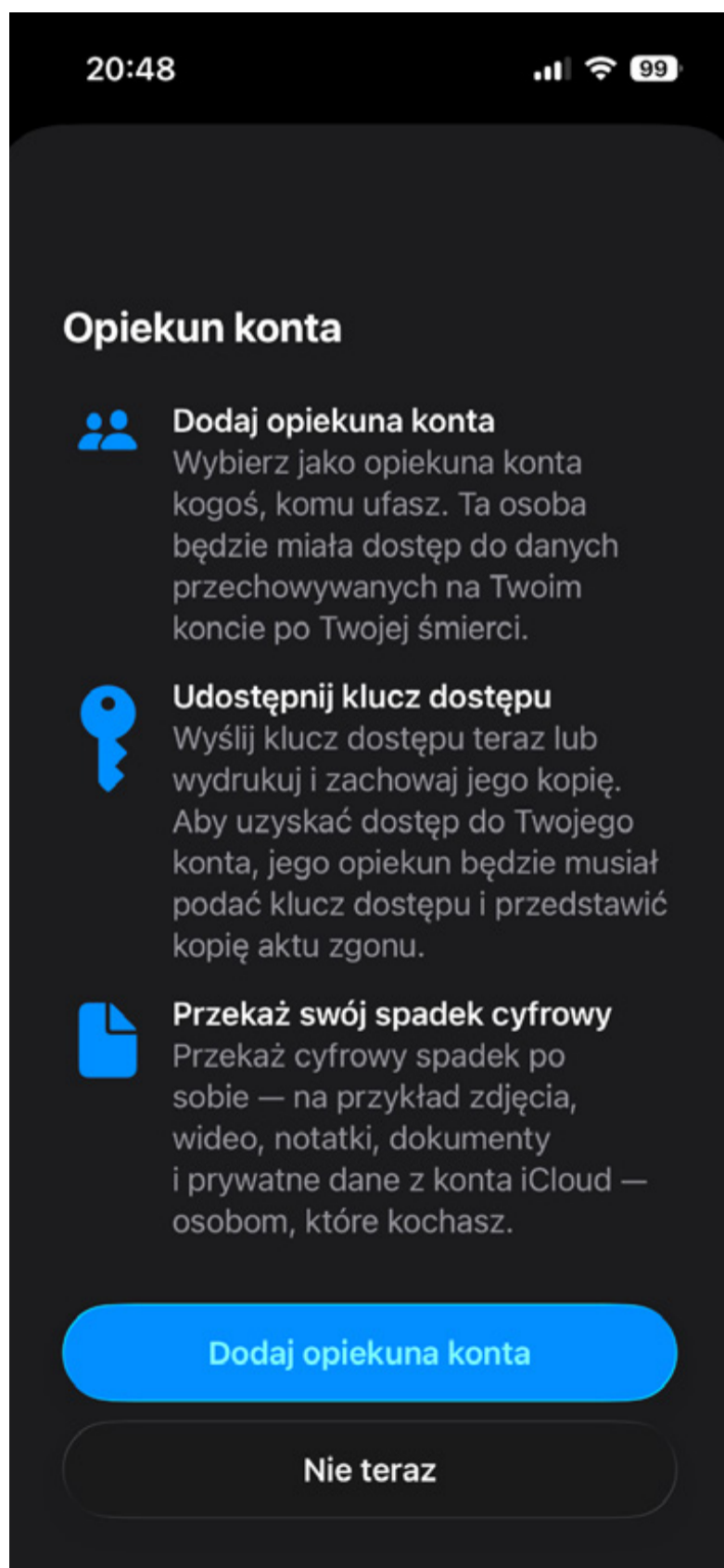




DARIUSZ HAŁAS
[@blob_tech](#)

Twoje dane umrą razem z Tobą. Jak temu zapobiec w 45 minut

Gdybyś zmarł jutro, Twoja rodzina odziedziczy dom, samochód i oszczędności na tradycyjnym koncie bankowym. A co z danymi?



Prawo spadkowe w fizycznym świecie działa powoli, ale skutecznie. Niestety, w świecie cyfrowym postanowienie sądu często zderza się z dwiema bezlitosnymi siłami: matematyką i regulaminami globalnych korporacji.

Twoje portfele kryptowalutowe, prywatne zdjęcia w chmurze, aplikacje z uwierzytelnianiem dwuetapowym (2FA) i menedżery haseł są zabezpieczone tak, by nikt – z prawnikiem i sędzią włącznie – nie mógł ich otworzyć bez odpowiedniego klucza. Jeśli nie przygotujesz się na najgorsze, Twoje cyfrowe życie i aktywa po prostu umrą wraz z Tobą. Być może tego właśnie chcesz, ale jeżeli nie, to czytaj dalej.

Oto 5 kroków, których realizacja zajmie Ci około 30 do 45 minut. Dzięki nim oszczędzisz bliskim lat walki z systemem. I to często walki bezskutecznej.

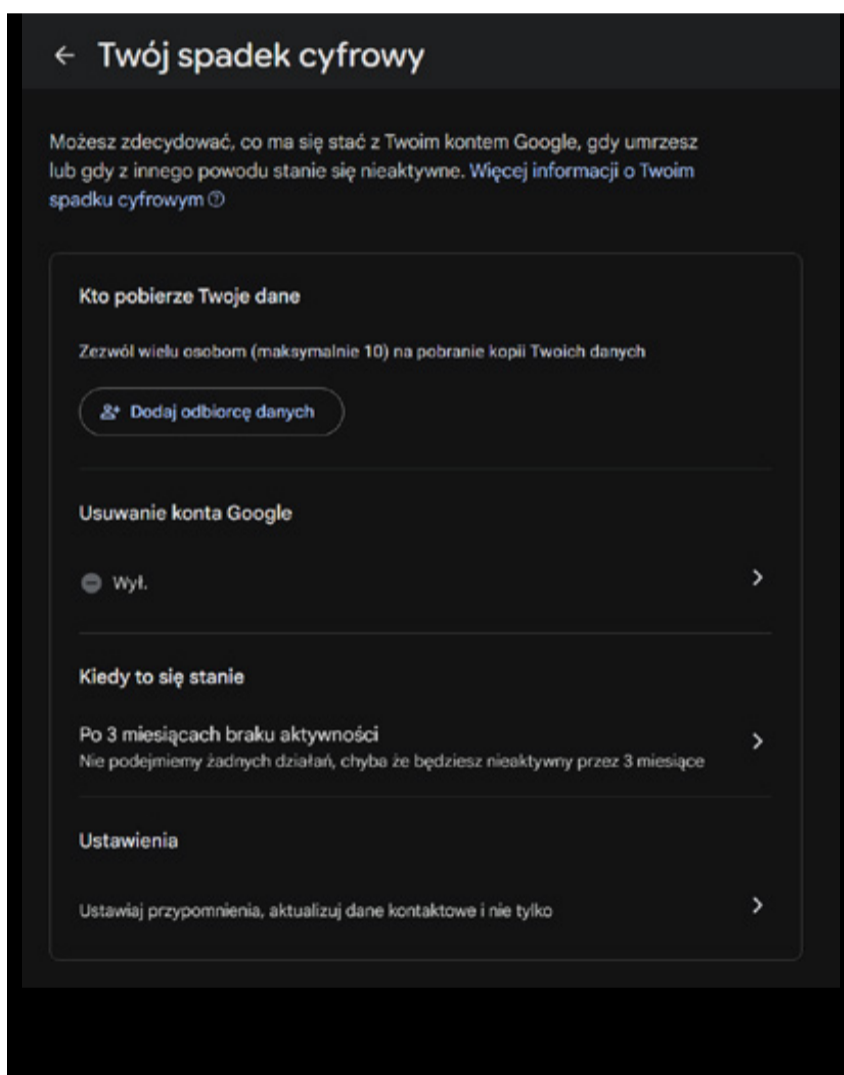
Krok 1: fundamenty, czyli Apple i Google (10 minut)

Giganci technologiczni zastaniają się prawem do prywatności zmarłych (brzmi kuriozalnie, bo zmarli raczej nie przejmują się swoją prywatnością, ale takie są realne zapisy regulaminów wielu usług, które musisz zaakceptować by



z nich skorzystać). Jeśli nie wskażesz za życia odpowiedniej osoby, Apple i Google mogą znacząco utrudnić, a w wielu przypadkach wręcz skutecznie zablokować Twojej rodzinie (prawnym spadkobiercom) dostęp do konta, by po jakimś czasie bezpowrotnie je skasować.

- **Dla użytkowników Apple:** skonfiguruj Kontakt Dziedziczenia. System wygeneruje specjalny klucz dostępu dla wybranej przez Ciebie, zaufanej osoby. Jak to zrobić: Ustawienia → [Twoje imię i nazwisko] → Logowanie i zabezpieczenia → Opiekun konta → Dodaj zaufaną, bliską Ci osobę, której chcesz powierzyć swój „cyfrowy spadek” (choć z pewnymi wyjątkami, czytaj dalej).



Dlaczego warto to zrobić teraz?

Bez ustawienia „Opiekuna konta”, Apple wymaga od Twoich bliskich dostarczenia dokumentacji prawnej, która w Polsce zazwyczaj oznacza drogę sądową. Postanowienie sądu musi spełniać rygorystyczne wytyczne technologicznego giganta, a nawet wtedy firma nie pomoże w odblokowaniu ekranu telefonu bez wymazania wszystkich Twoich zdjęć i dokumentów. „Opiekun konta” to jedyny sposób, by Twoje wspomnienia przetrwały. I żeby nie było, że sobie to wymyśliłem, zainteresowanych odsyłam do dość świeżego **dokumentu w oficjalnym Apple Support.**

- **Dla użytkowników Google:** uaktywnij **Menedżera nieaktywnych kont Google** (możesz to zrobić z poziomu przeglądarki na dowolnym urządzeniu). Oczywiście musisz być zalogowany w danej przeglądarce na swoje konto Google. To system, który po określonym czasie braku aktywności (np. po 3, 6 lub 12 miesiącach, ty ustawiasz po jakim czasie) automatycznie przekazuje dostęp do wybranych usług (np. poczty Gmail, Dysku czy Zdjęć) wskazanym przez Ciebie osobom (możesz dodać do 10 kontaktów). Aby dodać zaufaną osobę klikasz Dodaj odbiorcę danych.



Krok 2: menedżery haseł – klucze do królestwa (10 minut)

Twój menedżer haseł zawiera dziś wszystko: dostęp do urzędów, sklepów, serwerów i usług finansowych. Ponieważ dobre menedżery używają szyfrowania end-to-end, firma, która je dostarcza, nie zna Twojego hasła i nie zresetuje go dla Twojej rodziny.

- Bitwarden / LastPass / Dashlane: użyj wbudowanej funkcji dostępu awaryjnego. Każdy porządny menedżer haseł powinien dysponować taką funkcją. Wskazujesz tam zaufany kontakt. Jeśli ta osoba zażąda dostępu, a Ty nie odrzucisz prośby w określonym czasie (np. 7 dni), uzyska ona wgląd do Twojego cyfrowego skarbcza.
- IPassword: ta aplikacja celowo nie posiada cyfrowego dostępu awaryjnego. Zamiast tego oferuje Emergency Kit (Zestaw Awaryjny) – specjalny plik PDF z miejscem na wpisanie hasła głównego. Należy go wydrukować i schować w bezpiecznym, fizycznym miejscu (np. w domowym sejfie lub u zaufanego notariusza, albo w skrytce bankowej).

A co z aplikacją Hasła w iOS / iPadOS / macOS?

Tutaj zderzamy się ze ścianą, Apple nie przewidziało żadnej awaryjnej procedury dla twoich potencjalnych spadkobierców... Nawet jeśli sumienie ustawisz „Opiekuna konta”, osoba ta nie otrzyma dostępu do Twoich haseł, kluczy dostępu (passkeys) ani danych kart płatniczych. Powód jest prosty: systemowa aplikacja Hasła to tak naprawdę dobrze znany Pęk kluczy iCloud w nowym, ładniejszym opakowaniu. Całość jest zabezpieczona szyfrowaniem end-to-end (od końca do końca). Apple fizycznie nie posiada klucza, który mógłby to odszyfrować, dlatego w swojej oficjalnej dokumentacji kategorycznie wyłącza te wrażliwe dane z mechanizmu dziedziczenia.

Jeśli jesteś w stu procentach zanurzony w ekosystemie Apple i trzymasz tam wszystkie swoje loginy, istnieje tylko jedno, jedyne wyjście. Twój bliscy muszą znać kod PIN do Twojego iPhone'a lub hasło do Maca (o czym więcej w Kroku 4). Bez dostępu do odblokowanego urządzenia, mimo posiadania aktu zgonu i statusu prawnego spadkobiercy, Twoja cyfrowa tożsamość zabezpieczona przez Apple pozostanie zamknięta na zawsze.





Krok 3: kryptowaluty – gdzie prawo nie sięga (5 minut)

W przypadku banku, rodzina z aktem zgonu w końcu odzyska pieniądze. W przypadku kryptowalut na portfelach typu self-custody (samodzielne przechowywanie), środki bezpowrotnie przepadają. Nikt ich nie odzyska – ani giełda, ani sąd.

Co musisz zrobić: zapisz swoją frazę przywracania (seed phrase – zazwyczaj 12 lub 24 słowa) na fizycznej kartce papieru lub wybij na specjalnej stalowej płytce. Przechowuj ją w sejfie lub skrytce bankowej.

Krok 4: urządzenia i social media (10 minut)

Zabezpieczenie głównego telefonu to często kwestia „być albo nie być” dla Twojego cyfrowego majątku. Najczęstszy scenariusz? Rodzina trzyma w ręku Twój telefon, ale nie zna do niego kodu. I na tym wszystko się kończy. To tam znajdują się kody SMS, aplikacje bankowe oraz – co najważniejsze – aplikacje generujące kody 2FA (np. Google Authenticator czy Authy).

- **Kod PIN do telefonu:** upewnij się, że zaufana osoba będzie w stanie odblokować ekran Twojego smartfona. Bez tego próba zalogowania się z nowego urządzenia na jakiegokolwiek Twoje konto spełźnie na niczym przez blokadę dwuetapową.



- **Facebook i Instagram:** giganci społecznościowi pozwalają zdecydować, co stanie się z Twoim profilem.

Jak to zrobić (na przykładzie aplikacji Facebook na iPhone'a): uruchom aplikację mobilną, tapnij hamburger menu, wybierz Ustawienia i prywatność → Ustawienia → Centrum kont → Dane osobowe → Własność konta i kontrola → Nadanie statusu „In memoriam”. Możesz tam wskazać opiekuna konta (który przypnie post pożegnalny i zadba o profil) lub zażądać automatycznego i trwałego usunięcia konta po zgłoszeniu śmierci.

Krok 5: fizyczny „Master Document” (10 minut)

Zwieńczeniem całego procesu jest stworzenie jednej, fizycznej kartki papieru – dokumentu głównego. Przechowuj go razem ze swoim testamentem, polisą ubezpieczeniową lub aktem notarialnym mieszkania.

Ważne: upewnij się, że zaufana osoba będzie miała do niego natychmiastowy dostęp w razie tragedii – czekanie tygodniami na oficjalne odczytanie testamentu u notariusza sprawi, że wygasną zalogowane sesje, a urzędnicy się rozładują.

Co powinno się tam znaleźć:

- Informacja, gdzie znajduje się Twój menedżer haseł i jak się do niego dostać (np. „Używam 1Password, zestaw awaryjny jest w sejfie pod kodem XXXX”).
- Informacja, gdzie fizycznie ukryte są frazy seed do kryptowalut.
- 6-cyfrowy kod PIN odblokowujący Twój główny telefon.
- Nazwiska osób, które ustawiłeś jako Kontakty Dziedziczenia w Apple i Google.

Czego absolutnie NIE robić:

- Nie zapisuj tego dokumentu w Notatniku na telefonie ani w Google Docs. Jeśli konto zostanie zablokowane, instrukcja ratunkowa również tam utknie.
- Nie wpisuj na tej kartce dziesiątek loginów i haseł do poszczególnych stron.
- Nie zakładaj, że „rodzina i tak jakoś sobie poradzi”.

Bez tych wskazówek prawdopodobnie nie poradzi sobie wcale.

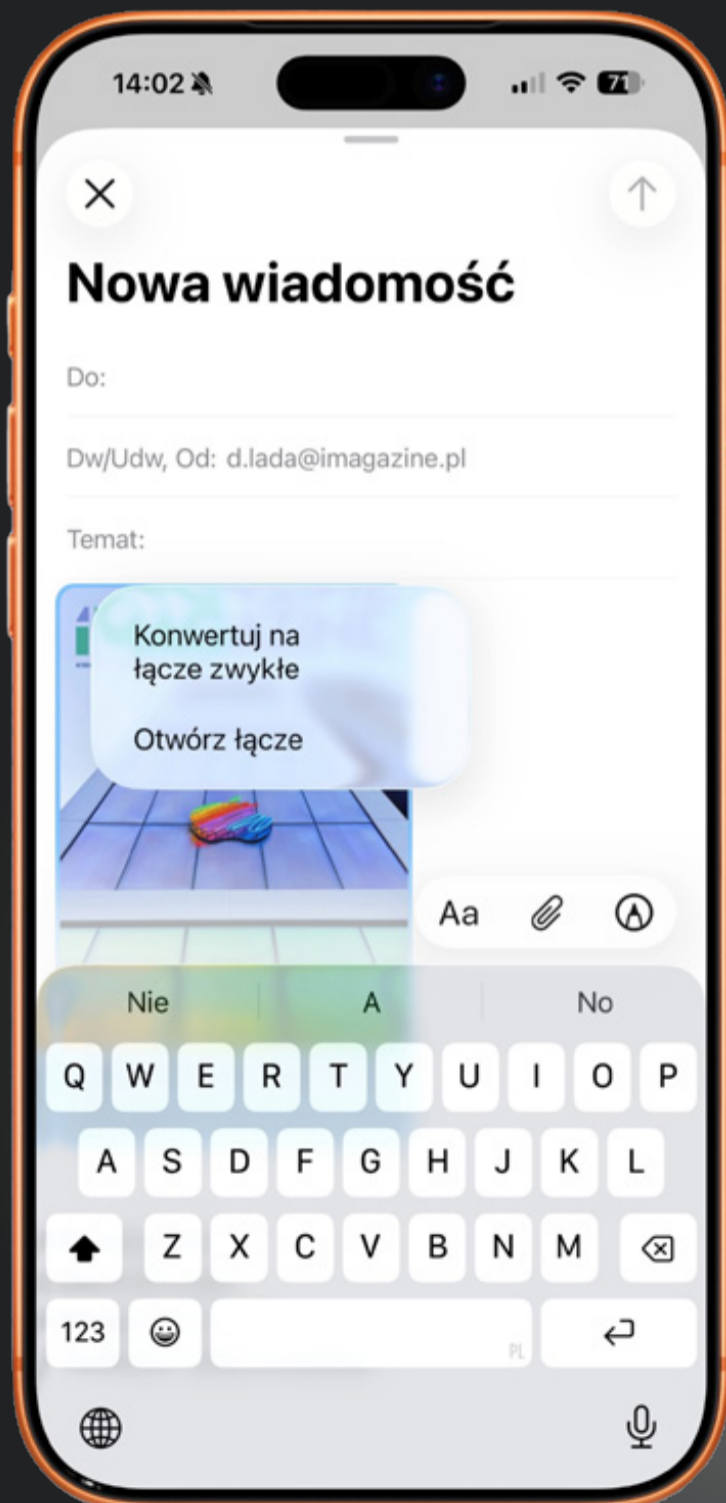




DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Jak wyłączyć podglądy linków w Mailu w iOS 26

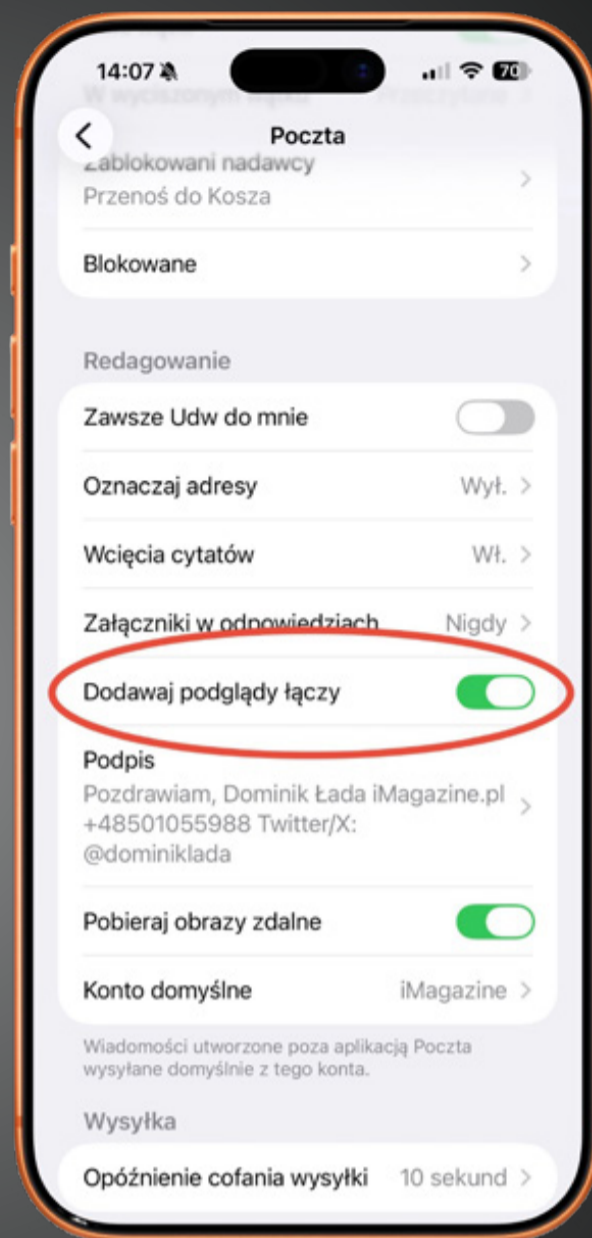
W iOS i iPadOS 26 Apple postawiło na bardziej „wizualne” wiadomości, ale nie każdy jest fanem dużych podglądów linków w Mailu. Na szczęście da się to łatwo ogarnąć – i to na dwa sposoby.



Jeśli zależy Wam tylko na szybkim pozbyciu się podglądu w konkretnej wiadomości, wystarczy stuknąć w wygenerowaną kartę linku, następnie wybrać ikonę rozwijania (mały trójkąt w dół) i skorzystać z opcji „konwertuj na łącze zwykłe”. Po chwili „estetyczna” (według Apple) karta zamienia się w klasyczny, prosty URL.



Jeżeli jednak ta funkcja działa Wam na nerwy na stałe, lepiej wyłączyć ją globalnie. W tym celu trzeba wejść w Ustawienia, następnie w sekcję Aplikacje → Poczta/Mail i tam dezaktywować przełącznik „Dodawaj podglądy łączy”. Od tego momentu system przestanie automatycznie zamieniać linki w rozbudowane podglądy.



To jedna z tych drobnych zmian w iOS/iPadOS 26, które dla jednych są usprawnieniem, a dla innych – zupełnie zbędnym dodatkiem. Na szczęście Apple nadal daje wybór.



BOCZEMUNIE.PL/EBOOK

ODBIERZ E-BOOKA

KRZYSZTOF KOŁACZ

Przycisk

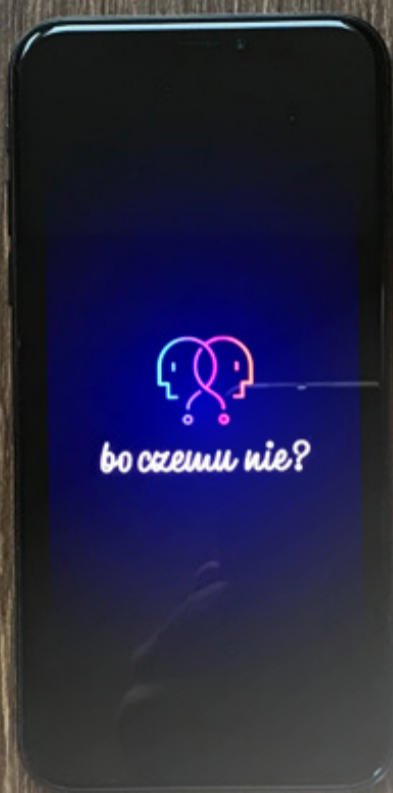
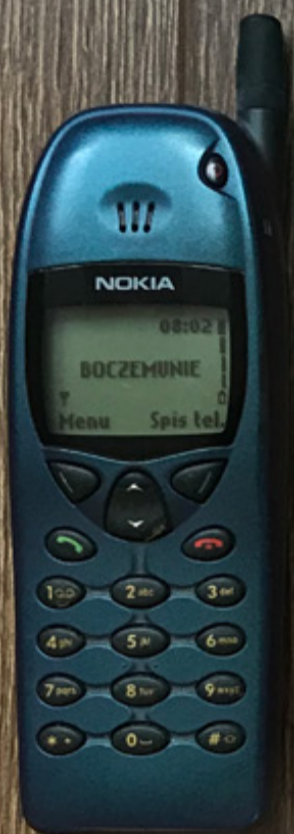
SPRAWDZAM!

Zaprzągnij technologię
do pracy dla Ciebie

E-BOOK
bo czemu nie?

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Powrót do epoki urządzeń robiących jedną rzecz?

To nie jest tekst o tym, że zaraz wszyscy wrócimy do stacjonarnych telefonów, odtwarzaczy płyt CD czy Forda T. Czy jednak i Wy nie macie tak, że coraz częściej w technologicznej bańce spotykacie dyskusje zaczynające się od „Ale ja chcę, żeby to robiło tylko...”? Ciągłe na nie trafiam i myślę, że część z nas po prostu o wiele mniej potrzebuje przelotemu pokroju kolejnego iPhone'a, a o wiele bardziej – ograniczeń, które ten wówczas posiadał.



Telefon, iPod i przeglądarka Internetu

Gdy Jobs prezentował iPhone'a światu w 2007 roku, wypowiedział kultowe słowa, które przeszły do kanonu marketingowych podręczników i popkultury. iPhone miał być trzema urządzeniami w jednym: telefonem, iPodem i przeglądarką internetu w wydaniu, którego świat nie widział. iPhone pozwolił dosłownie dotknąć dłonią internetu. To, co jednak w tym marketingowym sloganie jest w mojej ocenie absolutnie kluczowe, to fakt, że choć iPhone miał trzy główne fundamenty, wówczas każdy z nich pełnił określoną rolę. Telefon służył do dzwonienia. iPod, jak dotąd, odtwarzał muzykę, choć był ukryty pod ikoną jednej aplikacji. Przeglądarka Safari pozwalała przeglądać internet w tak wygodny sposób, że właściwie nikt wcześniej nawet nie przypuszczał, że to możliwe. Kluczem do sukcesu modelu z 2007 roku był fakt, że to wszystko zamknięto w niewielkim i pięknym urządzeniu, które mieściło się w kieszeni spodni i damskiej kopertówce. Pierwszy iPhone nie obsługiwał nawet MMS-ów, ale na to narzekali tylko ludzie z technologicznej bańki, podczas gdy świat dosłownie pędził do sklepów Apple. Gdyby jednak telefon Apple pozostał na tym etapie swojego rozwoju, szybko byśmy o nim zapomnieli.

To, czemu iPhone zawdzięczał ostateczny sukces, to stworzenie sklepu z aplikacjami, czyli App Store, i dostarczenie programistom prostych narzędzi oraz wytycznych, w ramach których ci mogli te aplikacje tworzyć. To ten moment zmienił na dobre świat, w którym żyjemy do dziś. iPhone, choć powstał na trzech fundamentach, o których wspominałem wcześniej, stał się teraz czymś więcej – był platformą do nowej rzeczywistości i to taką, na którą rynek dosłownie się rzucił i w której utonął na dobre. Rynek, czyli my, którzy instalowaliśmy każdą nową aplikację, zachwycając się de facto nieograniczonymi możliwościami tego, co dzięki kreatywności twórców i sile konsumpcjonizmu potrafi niewielkich (wówczas) rozmiarów telefon. Choć między rokiem 2010, w którym debiutował model iPhone 4, a 2026 minęło 16 lat, mam wrażenie, że

dla ludzkości to kilka wieków – oczywiście gdy spojrzysz na to przez pryzmat cywilizacyjnego i ekonomicznego rozwoju, jaki dokonaliśmy – a jednocześnie czuję, że to ledwie krótka chwila, w której trakcie kompletnie się pogubiliśmy.

Jedna rzecz

Dziś ilość dostępnych dzięki całemu rynkowi aplikacji i usług mobilnych możliwości nikogo już nie dziwi. Za to

Zamiast wrzucać zdjęcia z wakacji, chcemy niepublicznego luksusu, o którym nikt nie musi wiedzieć.



coraz więcej z nas zaczyna pytać samych siebie: po co mi kolejna aplikacja do tego? Dlaczego muszę płacić **za kolejną subskrypcję**? Nie rozumiem, jak to wszystko ze sobą działa!

Te pytania nie wynikają moim zdaniem w większości z nostalgii do czasów słusznie minionych, ale z ilości dostępnych dziś opcji, stylów życia czy szerzej – wygod – w których zaczęliśmy się po prostu gubić. Telefon kiedyś służył do dzwonienia. Aplikacja wiadomości – do wysyłania wiadomości, a nie kupowania pieluch, nagrywania rolek promujących pitą przez nas kawę z ulubionej palarni należącej do kogoś innego czy oddawania kasy znajomej. W internecie można było pracować, zarabiać, kupować, płacić rachunki, szukać informacji, ale nikt nie wchodził tam po to, aby niemalże dosłownie – żyć. Internet stał się dla wielu z nas czymś więcej niż źródłem nieustannie pompowanej dopaminy, ale wręcz – tlenem. Ten powrót mody na retro sprzęty, vintage'owe dyskusje i zawężone rozwiązania bierze się z tego, że dziś ograniczony wybór nie jest brakiem, lecz staje się luksusem. Widać to po ofercie najlepszych restauracji, marek modowych czy samochodowych, ale też po naszych – bardziej świadomych – wyborach. Także tych konsumenckich, choć one swoje źródła zawsze mają w głowie.

A te nasze głowy już powoli nie chcą poświęcać uwagi i ograniczonego i tak mocno czasu na testowanie kolejnych rozwiązań tych samych – często już rozwiązanych – problemów. Zaczynamy liczyć kwoty wydawane na subskrypcje usług, które okazują się robić dokładnie to samo, co ich darmowe, systemowe odpowiedniki, za które już zapłaciliśmy (np. kupując sprzęt Apple). W rozmowach przestajemy chwalić się ilością zainstalowanych aplikacji czy wrzuconych zdjęć, a zaczynamy rozmawiać o tym, ile ich usunęliśmy, i traktować ten akt jak prawdziwy przełom w życiu. Zamiast wrzucać zdjęcia z wakacji, chcemy niepublicznego luksusu, o którym nikt nie musi wiedzieć. Zaczynamy rozumieć, że prawdziwa wolność leżała od zawsze w sferze tajemnicy, do której dopuszczano wąski krąg wtajemniczonych, bo dzięki temu – była nasza. Czy zatem wrócimy do epoki urządzeń robiących jedną rzecz? Niedostownie, ale sądzę, że już żyjemy u progu społecznej zmiany, w ramach której urządzenia, aplikacje, systemy czy przedmioty, którymi się otaczamy – mają przede wszystkim służyć nam i robić **nasze, a nie czyjeś rzeczy**.

I nic nikomu do tego.





Podcast

bo czemu nie?

O TECHNOLOGII I NAS SAMYCH

zaprasza: Krzysztof Kołacz

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE



DOMINIK ŁADA
@dominiklada

Tajne godziny – powrót do świata Herrona

Jeśli należysz do grona czytelników, którzy pokochali serię Kulawe Konie, to „Tajne godziny” jest książką, obok której nie sposób przejść obojętnie. Mick Herron po raz kolejny udowadnia, że w świecie literatury szpiegowskiej ma coś wyjątkowego do powiedzenia – i co ważniejsze, potrafi to powiedzieć w sposób, który jednocześnie bawi, niepokoi i zmusza do myślenia.





fot. Mikael Buck

Mick Herron

Herron to autor, który wyróżnia się na tle współczesnych twórców thrillerów przede wszystkim podejściem do bohaterów i samej idei szpiegostwa. W jego powieściach nie znajdziemy idealnych agentów rodem z kina akcji. Zamiast tego dostajemy ludzi zmęczonych, cynicznych, często popełniających błędy – ale przez to boleśnie prawdziwych. To właśnie ta „niedoskonałość” stała się znakiem rozpoznawczym serii Kulawe Konie i w „Tajne godziny” autor rozwija ją w jeszcze dojrzały sposób.

Styl, który buduje napięcie

Jednym z największych atutów Herrona jest jego styl – oszczędny, precyzyjny, a jednocześnie przesiąknięty suchym, brytyjskim humorem. Dialogi są błyskotliwe i naturalne, a narracja prowadzona jest w sposób, który pozwala czytelnikowi stopniowo odkrywać kolejne warstwy historii. Autor nie spieszy się z ujawnianiem wszystkich kart, ale robi to tak umiejętnie, że napięcie rośnie niemal niezauważalnie, aż w pewnym momencie trudno się oderwać od lektury.

O czym są „Tajne godziny”?

Punktem wyjścia dla fabuły jest powołanie komisji Monochrome – organu, który ma prześwietlić działalność brytyjskich służb specjalnych i ujawnić wszelkie nieprawidłowości. Dwoje urzędników, Griselda Fleet i Malcolm Kyle, otrzymuje dostęp do najbardziej wrażliwych archiwów, co w teorii powinno oznaczać początek gruntownego rozliczenia systemu.

W praktyce jednak śledztwo od początku napotyka opór. Kolejne przeszkody, niedopowiedzenia i subtelne próby sabotowania prac sprawiają, że Monochrome zaczyna przypominać instytucję skazaną na powolne wygaszenie. Sytuacja zmienia się dopiero w momencie pojawienia się tajemniczej teczki oznaczonej



wczoraj BERLIN
dzisiaj LONDYN

niesamowity
spin-off
KULAWYCH
KONI

tej historii
NIE ZOBACZYSZ
w serialu

jedna teczka
jedno śledztwo
kilka złamanych
biografii

tajemnice
legend MI5

nie ufaj
NIKOMU



kryptonimem OTIS – dokumentu, który najwyraźniej skrywa coś znacznie poważniejszego, niż ktokolwiek chciałby przyznać.

Wraz z tym odkryciem historia zaczyna zataczać coraz szersze kręgi. W tle pojawiają się wydarzenia z Berlina tuż po zjednoczeniu Niemiec, a także ślad prowadzący do byłego agenta, którego ktoś próbuje uciszyć. Herron nie zdradza wszystkiego od razu – zamiast tego stopniowo buduje napięcie, sugerując, że stawką nie jest jedynie wyjaśnienie przeszłości, lecz coś znacznie większego: kontrola nad narracją, odpowiedzialnością i samą istotą działania służb.

Na tym tle przewija się szeroki wachlarz postaci – od polityków i ich doradców, przez urzędników i karierowiczów, po zmęczonych systemem operacyjnych „wyrobników”. Wszyscy funkcjonują w ramach swoich ról, wykonując codzienne obowiązki, ale – jak sugeruje sam tytuł – to, co robią poza oficjalnym obiegiem, w tych „sekretnych godzinach”, najlepiej odśłania ich prawdziwą naturę.



Znajomy klimat, nowe spojrzenie

„Tajne godziny” to książka, która idealnie wpisuje się w klimat znany z Kulawych Koni, choć jednocześnie oferuje coś świeżego. Zamiast skupiać się wyłącznie na bieżących wydarzeniach, Herron zagłębia się — w przeszłość, w mechanizmy działania służb i w konsekwencje decyzji podejmowanych „po cichu”, z dala od opinii publicznej. To powieść o tym, że prawdziwe dramaty nie zawsze rozgrywają się na oczach świata — często dzieją się właśnie w tych tytułowych „tajnych godzinach”.

Biurokracja, polityka i chaos

Dla fanów serii szczególnie satysfakcjonujące będzie to, jak autor rozwija znane motywy: biurokrację, wewnętrzne rozgrywki w służbach, polityczne naciski i absurdałne decyzje podejmowane przez ludzi na szczytach władzy. Herron ma wyjątkowy talent do pokazywania, że największym zagrożeniem dla wywiadu nie zawsze są wrogowie zewnętrzni, lecz chaos, ambicje i błędy popełniane we własnych strukturach.

Ironia i lekkość mimo ciężaru tematów

Co ważne, mimo że książka porusza poważne tematy, nie jest ciężka w odbiorze. Autor balansuje między napięciem a ironią, dzięki czemu lektura jest niezwykle angażująca. Ten charakterystyczny ton — lekko sardoniczny, momentami wręcz kąśliwy — sprawia, że nawet najbardziej gorzkie obserwacje dotyczące świata polityki i służb specjalnych mają w sobie coś przyciągającego.

Konstrukcja, która wciąga

Herron doskonale rozumie też konstrukcję fabuły. „Tajne godziny” nie jest prostą historią prowadzoną od punktu A do punktu B. To raczej misternie utkany obraz, w którym różne wątki zazębiają się i uzupełniają, tworząc spójną, wielowymiarową całość. Autor nie traktuje czytelnika jak biernego odbiorcy — wymaga uwagi, ale nagradza ją w pełni satysfakcjonującym doświadczeniem.

Dla fanów Kulawych Koni

Dla osób, które znają Kulawe Konie, ta książka będzie jak powrót do dobrze znanego świata — świata, w którym nic nie jest czarno-białe, a bohaterowie muszą radzić sobie nie tylko z zagrożeniami zewnętrznymi, ale i własnymi



słabościami. Jednocześnie „Tajne godziny” pokazuje, że Herron nie stoi w miejscu jako autor. Jego warsztat jest coraz bardziej dopracowany, a sposób opowiadania historii – jeszcze pewniejszy i bardziej wyważony.

Szpiegostwo z charakterem

To także świetny przykład literatury szpiegowskiej, która nie polega wyłącznie na akcji, ale stawia na atmosferę, charakter i konsekwencję. Jeśli w Kulawych Koniach cenisz inteligentny humor, realistyczne podejście do pracy wywiadu i bohaterów, którzy są bardziej ludzcy niż heroiczni – ta książka spełni wszystkie te oczekiwania, a nawet je przewyższy.

Podsumowując

„Tajne godziny” to pozycja obowiązkowa dla fanów Micka Herrona. To książka dojrzała, wciągająca i napisana z ogromnym wyczuciem gatunku. Autor po raz kolejny udowadnia, że szpiegowska opowieść może być jednocześnie inteligentna, zabawna i głęboko refleksyjna. Jeśli szukasz historii, która zostanie z tobą na dłużej – zdecydowanie warto sięgnąć właśnie po tę.

„Tajne godziny” mają swoją Polską premierę dziś. Książkę można kupić w dobrych księgarniach za 49,99 PLN. Polecam.





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Dlaczego nie porzuciłem Apple Watch, choć biegam długie dystanse

Moja miłość do najpopularniejszego zegarka w historii świata jest z jednej strony banalnie prosta – nie wyobrażam sobie posiadania innego smartwatcha, a dlaczego, opowiem Wam w tym felietonie – z drugiej jednak od początku skomplikowana. Wszystko przez inny romans, czyli biegi długodystansowe, i to od nich zacznę.



Zauroczenie

Pierwszego Apple Watcha kupiłem, kiedy w Polsce ten produkt Apple nie był jeszcze w ogóle dostępny. Zapłaciłem za niego jakoś 25% więcej niż wynosiła oficjalna cena po wprowadzeniu go na nasz rynek. Redakcyjni koledzy pamiętają zresztą doskonale wycieczki do berlińskich salonów Apple, a potem do tamtejszych ulicznych handlarzy, aby w ogóle mieć szansę na zdobycie do recenzji pierwszych modeli nosidła z Cupertino. Wówczas, w 2015 roku, wybrałem wersję aluminiową Sport w kolorze srebrnym oraz z białym paskiem sportowym. Koperta miała wówczas bodaj 42 mm, przypominała prostokąt i gdy patrzę dziś na mojego Apple Watcha Ultra 3. generacji, to jego protoplasta wyglądał jak z innej epoki. Pierwszy Apple Watch nie potrafił też zbyt wiele bez udziału mocy obliczeniowej iPhone'a, zatem gdy brałem go na pierwsze treningi biegowe, towarzyszyły mu przewodowe słuchawki EarPods i iPhone 6s na moim bicepsie. Wtedy, na starcie pierwszego zorganizowanego biegu, w którym wziąłem udział jako totalny amator (do tego otyły), pewien inny zawodnik miał zdecydowaną rację, mówiąc: „Szkoda chłopie, że jeszcze laptopa na sobie nie masz na te 4 km biegu...”. Dobrze, że nie wiedział, iż tuż po jego zakończeniu bateria spadnie mi o 35%.

Dziś wspominam tamte czasy z nutką nostalgii, ponieważ uświadamiają mnie, że nawet taka firma jak Apple, gdy wprowadza coś nowego do swojej oferty, czasami potrzebuje informacji zwrotnej z rynku, aby do końca zrozumieć, czego ten od danego produktu oczekuje. Tak było w przypadku Apple Watcha, który – przypominam – dostępny był także w wersji pokrytej złotem za około 90 000 zł, a rok później klienci, którzy ją kupili, nie otrzymali już aktualizacji watchOS. To był najkrócej wspierany sprzęt w historii Apple. Tak samo zdaje się być w przypadku Apple Vision Pro, choć wątpię, żeby Apple kiedykolwiek celowało w masową sprzedaż tego komputera przestrzennego. Dla mnie od początku jest jasne, że Vision Pro ma zbadać rynek i zmienić te rynki, na których faktycznie nie ma konkurencji (choćby dzięki mocy obliczeniowej układów Apple Silicon czy dokładności soczewek). I robi to – w medycynie, w branży lotniczej, w automotive czy architektonicznej. Masowy klient

Pierwszego Apple Watcha kupiłem, kiedy w Polsce ten produkt Apple nie był jeszcze w ogóle dostępny.



w momencie pisania tego felietonu czeka. Na co? Na moment, w którym – tak jak w przypadku Apple Watcha – firma z Cupertino nie wynajdzie koła na nowo, bowiem headsety AR/VR już dawno istnieją, ale zminiaturyzuje to, co najlepsze w Vision Pro, do lekkiej formy okularów i doda do tego magię swojego ekosystemu. Tak właśnie zrobili z Apple Watchem 2. generacji.

Ten zegarek kupiłem wówczas już z modemem LTE i był to prawdziwy moment definiujący w moim podejściu do tego produktu. Nadal bateria nie była rewelacyjna, ale zdecydowanie mogłem już zostawić iPhone'a w domu, a dzięki słuchawkom AirPods de facto biegać na nieznanym mi dotąd poziomie komfortu. Będąc przy tym uzbrojonym w Apple Pay i możliwość wezwania przez GSM pomocy w razie potrzeby. Nigdy później nie wyszedłem z telefonem biegać i tej zasady trzymam się do dziś. Dopiero model 4. generacji przyniósł większy ekran, którego o wiele łatwiej używało się z odświeżoną wersją watchOS, a także większe baterie i bardziej energooszczędne procesory. Czwórkę miałem najdłużej, a zastąpiłem ją dopiero modelem serii 9. generacji wykonanym już ze stali nierdzewnej. To była miłość od pierwszego wejrzenia! Pamiętam, jak wówczas w moim podcaście „Bo czemu nie?” stanowczo deklarowałem, że nigdy nie porzucę stali nierdzewnej. Głównie dlatego, że po prostu pasowała do wszystkiego, a przede wszystkim do mojej kolekcji pasków, które od 2015 roku hobbyistycznie zbieram. Drugim powodem była wytrzymałość szafirowego szkła i stalowej koperty, którą o wiele łatwiej było utrzymać w nienagannym stanie niż miękkie aluminium i szkło ceramiczne. Moje siłowe treningi nie wybaczały modelowi aluminiowemu niczego i tak jest do dziś, a uważam bardzo na sprzęt, który posiadam. Wychodzę jednak z założenia, że sportowy zegarek – no właśnie – powinien być niewidoczny. W końcu samo Apple ze stali zrezygnowało. I to był moment próby naszej miłości.

Energia na długim dystansie

Po pierwsze dlatego, że nigdy nie zostałem fanem polerowanego na wysoki połysk tytanu, który zbiera (jak to tytan) rysy od patrzenia. Po drugie, z uwagi na lekkość tego materiału, bo cechą dla mnie absolutnie pozytywną była większa waga stalowych wersji nosidła z Cupertino. I w końcu po trzecie – zacząłem biegać dystanse powyżej półmaratonu i maratony. O ile same zawody nie były tutaj problemem, o tyle treningi i długie wybiegania wymagały pamiętania o tym, żeby z domu wyjść z poziomem 100% naładowania ogniwa. A to ogranicza sprzęt, zamiast sprawiać, że ten nam służy – i jest to



I tutaj przepadłem, a właściwie padłem ofiarą wygody, którą ten ekosystem oferuje.

dla mnie nieakceptowalne. Dlatego w pewnym momencie musiałem podjąć decyzję, co dalej.

Naturalnym wyborem dla większości biegaczy byłby Garmin lub Coros (który robi świetne zegarki sportowe i ma kapitalną analitykę danych w komplecie), ale nie dla mnie. Dlaczego? Zacznę od najważniejszej kwestii – telefonu. Przesiadka na którykolwiek z wiodących zegarków do biegania wiązałaby się dla mnie z zabieraniem iPhone'a na trening. Dlaczego? Ponieważ jeszcze bardziej niż słaba materia nieakceptowalne jest dla mnie wgrywanie muzyki czy podcastów na zegarek w stylu rodem z lat 90. Krótko: jedyny scenariusz, który akceptuję, to ten, gdy wstając z fotela, mogę na zegarku kontynuować słuchanie podcastu od momentu, w którym je skończyłem – w ulubionej aplikacji na wszystkich systemach Apple, czyli Overcast, oraz słuchać muzyki w Apple Music. A tego nie oferuje nikt inny oprócz Apple Watcha, z uwagi na integrację z ekosystemem i złotą klatkę Apple. I tutaj przepadłem, a właściwie padłem ofiarą wygody, którą ten ekosystem oferuje.

Model Ultra 3. generacji zapewnił mi kontynuację tego, do czego zdążyłem przez lata przywyknąć, a przy tym zaoferował ogniwo, które w moim sposobie używania zegarka oraz z ograniczonymi do praktycznie zera powiadomieniami wystarcza mi na 2 pełne dni pracy. I tak, to nie tydzień czy dwa jak u konkurencji, ale ładowanie od około 20% do 100% zajmuje w tym modelu mniej, niż trwa mój prysznic. Śpię z tym zegarkiem, biegam z nim i ćwiczę co najmniej raz dziennie, i nadal na palcach jednej dłoni mogę policzyć dni, w których na ładowarkę trafił z mniej niż 15% baterii. Czy jest tak pięknym zegarkiem jak nieodżałowany model ze stali nierdzewnej? Nie jest i nie będzie, bo ma inne przeznaczenie. Czy wolalbym, aby był nieco mniejszy? Tak. Czy jest idealny? Nie, ale dla mnie jest obecnie jedynym wyborem. I tak być nie powinno.

Drodzy producenci, zaczniście robić zegarki, które do obsługi nie będą wymagały przewodowych połączeń, nauki Waszych autorskich rozwiązań czy doinstalowywania rozmaitych obejść rodem z czasów Windows XP. Konkurencja na tym rynku w kontekście wygody jest absolutnie konieczna!





KRZYSZTOF KOŁACZ
@kolaczkrzysztof

Neo nie zabił portfolio Apple, ale rynek konkurencji już może

Obejrzałem ostatnio wyjątkowo długi i wylewny wywiad z Johnem Ternusem (szefem inżynierii sprzętu w Apple) oraz Gregiem „Joz” Joswiakiem (szefem marketingu), którego udzielił dla kanału Tom's Guide. Jeżeli ktoś zastanawia się jeszcze, dlaczego MacBook Neo nie stanowi zagrożenia dla innych komputerów w portfolio tej firmy, za to stanowi ogromne dla szerokiego rynku PC – polecam również to zrobić. Tymczasem spieszę z kilkoma faktami, które liderzy Apple zostawili nam w tym wywiadzie.





Nazwa

Dlaczego Neo?

Joz odpowiedział wprost:

„Mogliśmy po prostu nazwać go MacBook. Ale to pozbawiłoby go tożsamości. Chcieliśmy czegoś krótkiego i chwytliwego, co pasuje obok Air i Pro, a jednocześnie przekazuje jego nowość. Neo dosłownie oznacza nowy, reinwencję. I to właśnie jest reinwencja taniego, wysokowartościowego laptopa”.

W przypadku Apple to nie jest pierwszy raz, gdy firma Tima Cooka nie wchodzi na jakiś rynek jako pierwsza, ale jako ostatnia. Za to robiąc to, dosłownie wywołuje bezsenność u konkurencji, która zasiedziała się na tym rynku od ładnych paru lat. Neo nie jest tanim, plastikowym i słabym laptopem. Jest MacBookiem – obiektem konsumenckiego pożądania od lat – tyle że teraz w cenie niższej (względem jakości wykonania i mocy, którą oferuje razem wziętych) niż konkurencja.

„Zobaczyliśmy tu okazję, by dotrzeć do znacznie, znacznie większej liczby osób niż kiedykolwiek wcześniej. Jest solidny, niezawodny, trwały. To wszystko, czego chcesz od Maca. I ta niesamowita cena” – powiada John Ternus.

Cele i misja

„Steve mówił o Macu jako rowerze dla umysłu. Od samego początku wizja była prosta: uczynimy komputery osobiste dostępnymi dla jak

„Od samego początku wizja była taka: uczynimy komputery osobiste dostępnymi dla jak największej liczby osób. Mieliśmy zespół ludzi, którzy byli tak podekscytowani możliwością przyniesienia doświadczenia Maca znacznie większej liczbie osób”.



największej liczby osób. To była misja MacBooka Neo” – mówi Ternus, przyszły CEO Apple, który urząd obejmie 1 września. Skoro to było tak proste i filozofia, o której tutaj wspomina, sięga nawet czasów Jobsa, dlaczego tak długo zwlekali?

„Poprzeczka jest wysoko. Nie chcieliśmy tego robić, dopóki nie mogliśmy zrobić tego naprawdę, naprawdę dobrze i zbudować Maca, z którego bylibyśmy dumni [...] Produkty w tej przestrzeni, z którymi Neo konkuruje, są z plastiku. Dostłownie możesz je wyginać. Są tak tanie, bo co zrobili? Po prostu cięli koszty wszędzie. To zupełnie inny cel niż nasz: niższa cena przy wysokiej wartości”.

„Nigdy nie chcemy wysyłać śmiecia. Chcemy dostarczać świetne produkty z doświadczeniem i jakością Apple. A żeby to osiągnąć z Neo, musieliśmy stworzyć coś zupełnie nowego od podstaw”.

Apple nie chciało oferować klientom – cytując tym razem Steve'a Jobsa – „kupy gówna” – za 3000 zł. Ternus ujmuje to w 2026 roku w następujących słowach:

„Nigdy nie chcemy wysyłać śmiecia. Chcemy dostarczać świetne produkty z doświadczeniem i jakością Apple. A żeby to osiągnąć z Neo, musieliśmy stworzyć coś zupełnie nowego od podstaw”.

Mac to nie iPad, a w portfolio są inne komputery i mają się dobrze

W wywiadzie zapytano liderów Apple także o kwestię iPada, który od lat wydaje się upodabniać do Maca. iPadOS 26 jest tego najlepszym dowodem. Pomimo tych podobieństw stanowisko Apple pozostaje w tej kwestii niezmiennie:



Nadal mamy MacBooka Air, MacBooka Pro. Projektując Neo, musieliśmy iść na ustępstwa, ale w mądry sposób. Zostawiając fundamenty, czyli to, z czym kojarzy się Mac od dekad.

„Będziemy robić najlepszego iPada, jakiego możemy. Będziemy robić najlepszego Maca, jakiego możemy. Nigdy nie było żadnego pomysłu, żeby te dwie rzeczy ze sobą połączyć”.

A jeżeli dla kogoś Neo jest za słaby?

„Nadal mamy MacBooka Air, MacBooka Pro. Projektując Neo, musieliśmy iść na ustępstwa, ale w mądry sposób. Zostawiając fundamenty, czyli to, z czym kojarzy się Mac od dekad. Genialny ekran, klawiaturę, na której wygodnie się pisze, i bezkonkurencyjny gładzik, a do tego jakość wykonania, która po prostu wyprzedza konkurencję”.

I to jest chyba ostateczna odpowiedź na pytania tych wszystkich osób z technologicznej bańki pro userów Apple, którzy zarzucają Neo brak podświetlanej klawiatury czy szybszych portów. To nigdy nie miał być komputer dla nich.

Neo to dopiero początek, co przy końcu rozmowy John Ternus potwierdził tymi słowami:

„Od samego początku wizja była taka: uczynimy komputery osobiste dostępnymi dla jak największej liczby osób. Mieliśmy zespół ludzi, którzy byli tak podekscytowani możliwością przyniesienia doświadczenia Maca znacznie większej liczbie osób”.

Być może dlatego o premierze Neo można było usłyszeć w telewizji śniadaniowej, przeczytać w nietechnologicznej prasie i usłyszeć od koleżanki czy kolegi, którzy zawsze myśleli, że Apple jest dla bogaczy.





PIOTR WDOWIAK
@P_Wdowiak

Koniec snobizmu? Jak Generacja Z zmienia język i kulturę picia wina

Jeszcze niedawno świat wina przypominał zamknięty klub. Żargon sommelierów, degustacyjne rytuały i ceny, które skutecznie odstraszały początkujących, tworzyły aurę ekskluzywności. Dziś, choć ceny najlepszych win idą do góry, model ten zaczyna się chwiać – i to nie przez kryzys gospodarczy, lecz przez zmianę pokoleniową. Generacja Z wchodzi do gry i robi to po swojemu: bez kompleksów, bez nabożności i bez cierpliwości do snobizmu.



Według raportu IWSR (International Wine and Spirits Research) z 2024 roku aż 73% konsumentów z pokolenia Z deklaruje, że wino powinno być „łatwe do zrozumienia”, a nie „eksperckie”. To nie jest drobna korekta stylu komunikacji – to fundamentalna zmiana oczekiwań wobec całej kategorii. W świecie TikToka i Instagrama opisy typu „nuty czarnej porzeczki z subtelnym finiszem tytoniu” przegrywają z prostym: „to smakuje jak wakacje”.

Jeszcze bardziej wymowne są dane Wine Intelligence (2023), według których ponad 60% młodych dorosłych (21–27 lat) czuje się onieśmiałych tradycyjnym językiem wina. To oznacza, że klasyczny model komunikacji nie tylko nie przyciąga – on aktywnie wyklucza. A Gen Z nie ma zamiaru się do niego dostosowywać.

Zamiast tego tworzy własny kod. Wino przestaje być „degustowane”, a zaczyna być „testowane”. Zamiast ocen punktowych pojawiają się reakcje emocjonalne. Zamiast hierarchii apelacji – rekomendacje influencerów. Na platformach społecznościowych królują krótkie, bezpośrednie komunikaty: „tanie, dobre, do pizzy” albo „dziwne, ale fajne”. Czy to splotenie? Być może. Ale też demokratyzacja.

Co istotne, zmiana języka to tylko część szerszego zjawiska. Gen Z zmienia również sposób podejmowania decyzji zakupowych. Raport NielsenIQ (2024) pokazuje, że 54% przedstawicieli tej generacji wybiera alkohol na podstawie jego „dopasowania do stylu życia”, a nie prestiżu marki. W praktyce oznacza to, że historia chateau czy liczba punktów od krytyków mają mniejsze znaczenie niż to, czy wino „pasuje do mnie” – mojego wieczoru, znajomych czy nastroju.

**Wino przestaje być „degustowane”, a zaczyna być „testowane”.
Zamiast ocen punktowych pojawiają się reakcje emocjonalne.
Zamiast hierarchii apelacji – rekomendacje influencerów. Na
platformach społecznościowych królują krótkie, bezpośrednie
komunikaty: „tanie, dobre, do pizzy” albo „dziwne, ale fajne”.**



W tym nowym świecie ogromną rolę odgrywa także wizualność. Etykieta, kolor, forma podania – wszystko to staje się częścią doświadczenia. Wino musi dobrze wyglądać na zdjęciu, ale też wpisywać się w estetykę codzienności. Stąd rosnąca popularność win w puszkach, lekkich butelek czy minimalistycznych projektów graficznych. To nie tylko marketing – to odpowiedź na sposób konsumowania treści przez młodsze pokolenia.

Liczy się autentyczność. Dlatego tak dobrze radzą sobie wina naturalne, niefiltrowane, często opisywane jako „dziwne”, „funky” czy wręcz „zepsute” – ale szczerze. Paradoksalnie, to właśnie brak perfekcji staje się wartością. Segment win naturalnych rośnie rocznie o około 10–12%, głównie dzięki młodszym konsumentom. W tych winach nie chodzi wyłącznie o smak, ale o historię, proces i wartości. Transparentność produkcji staje się równie ważna jak aromat.

Liczy się autentyczność. Dlatego tak dobrze radzą sobie wina naturalne, niefiltrowane, często opisywane jako „dziwne”, „funky” czy wręcz „zepsute” – ale szczerze. Paradoksalnie, to właśnie brak perfekcji staje się wartością. Segment win naturalnych rośnie rocznie o około 10–12%, głównie dzięki młodszym konsumentom.

Jednocześnie młodzi konsumenci coraz częściej ograniczają spożycie alkoholu. Według danych IWSR z 2024 roku ponad 30% przedstawicieli Gen Z deklaruje, że aktywnie redukuje ilość spożywanego alkoholu, wybierając okazjonalność zamiast regularności. To oznacza, że kiedy już sięgają po wino, oczekują czegoś więcej niż „poprawności” – chcą doświadczenia, które ma sens.

Gen Z redefiniuje też okazje do picia wina. To już nie jest napój zarezerwowany na kolację czy specjalne wydarzenie. Ponad 40% konsumentów



...język wina się zmienia – i nie ma od tego odwrotu. Producenci, którzy nadal mówią wyłącznie do wąskiego grona wtajemniczonych, ryzykują utratę całego pokolenia klientów. A ci, którzy odważą się mówić prościej, bardziej bezpośrednio i mniej pompatycznie, mogą odkryć, że wino nie musi być trudne, by było dobre.

w wieku 18–25 lat pije wino w sytuacjach nieformalnych – np. podczas spotkań towarzyskich czy oglądania seriali. Wino schodzi z piedestału i trafia na kanapę.

Ciekawym efektem ubocznym tej zmiany jest rosnąca rola rekomendacji społecznościowych. Zamiast ekspertów młodzi konsumenci ufają „ludziom takim jak oni”. Krótkie recenzje na TikToku czy Instagramie mają często większy wpływ niż profesjonalne przewodniki. To przesunięcie autorytetu – od instytucji do społeczności.

Czy to oznacza koniec snobizmu? Niekoniecznie. Snobizm ma zdolność adaptacji – być może przeniesie się do nowych nisz, nowych kategorii, nowych kodów. Już dziś widać załączki „antysnobizmu jako nowego snobizmu”: znajomość małych, niszowych producentów czy win naturalnych bywa równie ekskluzywna jak kiedyś wiedza o Bordeaux.

Jedno jest jednak pewne: język wina się zmienia – i nie ma od tego odwrotu. Producenci, którzy nadal mówią wyłącznie do wąskiego grona wtajemniczonych, ryzykują utratę całego pokolenia klientów. A ci, którzy odważą się mówić prościej, bardziej bezpośrednio i mniej pompatycznie, mogą odkryć, że wino nie musi być trudne, by było dobre.

Bo może największą rewolucją Gen Z nie jest to, co piją – ale to, jak o tym mówią. I komu pozwalają się do tej rozmowy włączyć.





rekomendowany przez
iMAGAZiNE

PODCAST

INNA KULTURA

Kultura to my, i to, jacy jesteśmy.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine



Apple TV

Terapia bez trzymanki – sezon 3

Bill Lawrence to człowiek, który wie, jak pożegnać się z bohaterami, których kochasz i który ma serce, żeby tego nie zrobić. Lata temu, przy okazji „Hożych doktorów”, udowodnił, że szpital może być metaforą całego życia, miejscem, gdzie między śmiercią a komedią nie ma wcale tak grubej ściany, jak nam się wydaje.





„Terapia bez trzymanki”, którą Lawrence współtworzył z Jasonem Segelem i Brettem Goldsteinem, ma w sobie dokładnie tego samego ducha – dysfunkcyjni ludzie, którzy kochają się nawzajem w sposób nieporadny, bolesny i absolutnie prawdziwy, a humor nie jest tu tarczą przed emocjami, lecz językiem, w którym emocje się wyrażają. Trzeci sezon miał być pożegnaniem. I jest – tyle że pożegnaniem, które nie chce być pożegnaniem do końca.

Pierwotny plan zakładał trzy etapy: żalobę, przebaczenie, ruszanie naprzód. Trzeci sezon jest skrojony pod to domknięcie prawie idealnie, a każda postać wchodzi w ten finałowy akt ze swoim nierozwiązanym rachunkiem z przeszłością. Jimmy Laird (Jason Segel) od pewnego czasu teorię ruszania naprzód zna na pamięć – stosuje ją wobec pacjentów z godną pozazdrosczenia precyzją, równocześnie omijając ją w swoim własnym życiu szerokim łukiem. Jego córka Alice szykuje się do wyjazdu na studia, Paul rozważa emeryturę, Brian zostaje ojcem, Gaby dojrzewa do czegoś, czego się bała, a Sean buduje życie i przestaje potrzebować domku przy cudzym basenie. Serial w tym sezonie mówi wprost: zmiana jest nieuchronna, a jedyne, co możesz zrobić, to zdecydować, czy wyjdiesz jej naprzeciw, czy dasz się przez nią zmieść. Nie jest to przestanie odkrywcze. Ale „Terapia bez trzymanki” potrafi je opowiedzieć tak, że naprawdę nas to zabolę – we właściwym znaczeniu tego słowa.



Harrison Ford jest w tym sezonie czymś więcej niż punktem centralnym. Jest jego kręgosłupem. Paul Rhoades z postępującą chorobą Parkinsona, myślał o emeryturze i coraz wyraźniej odliczanym czasem mógł być zagrany na wzruszenie, na wywołanie łzy z obowiązku, na emocjonalny gest w stronę widza. Ford gra go odwrotnie: przez powściągliwość, przez drobne pęknięcia w fasadzie, które pojawiają się rzadko i właśnie dlatego niszczą. Scena, gdy Paul siedzi przy kuchennym stole i wskazuje na postać, której żona nie widzi, a potem dociera do niego, że to halucynacja, jest zbudowana z ciszy i jednego spojrzenia, i robi więcej niż jakakolwiek melodramatyczna przemowa. Do wątku Parkinsona dołączył w tym sezonie Michael J. Fox. Napisałbym, że to odważna decyzja obsadowa, ale byłoby to mocne niedopowiedzenie – to jest decyzja o całkowicie innej wadze. Fox żyje z tą chorobą od dekad, jest jej twarzą publicznie, od lat zbiera fundusze na badania i od dawna mówi o niej bez patosu. Widzieć go na ekranie w roli napisanej z taką wrażliwością, w roli kogoś, kto na chorobę reaguje inaczej niż Paul, łagodniej, z innym rodzajem akceptacji – to coś, co samo w sobie wykracza poza recenzję aktorską.





Wątek Paula jest też pretekstem do jednego z najciekawszych zestawień, jakie serial serwuje w tym sezonie: biologicznego ojca Jimmy'ego z ojcem wybranym. Randy (Jeff Daniels) przybywa w odwiedzinach z bagażem uroku i destrukcji w równych proporcjach i jest dokładnie tym, czym bywa nieobecny rodzic, gdy w końcu się pojawia – rozbijając sympatyczny, szczerze nieświadomy wyrządzonej krzywdy i absolutnie niezdolny do zmiany. Daniels gra to z wdziękiem, który czyni Randy'ego trudnym do znienawidzenia nawet wtedy, gdy na to całkowicie zasługuje, i właśnie ta niejednoznaczność jest tutaj najcenniejsza. Paul tymczasem przez większą część sezonu sam zachowuje się jak emocjonalnie niedostępny rodzic – wycofuje się, traktuje Jimmy'ego jak pacjenta zamiast jak kogoś bliskiego, tworzy dystans wtedy, gdy dystans najbardziej boli. I dopiero gdy kolejni ludzie z jego otoczenia mówią mu wprost, że postępuje jak idiota, coś w nim pęka. Finałowa sekwencja, w której Paul wraca z Connecticut, żeby powiedzieć Jimmy'emu, że go kocha jak syna, jest tak dobra właśnie dlatego, że serial przez cały sezon na nią pracował.

Trzeci sezon robi też coś, czego poprzednie nie robiły tak konsekwentnie – sprawia, że naprawdę zależy mi na postaciach, które przez dwa sezony były tłem dla Jimmy'ego. Liz i Derek dostają bardzo dużo przestrzeni:



zawał, relacja z powracającym do domu synem, plany podróży, gdy oboje wiedzą już, że czas nie jest z gumy. Christa Miller w scenach z synem jest rewelacyjna w sposób, który przez dwa sezony można było przeoczyć, bo Liz jako postać scharakteryzowana była przez swoją dominację, przez nieomyślność, którą sobie przypisywała. Tutaj ta zbroja pęka i widać pod nią kogoś, kto boi się, że nie był wystarczająco dobrą matką. Brian (Michael Urie) wchodzi w ojcostwo z energią człowieka, który przez całe życie bał się tego kroku i gra tę niespodziewaną dojrzałość tak, że nie tylko w nią wierzę – czuję, że na nią zasłużył. Gaby (Jessica Williams) dostaje zaś najodważniejszy wątek ze wszystkich: śmierć podopiecznej, wypalenie, chwilowe porzucenie pracy, a w finale propozycja małżeńska złożona na własnych warunkach, w stylu, który mógł być karykaturą, a okazał się jedną z najprawdziwszych scen sezonu. Williams przez całą serię grała Gaby jako kogoś, kto szczęście trzyma zawsze trochę na dystans, jakby bała się, że jeśli w nie uwierzy, zniknie. Trzeci sezon to historia o tym, jak ta odległość się zmniejsza, i aktorka rozgrywa to z subtelnością, która nie zawsze dostaje tyle uwagi, na ile zasługuje.





Uczciwie muszę powiedzieć, że środkowe odcinki sezonu wyraźnie tracą tempo. Na tle drugiego, który przez całe swoje trwanie wiedział dokładnie, dokąd zmierza, czuć, że kilka epizodów środkowych markuje akcję zamiast ją posuwać. To nie jest wada, która psuje odbiór, ale wada, której nie da się nie zauważyć. Serial Lawrence'a zawsze pozwalał sobie na oddech, ale w sezonie drugim to oddychanie było bardziej rytmiczne. Tutaj zdarzają się chwile, gdy oglądasz ze spokojem, ale bez poczucia, że cokolwiek naprawdę ważnego się dzieje, i gdyby ktoś powiedział mi, że pominął odcinek piąty i szósty, nie byłbym w stanie twierdzić, że dużo stracił. Nierówno wypada też Marisol w wątku Seana – postać, której obecność zostawia mnie z pytaniem, co twórcy właściwie chcieli tą relacją powiedzieć, i której wątek jest chyba jedynym w sezonie, który chętnie oddałbym pod nóż montażysty.

Zostaje też kwestia granic zawodowych Jimmy'ego, o których piszę z pewnym zmęczeniem, bo to już trzeci sezon, w którym zastrzeżenie jest dokładnie to samo. Serial regularnie pokazuje naruszenia etyki



zawodowej, po czym natychmiast z tych naruszeń korzysta jako mechanizmu fabularnego, i ta nieprzystawalność, która w sezonie pierwszym była prowokacją, w trzecim jest po prostu wygodnictwem. Jimmy wchodzi w życie pacjentów, pacjenci wchodzą w życie Jimmy'ego, wszystko się miesza i wszystko jakoś kończy dobrze, ale nigdy nie ma poczucia, że serial naprawdę skonfrontował się z tym, co sam podnosi. To drobiazg na tle wszystkiego, co ten sezon robi dobrze, ale drobiazg, który po trzech sezonach przestaje być drobnym.

Finałowy odcinek jest jednak na tyle piękny, że wszelkie zastrzeżenia bledną w jego cieniu. To jeden z najlepiej napisanych epizodów w całej serii, i właśnie dlatego żałuję tylko jednego: że nie będzie mógł zostać tym, czym powinien być – ostatnim słowem w historii Jimmy'ego. Twórcy i Apple zdecydowali, że będzie czwarty sezon, ogłoszono to jeszcze przed premierą trzeciego i siedzę z tym jak z wiadomością, która jest jednocześnie dobra i trochę rozczarowująca. Bo kiedy Paul mówi Jimmy'emu, że bliźni są dowodem życia, że wstyd byłoby nie być nimi pokrytym, a Jimmy wstaje i idzie do Sofi, to brzmi jak koniec. Nie domknięcie fabuły, ale coś głębszego: koniec historii o człowieku, który przez trzy lata uczył się żyć po stracie. I właśnie dlatego decyzja o kontynuacji trochę boli, szczególnie jeśli finał tego sezonu okazał się tak dobry.



Trzeci sezon „Terapii bez trzymanki” jest bardzo dobrym serialem, który miał być wielkim finałem i któremu na to nie pozwolono. To, co dostaliśmy, jest porównywalne z sezonem pierwszym – ciepły, dowcipny, emocjonalnie uczciwy, ale nie dorównuje drugiemu, który przez całe swoje trwanie wiedział dokładnie, dokąd zmierza. Tutaj ta pewność pojawia się w pełni dopiero w ostatnich odcinkach, a wcześniej serial chwilami chodzi w kółko, szukając pretekstu do scen, które samo życie tych postaci i tak by przyniosło. Zobaczymy, co przyniesie czwarty sezon; ufam Billowi Lawrence'owi, ale pamiętam też, czym był dziewiąty sezon „Hożych doktorów”. Ostrożny optymizm to chyba najuczciwsze podsumowanie stanu, w jakim ten serial mnie zostawia.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Ocena iMagazine

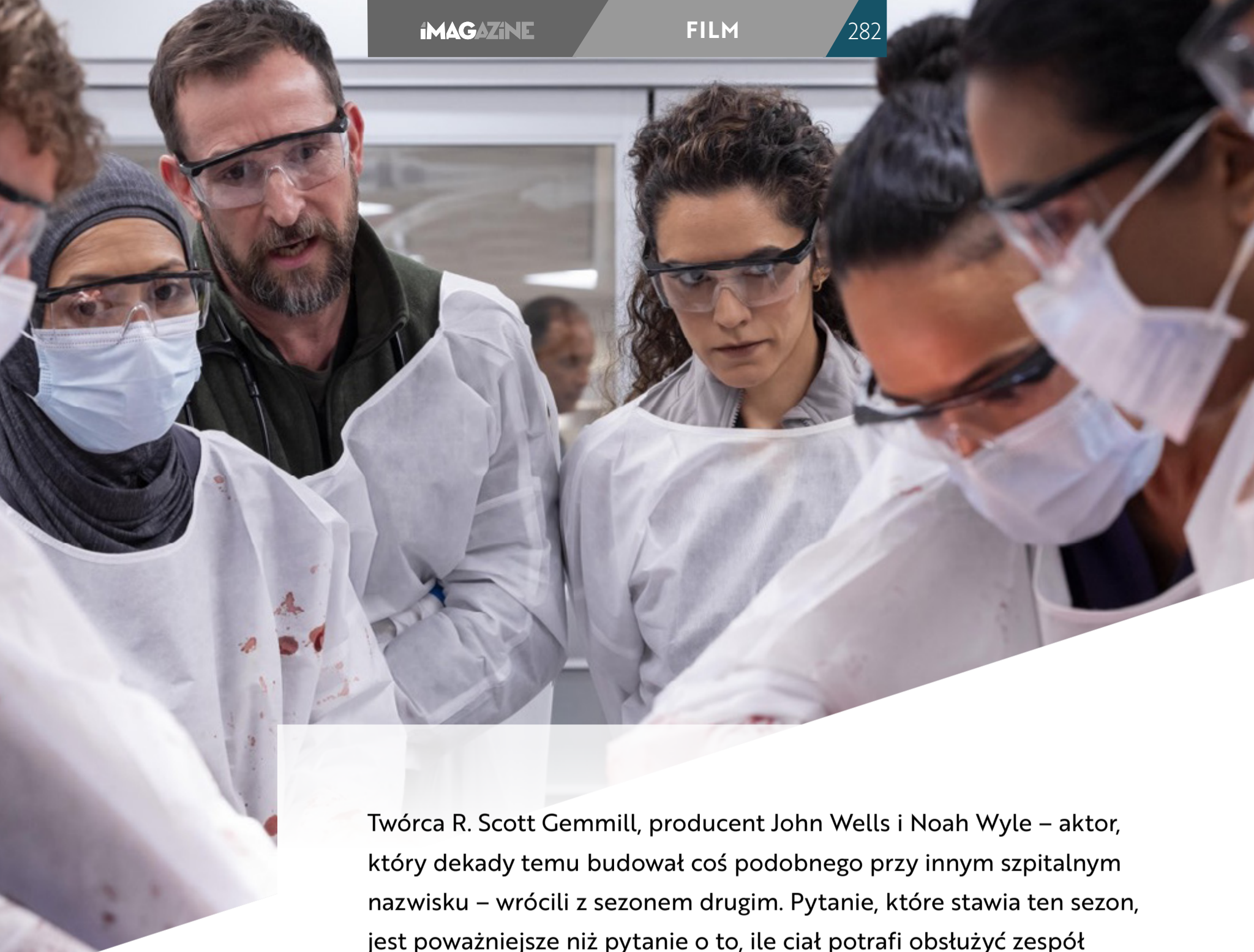


HBOmax

The Pitt – sezon 2

Piętnaście godzin. Tyle trwa jedna zmiana w oddziale ratunkowym Pittsburgh Trauma Medical Center i tyle trwa jeden sezon „The Pitt” – serialu, który w swoim debiucie rok temu zrobił coś, co wydawało się niemożliwe: sprawił, że medyczny dramat, gatunek totalnie wyeksploatowany, jak się zdawało, dostał nowe życie.





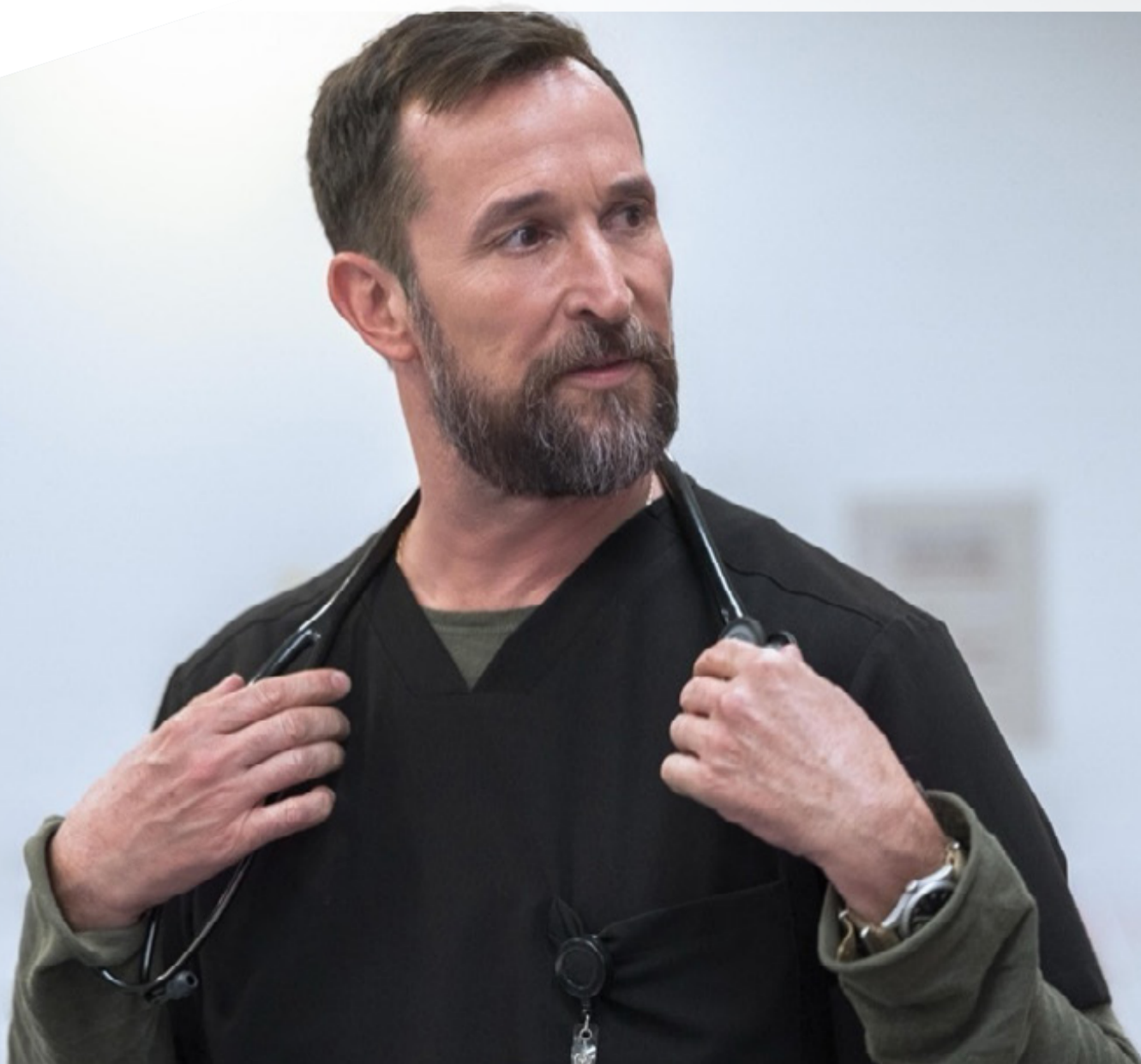
Twórca R. Scott Gemmill, producent John Wells i Noah Wyle – aktor, który dekady temu budował coś podobnego przy innym szpitalnym nazwisku – wrócili z sezonem drugim. Pytanie, które stawia ten sezon, jest poważniejsze niż pytanie o to, ile ciał potrafi obsłużyć zespół w godzinę. To kwestia tego, co dzieje się z człowiekiem, który przez lata stoi po stronie życia – i czy da się z tego wyjść cało?

Akcja nowych odcinków rozgrywa się 4 lipca. Dzień Niepodległości jako sceneria nie jest przypadkiem, choć serial ma na tyle wyczucia, żeby nie zamieniać tego w lekcję wychowania obywatelskiego. Gdzieś w tle migają flagi, przez okno słychać race, a na izbę przyjęć trafia pacjent z flagą Stanów Zjednoczonych wbity w mostek – scena, przy której można się śmiać, można poczuć dyskomfort, można uznać za zbyt oczywistą. Ja uważam, że twórcy wiedzą dokładnie, co robią, i że granica między oczywistością a precyzją jest tu celowo rozmyta. W każdym razie to nie szpital jest w tym sezonie metaforą Ameryki – to Ameryka jest metaforą szpitala. Miejsca, gdzie systemy pękają dokładnie wtedy, gdy ktoś ich najbardziej potrzebuje, gdzie nikt nie ma czasu ani zasobów, a mimo to ktoś nieustannie wstaje i idzie do następnego pacjenta.



Tym razem nie ma tu jednego kataklizmu. Jest za to coś, co okazuje się dramatycznie trudniejsze do uchwycenia w serialu: nawarstwianie. Awaria systemu informatycznego po ataku hakerskim zmusza personel do powrotu do papierowych kart. Pobliski szpital przejęty przez szantażystów wysyła swoich pacjentów do już przepelnionego Pitt. Wypadek w parku wodnym zapowiada falę poszkodowanych, która ostatecznie nie staje się apokalipsą, ale każdą kolejną godziną dokłada cegiełkę do i tak już chybliwej konstrukcji. Jeśli pierwszy sezon był sprintem, drugi jest maratonem po górach w pełnym słońcu. I właśnie to – wytrwałość zamiast adrenaliny, trwanie zamiast widowiska – jest tym, co sprawia, że ten sezon jest w pewnych aspektach dojrzalszy niż poprzedni, choć nie we wszystkich.

Centralnym dramatem jest stan psychiczny doktora Michaela „Robby-ego” Robinavitcha, granego przez Wyle'a z rosnącą intensywnością, która w finale przekracza wszelkie bariery kontroli. Robby zaczyna zmianę już wyraźnie pęknięty, a kończy ją jako ktoś, kto musi podjąć decyzję o fundamentalnym charakterze – czy chce żyć. To brzmi banalnie, jeśli streścić w jednym zdaniu, ale serial buduje ten wątek z konsekwencją,





która jest imponująca. Robby staje się coraz bardziej destrukcyjny wobec otoczenia: wyżywa się na pielęgniarkach, naraża rezydentów na niepotrzebne ryzyko, zachowuje się jak ktoś, kto dawno stracił zdolność oddzielenia własnej rany od ran pacjentów. To bez wątpienia wstrząsający portret wypalenia zawodowego i pasywnych myśli samobójczych, które niepostrzeżenie zaczynają przybierać formę aktywną.

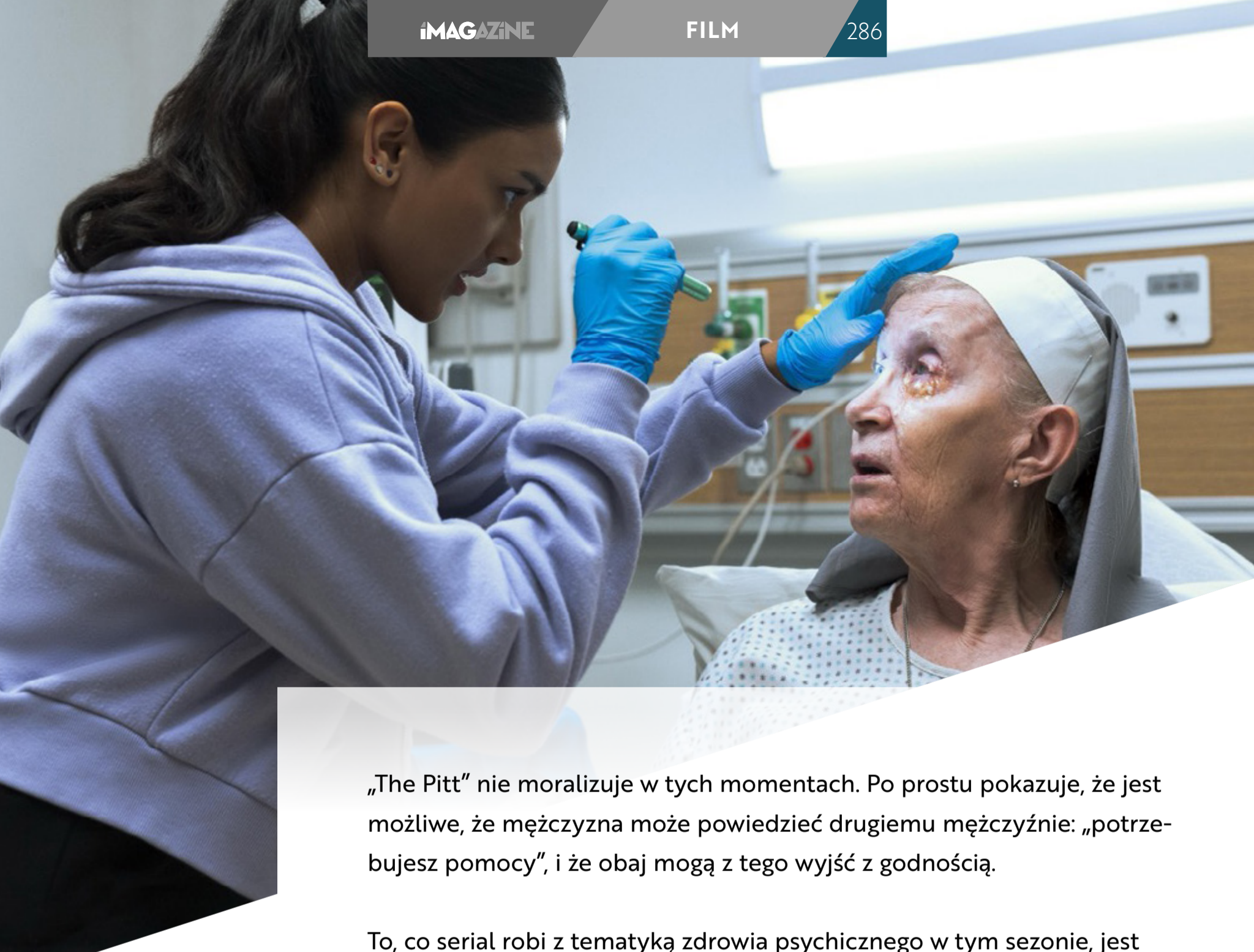
Mam jednak wobec tej linii narracyjnej poważne zastrzeżenie – a właściwie dwa, bo są ze sobą powiązane. Wyle bywa w tym sezonie mniej subtelny niż w pierwszym, a emocjonalne momenty – choć sprawnie odegrane – mają miejscami smak czegoś nazbyt starannie przygotowanego. To nie dyskwalifikuje jego pracy, bo finałowy monolog skierowany do porzuconego niemowlęcia należy do najpiękniejszych rzeczy, jakie widziałem w telewizji w tym roku. Ale jest rozbieżność między tamtą sceną a niektórymi wcześniejszymi, i ta rozbieżność jest zauważalna. Drugie zastrzeżenie: twórcy miejscami zbyt chętnie zamieniają resztę obsady w dramatyczne narzędzie Robby'ego, zapominając, że mają do dyspozycji jedną z najlepiej skonstruowanych grup aktorskich na małym ekranie. Postacie takie jak doktor Mohan czy McKay zasługiwały na własne opowieści, a nie na rolę lustra, w którym przegląda się kryzys głównego bohatera.



Bo kiedy „The Pitt” pamięta, że jego siłą jest zespół, jest po prostu nieporównywalny. Sepideh Moafi jako doktor Al-Hashimi to odkrycie sezonu: kompetentna, ciepła, złożona i stopniowo ujawniająca własną kruchość, której nie widać za pierwszym razem. Jej ostatnia scena w finale, gdy siedzi samotnie w samochodzie na parkingu i po prostu się rozpada, jest niepokojąco piękna w swojej bezradności i całkowicie zasługuje na osobny serial. Patrick Ball jako Langdon i Taylor Dearden jako Mel to z kolei dowód, że ciągłość fabularna się opłaca: oboje dostali własne wątki, odpowiednio – wychodzenie z uzależnienia i relacja z chorą siostrą – i ta przestrzeń sprawia, że ich obecność zyskuje na gęstości. Scena, w której Langdon mówi Robby'emu wprost, co o nim myśli – twardo, bez agresji, z troską – jest jednym z tych momentów, gdy serial uwalnia postać trzymaną zbyt długo na smyczy narracyjnej, i Ball robi z tego coś absolutnie znakomitego.

Shawn Hatosy jako doktor Abbot z nocnej zmiany jest z kolei objawieniem innego rodzaju. Jest w tej roli coś pogodnego i surowego jednocześnie – coś, czego Robby'emu wyraźnie brakuje – i rozmowy między nimi należą do najlepszych scen sezonu, bo brzmią jak prawdziwe. Jak te rozmowy, których większość mężczyzn nigdy nie odbywa, a powinna.





„The Pitt” nie moralizuje w tych momentach. Po prostu pokazuje, że jest możliwe, że mężczyzna może powiedzieć drugiemu mężczyźnie: „potrzebujesz pomocy”, i że obaj mogą z tego wyjść z godnością.

To, co serial robi z tematyką zdrowia psychicznego w tym sezonie, jest naprawdę rzadkie na tle telewizyjnych standardów. Depresja, wypalenie, samookaleczenie, traumatyczny stres pourazowy – wszystko to jest tu pokazane nie jako dramatyczny element do jednorazowego wykorzystania, ale jako diagnoza całego środowiska. Santos ma bliźnię po samookaleczeniu. Dana Evans nosi nieprzepisany lek uspokajający jak talizman. Mohan dostaje ataku panicznego w trakcie zmiany. Robby ma myśli samobójcze, które powoli z pasywnych stają się aktywne. To nie ozdobniki – to portret miejsca, gdzie praca z ludzkim bólem z czasem staje się niemożliwa do oddzielenia od własnego bólu, i gdzie nikt nie ma ani czasu, ani przyzwolenia, żeby o tym powiedzieć głośno.

Polityczny wymiar sezonu jest obecny i dobrze wyważony. Wątek agentów imigracyjnych wkraczających na izbę przyjęć i wywożących pielęgniarkę, który ośmielił się stanąć w obronie zatrzymanej, ma w sobie autentyczne napięcie i logicznie rozchodzi się po reszcie sezonu. Równie mocna jest historia pacjenta, który opuszcza szpital z zagrożeniem życia,



bo boi się długu, który go zmiażdży i który bierze połowę przepisanej dawki insuliny, żeby oszczędzić pieniądze, a swojej rodzinie o tym nie mówi. Można to nazwać dydaktycznym. Można to też nazwać prawdziwym. Dla mnie to drugie określenie jest celniejsze.

Drugi sezon „The Pitt” nie jest doskonały i warto o tym wiedzieć z góry, żeby nie rozczarować się tym, czego nie ma, zamiast docenić to, co jest. Brakuje jedności dramatycznej pierwszego sezonu, brakuje też tego rodzaju zbiorowego katharsis, które tamten finał nam zafundował. Miejscami Robby jest zbyt nachylony w kierunku nagrody, a obsada drugoplanowa zbyt łatwo spychana na margines jego kryzysu. Ale kiedy serial działa, a działa przez większość piętnastogodzinnego maratonu, robi to z precyzją i empatią, których próżno szukać w większości współczesnych dramatów medycznych. A ostatni obraz sezonu – dzienna zmiana na dachu szpitala, puszki piwa w dłoniach, milczące wpatrywanie się w fajerwerki nad Pittsburghiem – to jeden z tych telewizyjnych momentów, które zostają z człowiekiem długo. Nie dlatego, że są spektakularne. Dlatego, że są ciche, przepięknie zmęczeniem i całkowicie prawdziwe.





JAN URBANOWICZ
@yasiek_

Premiery streamingowe czerwiec 2026



Ranczo Duttonów

Pożar strawił wszystko, co znali. Rip i Beth Duttonowie pakują resztki życia i jadą do Teksasu, gdzie słońce wschodzi obietnicą, a zachodzi ostrzeżeniem. Rio Paloma to nowy start – ale Południe rządzi się własnymi prawami i własną hierarchią. Miejscowi gracze nie zamierzają ustąpić miejsca przybyszom, a tu nikt nie pyta o pozwolenie. Żywioł zabrał im ranczo, ale czy uda mu się zabrać coś więcej?

Premiera: 22.05

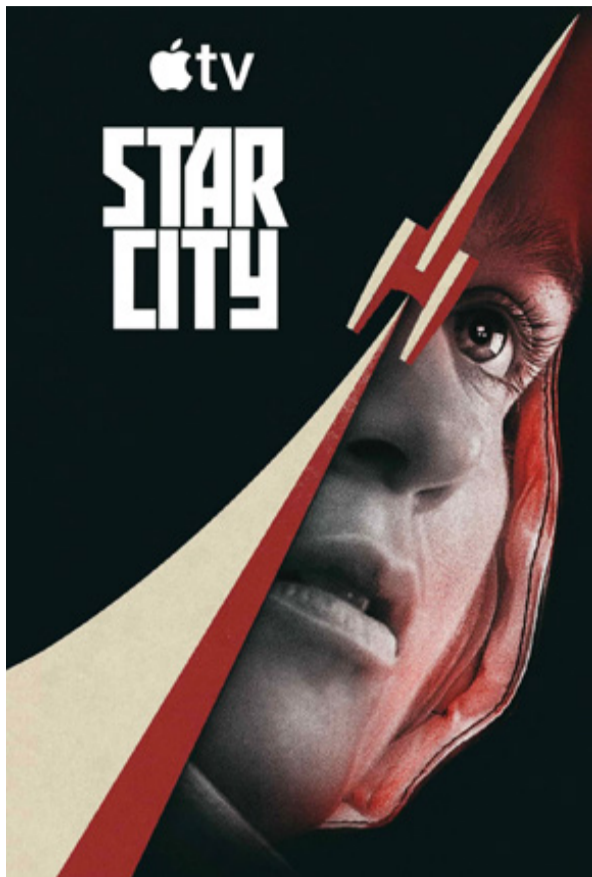


Jack Ryan: Ghost War

Jack Ryan wraca w filie pełnometrażowym – i tym razem wróg zna każdy jego ruch, zanim ten go wykona. Nowa odsłona serii stawia agentów CIA naprzeciwko przeciwnika, który operuje z ukrycia i gra na ich słabościach. Do tego dochodzi przeszłość, którą wszyscy uważali za zamkniętą. Thriller szpiegowski w najczystszej postaci. Może i znamy Ryana – ale czy znamy tego wroga?

Premiera: 20.05





Gwiezdne miasteczko

Co by było, gdyby to Rosjanie pierwsi stanęli na Księżycu? Spin-off „For All Mankind” przenosi nas za żelazną kurtynę i pokazuje radziecką misję kosmiczną od środka – jej kosmonautów, inżynierów i oficerów wywiadu, którzy grali o stawkę wyższą niż ktokolwiek chciał przyznać. Rhys Ifans, Adam Nagaitis i Josef Davies w obsadzie, alternatywna historia w najlepszym wydaniu. Wyścig kosmiczny nigdy nie wyglądał tak zimno i tak ekscytująco zarazem.

Premiera: 29.05

Spider Noir

Lata 30., Nowy Jork, jeden zmęczony życiem detektyw i cały bagaż, który woli nosić w ciemności. Ben Reilly grany przez Nicolasa Cage'a to człowiek, który był kiedyś bohaterem – i o tym najlepiej wie tylko on. Tragedia osobista każe mu zmierzyć się z przeszłością, której wolałby nie tykać. Klimaty noir, pajęczce supermoce i Cage w szczytowej formie: brzmi jak pomysł tak szalony, że po prostu musi zadziałać.

Premiera: 27.05





PAWEŁ WINIARSKI
@northazerate

Dlaczego duże firmy audio nie chcą iść pod prąd i zagrać na sentymencie?

Zastanawialiście się kiedyś, dlaczego duże, popularne firmy porzuciły sprzęty, które kiedyś stworzyły ich pozycję na rynku? Co stoi na przeszkodzie, by zaryzykować i kreować nowe-stare trendy? Zagrać na sentymencie na ogół się sprawdza, a jednak nikt takiego ryzyka nie podejmuje.



W lipcu 1979 roku japońskie Sony wprowadziło na rynek pierwszego Walkmana. Przenośny odtwarzacz kasetowy zapoczątkował nową kategorię sprzętu audio, cieszył się ogromną popularnością. W 2010 roku japoński koncern zakończył jednak produkcję i sprzedaż przenośnych kasetowych odtwarzaczy, choć to i tak były to końcówki serii WM z 2003 i 2004 roku, więc faktyczną śmierć można datować na kilka lat wcześniej. Mniej więcej w tym samym czasie zrezygnowali konkurenci – Aiwa, Panasonic i JVC. Miało to oczywiście bezpośredni związek ze słabnącą popularnością kaset magnetofonowych, wypartych zarówno przez płyty CD, jak i później przez odtwarzacza MP3. Sony jeszcze przez wiele lat sygnowało nazwą Walkman telefony komórkowe, których dodatkową funkcją miało być słuchanie muzyki oraz odtwarzacze plików. O śmierci marki Walkman można już jednak powiedzieć bez ogródek, na stronie polskiego Sony dostępne są w tej chwili tylko dwa odtwarzacze plików, oba kosztujące na tyle dużo, że moim zdaniem zostały tam już tylko jako ciekawostki, a nie sprzęt, który faktycznie znajduje swoich nabywców – ten rynek przejęli chińscy producenci i wygodnie się na nim rozgościli. Tańsze modele widnieją na stronie już tylko jako wpisy archiwalne, bez możliwości zakupu.

Co jakiś czas czytamy o powrocie CD, winyli, ale też i kaset magnetofonowych. Nie są to oczywiście predykcje mogące stanąć obok wyników sprzedaży sprzed lat, ale ogólny trend powrotu do fizycznych nośników muzyki jest więcej niż widoczny. Trochę przez aktualną modę, trochę przez przesyt wszechobecnym streamingiem audio i wideo. Sam testowałem zarówno przenośny odtwarzacz kaset, w którego powstaniu wzięła udział społeczność, fundując produkt w crowdfundingu, jak i pierwszy przenośny odtwarzacz kaset chińskiej firmy FiiO.





W obu przypadkach postawiono na retro, dodając oczywiście mniej lub więcej nowoczesnych bajerów, jednak cały design bazował na prostocie, był takim małym hołdem dla klasyki. Czy to były świetne sprzęty? Nie, były dobre, ale ich główny problem to zastosowanie dość prostych mechanizmów, które lata temu uznawano za bazowe. Cicho liczę, że oba produkty doczekają się wersji premium, czerpiących z topowych modeli Sony czy Panasonic, ale jeśli to ma nastąpić, to niech nastąpi, zanim wydam za dużo pieniędzy na któryś z retromodeli, na które nie mogłem sobie pozwolić za dzieciaka. Do tego oczywiście można znaleźć na Aliexpress czy Amazonie całą masę tanich przenośnych kaseciaków, ale, jak to z tego typu tanioczą bywa, raczej bym jej nie polecał.

I teraz wyobraźcie sobie, że Sony albo Panasonic postanawiają wznowić jakąś jedną z ciekawszych, topowych serii swoich odtwarzaczy kaset – myślę, że odzew retromaniaków byłby zdecydowanie większy niż w przypadku testowanych przeze mnie urządzeń. Obawiam się jednak, że ten scenariusz nie ma żadnych szans na to, by się urzeczywistnić.





To samo dzieje się z przenośnymi odtwarzaczami CD. Dostępna jest cała masa tanich sprzętów w chińskich sklepach i na Amazonie, ale czołowi producenci discmanów z dawnych lat w ogóle nie interesują się tematem, choć od lat mówi się o wzroście popularności płyt CD. I tu ponownie za temat bierze się chińskie FiiO, które wypuściło już dwa modele. Najpierw trochę nieśmiało „bazówkę”, niedawno ulepszony sprzęt napakowany technologiami, który poza odtwarzaniem płyt CD oferuje również funkcje DAC-a, który można podpiąć do komputera. W obu przypadkach dostaliśmy świetne urządzenia w rozsądnych pieniądzach, które sprawdzą się przenośnie, stacjonarnie, ale potrafią poratować też osoby tęskniące za odtwarzaczami CD w autach. I ponownie – Sony milczy, a przecież swego czasu robiło świetne discmany – a w zasadzie Discmany, bo, podobnie jak Walkman, to marki i nazwy własne Sony, które swojego pierwszego Discmana wprowadziło na rynek w 1984 roku.

Małą iskierką nadziei z obozu Sony są dwa nowe modele gramofonów, które japońska firma pokazała niedawno, choć nie sądzę, by namieszała nimi na rynku. Trochę się spóźnili, poza najpopularniejszymi producentami, którzy w ogóle nie zrezygnowali z wypuszczania nowych i sprzedawania starych modeli, pojawili się też debiutanci oferujący świetne urządzenia w różnych segmentach cenowych.



Wspomniałem o odtwarzaczach plików, czyli wciąż cyfrowej, ale alternatywie dla streamingu. Sam od jakiegoś czasu używam jednego z modeli chińskiego FiiO i mam z nim podobnie jak z przewodowymi słuchawkami IEM. Stał się moim głównym sprzętem do słuchania muzyki, nawet jeżeli nie są to pliki flac, ale utwory z serwisów streamingowych. Może i noszenie przy sobie kolejnego urządzenia nie jest wygodne, ale jakość audio i możliwości konfiguracji w pełni rekompensują tę niedogodność. A co z dużymi firmami, które kiedyś rządziły rynkiem przenośnego audio? Raczej nie sądzę, by Sony wypuściło kolejne playery, tym bardziej, że nie są już dostępne modele z tańszych serii. Nie powalczą więc o klienta, który ma dość bezprzewodowego audio i serwisów streamingowych. Oddali ten segment rynku chińskim producentom. A gdzie wspomniany Panasonic, Aiva i JVC? Milczą – czyżby wejście w takie sprzęty było na tyle drogie, że nie chcą podjąć ryzyka?

Jestem słuchaczem, który zaczynał od starego magnetofonu rodziców, potem miał swojego „jamnika”, małą miniwieżę, kolejną wieżę-combo świecąca z każdej możliwej strony. Przerobiłem walkmany, discmany, odtwarzacze MP3 i mam wrażenie, że zataczam koło, wracając do tego, co kiedyś było dla mnie codziennością, a dziś jest mocno zapomniane. A reedycję któregoś z topowych modeli Discmanów Sony kupiłbym w preorderze w ciemno, choć mój ponad 20-letni sprzęt tej firmy wciąż działa i nic nie wskazuje na to, by miało się to zmienić.





DOMINIK ŁADA
[@dominiklada](#)

Podcasty – wybór



Ekonomicznie

„Ekonomicznie” to podcast, który tłumaczy gospodarkę bez zbędnego żargonu i akademickiego dystansu. W przystępny sposób wyjaśnia zjawiska ekonomiczne, decyzje rządów i mechanizmy rynkowe, które wpływają na nasze codzienne życie. To dobry wybór dla tych, którzy chcą rozumieć pieniądze, inflację i świat finansów bez konieczności studiowania ekonomii.



Brzmienie Świata z lotu Drozda

„Brzmienie Świata z lotu Drozda” to podcast Pawła Drozda, który zabiera słuchaczy w podróż przez różne kultury, miejsca i historie ludzi z całego świata. To połączenie reportażu, rozmowy i radiowego kunsztu – spokojne tempo, świetna narracja i ogromna dbałość o detale. Idealny dla tych, którzy lubią słuchać świata uważnie i bez pośpiechu.





Z morderstwem im do twarzy

„Z morderstwem im do twarzy” to podcast true crime, który skupia się na sprawach kryminalnych i ich ludzkim wymiarze. Autorki opowiadają historie zbrodni w sposób uporządkowany, dbając o kontekst i szczegóły, ale unikając taniej sensacji. To propozycja dla tych, którzy szukają czegoś więcej niż tylko szoku – chcą zrozumieć, co stoi za przestępstwem.



Wahanie

„Wahanie” to podcast komediowy prowadzony przez Piotrka Szumowskiego i Abelarda Gizę – duet stand-uperów, który zamienia codzienne obserwacje w błyskotliwą, często absurdalną rozmowę. To swobodny format pełen dygresji, żartów i celnych spostrzeżeń o życiu, relacjach i rzeczywistości, która bywa bardziej komiczna niż jakikolwiek scenariusz. Idealny do słuchania, kiedy chcesz się po prostu pośmiać – bez spiny i bez zadęcia.





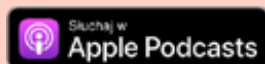
bo czemu nie?

PARTNER PODCASTU:

HAYB

REKOMENDOWANY PRZEZ:

iMAGAZiNE





MAŁGORZATA ŁADA

Zupa krem z zielonego groszku z jabłkiem



Skład:

- 500 g świeżego lub mrożonego groszku
- 2 kwaśne jabłka
- 1 średniej wielkości cebula
- 2 ząbki czosnku
- 1 łyżka masła klarowanego
- 1 litr bulionu drobiowego lub warzywnego
- 2–3 łyżki śmietany 30%
- można dodać trochę startego świeżego imbiru
- parę listków świeżej mięty
- sól, pieprz
- chrupiące grzanki

Cebulę drobno siekamy, czosnek kroimy w cienkie plasterki i podsmażamy delikatnie na maśle. Dodajemy obrane i pokrojone w kostkę jabłka i jeszcze przesmażamy przez kilka minut. Wsypujemy groszek (jeśli mamy mrożony, to dodajemy go bez rozmrażania) i zalewamy bulionem. Gotujemy 10–15 min, aż składniki będą miękkie.

Następnie całość miksujemy na gładką masę, solimy i pieprzymy do smaku. Ja pod koniec miksowania dodaję trochę startego świeżego imbiru. Na koniec dodajemy śmietanę i dokładnie mieszamy.

Podajemy z chrupiącymi grzankami i listkami świeżej mięty.



iMAGAZiNE

DOSTĘPNY NA

